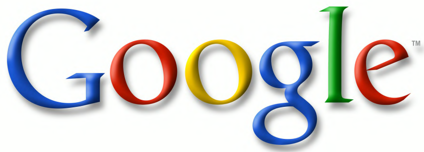



VE RI
TAS

JENERAŁ DEZYDERY CHŁAPOWSKI.

JENERAŁ

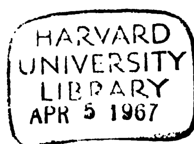
DEZYDERY CHŁAPOWSKI

napisał

X. KALINKA C. R.



W POZNANIU,
NAKŁADEM KSIĘGARNI J. LEITGEBERA I SPÓŁKI.
1885.



W KRAKOWIE, W DRUKARNI «CZASU» FR. KLUCZYCKIEGO I SPÓŁKI
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.

Jest zwyczajem autorów, że w przedmowie tłómaczą się dlaczego książkę swą napisali; przeto i ja na wstępie pragnę powiedzieć, co mnie do tej pracy skłoniło. Powiem poprostu, choćby mnie to miało nieco kosztować. Przed trzydziestoma laty wydałem książkę historyczną, bez wartości; w niej przechodząc pobieżnie dzieje powstania z r. 1831 i wyprawy na Litwę, ogłosiłem sąd niekorzystny o jenerale Chłapowskim. Oparłem go na twierdzeniach ludzi, którzy zdawali mi się być wiarogodni, bo byli naocznymi świadkami; młodemu nie przyszło na myśl, że należało wysłuchać i drugiej strony; co mnie uderzyło, tego chwyciłem się odrazu. Przekonałem się później, że sąd mój był niesprawiedliwy. — Każdą krzywdę naprawić trzeba, póki się jest na tym świecie, jeśli się nie chce na tamtym w cięższą popaść odpowiedzialność. Od tego obowiązku restytucyi nie jest wolnym i historyk; i owszem, on mniej jeszcze niż kto inny, bo szkoda moralna, krzywda zadana imieniowi, dotkliwsze są i trwalsze od materyalnych. Skoro więc w sumieniu swojem zobaczy rzecz inaczej, niż ją widział dawniej, powinien to głośno powiedzieć, bez względu czy zdanie jego waży lub nie waży.

To pierwsza przyczyna tego studyum; jest i druga. Chłapowski żył w naszych czasach; w jednym zawsze celu, ale na różnych pracował on drogach, które i dziś są nam

przystępne; jako żołnierz, rolnik, obywatel i chrześcijanin, pracował dzielnie i rozumnie, był człowiekiem niezwykłej miary. Czy tą, czy inną stroną, każdy z nas ma z nim coś wspólnego; każdego, choćby przez sam czas o wiele wyprzedził; na tem czy na innem polu, jest on antenatem dla każdego z nas. Kto szczerze służy jakiej sprawie, ten rad widzieć, jak też inni przed nim służyli. I dlatego mniemam, że to opowiadanie może przydać się niejednemu.



I.

EPOKA NAPOLEOŃSKA

(1806—1813).

§ 1.

Kampania pruska (1807).

Dezydery urodził się w dziedzicznej Turwi (1788 r. 23 maja) z ojca Starosty kościańskiego i matki, Urszuli z Moszczeńskich, wojewodzianki inowrocławskiej. Ojciec w młodości lat kilka bawił w Paryżu i wrócił stamtąd, jak podówczas niemal wszyscy Polacy, z nader wykwintnem ułożeniem, lecz z niemałym pociągiem do wygodnego życia; prędko usunął się od spraw publicznych i mieszkał na wsi spokojnie. Matka, niewiasta wielkiej piękności, przytem gorących patryotycznych uczuć, umiała je zaszczepić w swym synu. Odumarła go wcześnie, lecz przed śmiercią oddała mu wielką usługę, powierzając go kierunkowi x. Steinhoffa, emigranta francuskiego, kapłana rzadkiej pobożności i gruntownego wykształcenia. — Dezydery posłany do szkół pijarskich w Rydzynie, celował szczególnie w matematyce, a do żołnierki okazywał chęć nieposkromioną. Bacząc na to jego usposobienie ojciec, umieścił go w czternastym roku w pułku dragonów imienia jen. Bruesewitza, którego kilka szwadronów stało załogą w Kościanie i Szmiglu, a zarazem wyrobił mu wolność, że mógł jako kornet (kadet) pułkowy uczyć się w Berlinie, w akademii artyleryi. Na pensyi francuskiej, gdzie go w Berlinie pomieszczono, zapoznał się Dezydery z dwoma Francuzami, synami księcia Caraman, którzy z nim kolegowali, a zawiązana tam przyjaźń dotrwała między nimi aż

do śmierci. Wspólne ich były nauki i zabawy, a jedne i drugie miały charakter wojskowy. Czytywali razem dzieła wojenne, studyowali opisy i plany bitew; i bywało, że nieraz do późna w nocy ustawiali szeregi metalowych żołnierzy, aby lepiej zrozumieć, co o wojnie przeczytali. Ideałem Dezyderego był w owe lata Karol XII, a najulubieńszą książką, historya tego monarchy, Nordberga. Jak on, uczył się pogardzać wygodami i przyjemnościami życia, przymuszał się do znoszenia głodu, trudów, niewczasu; w zimie wstawał w nocy i szedł do ogrodu tarzać się i wycierać w śniegu. Na wzór szwedzkiego bohatyra miał zamiłowanie w jeździe konnej; jeszcze w szkołach rydzyńskich będąc, gdy do domu na wakacye powracał, robił kilkumilowe w sąsiedztwo wycieczki; tem bardziej przeto w Berlinie był zawołanym jeźdźcem w rajtszuli i najtrudniejszych z łatwością dosiadał rumaków. Wspominamy o tych szczegółach, bo niejednemu z młodych może się przydadzą, a w dalszem opowiadaniu naszem nabiorą znaczenia. Temi męskiemi ćwiczeniami, dzielny młodzian tak zahartował swe siły, że choć był wątłej i szczupłej budowy, znosił później bez szkody najcięższe trudy wojenne i nieraz powtarzał, że im jedynie zawdzięcza swe zdrowie; my dodamy, że coś więcej nad zdrowie, bo moc ducha, który ciału się nie poddaje i owszem, umie nad niem zapanować.

W początkach 1806 r. mobilizowano armię pruską; jenerał Bruesewitz zapytał Starosty kościańskiego, czy chce, aby syn jego ruszył w pole. Ojciec przewidując, że się na wojnę z Francyą zanosi, zażądał, aby syna wykreślono z pułku, pozwalając mu jednak kończyć nauki w akademii zaczęte. I tak się stało; Dezydery pozostał w Berlinie aż do wejścia Francuzów. Skoro ich zoczył, siadł na konia i czwałem popędził do Poznania. Tam nic jeszcze nie wiedziano o bitwie pod Jeną; jakże się więc dziwowano, kiedy Chłapowski opowiadał, że Francuzi już w Berlinie! Komendant miasta przywołał go do siebie i zgromił surowo, że rozpuszcza tak niedorzeczne i nieprawdziwe pogłoski. „Jakto nieprawdziwe, — odpowiedział, — kiedy ja Francuzów na własne oczy w stolicy widziałem!“ *„Was, wirkliche Franzosen,“*

zawołał przerażony komendant, i niebawem opuścił miasto z załogą.

Napoleon, przyjmując w Berlinie z wielką uroczystością deputacyą polską (19 listop.) w sali, którą zdobiło kilkaset sztandarów na Prusakach świeżo zdobytych, rzekł, iż ogłosi w Warszawie niepodległość Polski, jeśli wystawią 30 do 40 tysięcy żołnierza. Słowa zwycięzcy, jak iskra elektryczna wstrząsły całym krajem: ogłoszono pospolite ruszenie, kto mógł dosiadał konia; nadto, każdy właściciel wsi obowiązany był na 20 dymów dostawić jednego żołnierza z bronią i mundurem. Zjechał do Poznania jen. Dąbrowski i rozpoczął natychmiast formacyą sześciu pułków (dwóch jazdy, czterech piechoty), do których dawni legioniści dostarczyli oficerów; że zaś niebawem Cesarz miał przybyć do Poznania, Jenerał utworzył gwardyą honorową, ze stu synów obywatelskich złożoną, a dowództwo nad nią oddał Umińskiemu, którego znał z Kościuszkowskiej wojny. Wszedł do tego oddziału Chłapowski, a że Umiński przed laty był tylko adjutantem przy Madalińskim i nowego regulaminu podówczas nie znał, musiał więc Chłapowski musztrować swoich kolegów. — Cesarz trzy dni przepędził w Poznaniu (27 — 29 listop.) i codziennie objeżdżał okolice; miał bowiem ten zwyczaj, że gdziekolwiek był, przyglądał się uważnie fizyonomii kraju i tę pamięć szczególną, że jej później nigdy nie zapomniał. Jeździł konno, a towarzyszyli mu gwardziści honorowi i oficerowie francuzcy. — Jesień była dżdżysta, grunt przemokły, wszędzie błota bez końca. Jadąc przodem, oficerowie francuzcy szukali dla Cesarza miejsc wygodnych do przejścia; lecz zdarzyło się, że na drodze ku Urbanowu sami ugrzęźli w błocie. Dostrzegł to Chłapowski, wysunął się raźnie naprzód, znalazł suche miejsce i stanąwszy na drugiej stronie, zawołał wesoło: *„Un Polonais passe partout!“* Uderzyło to słowo Cesarza, utkwiło mu w pamięci, a już był pierwej zauważył, że Chłapowski, choć najmłodszy, komenderuje oddziałem. Kazał mu przybliżyć się i jadąc dalej do Swarzędza, a ztamtąd z powrotem do Poznania, wypytywał o kraj i mieszkańców; a że stawiał zawsze pytanie jasne i zwięzłe, mógł więc Chłapowski od-

powiadać szybko i dokładnie. Gdy wrócili, kazał mu zostać na obiedzie we trzech z marszałkiem Berthier, i pytał dalej o dom, o rodziców i o nauki, jakie był odbył w Berlinie.— Ten dzień stał się pamiętnym w życiu Dezyderego, wpłynął na całą jego przyszłość. Odjeżdżając do Warszawy, Cesarz kazał Dąbrowskiemu wszystkich gwardzistów zamianować podporucznikami, Chłapowskiego porucznikiem. W pół roku później, po traktacie tylżyckim, dał z Paryża rozkaz, aby mu przysłano do Paryża owego młodego Polaka, co to wszędzie przejedzie: *„ce petit Polonais, qui passe partout!“*

Przez cztery lata swego pobytu w Akademii berlińskiej, Chłapowski przyjeżdżał co pół roku do Kościana na ćwiczenia pułkowe, które starannie odbywał; był więc dostatecznie z kawaleryą obeznany. Ale służby piechotnej nie znał i dlatego zaciągnął się do 9go pułku liniowego, którego komendantem był ks. Sułkowski; wszedł do kompanii woltyżerów. Pułk formował się w Gnieźnie, czekając na broń i mundury; żołnierze ćwiczyli się codziennie w mustrze i obrotach, oficerowie brali lekcye taktyki. Niedługo trwała nauka; pod koniec stycznia (1807) przyszedł rozkaz ruszenia w pole, z wielką radością od młodej wiary przyjęty. Dowódzca kampanii zachorował, Chłapowskiemu oddano jej komendę, a choć jako dowodzący miał prawo do konia, wolał iść pieszo przy żołnierzach. Marsze były dość długie, po cztery mile na dzień, i bardzo uciążliwe, bo najczęściej w błocie. Nie było mrozu, wciąż padał śnieg topniejący; ta kampania ciężko się dała we znaki Francuzom. — W zimie rzadko która okolica pięknie się przedstawia, o ileż brzydszym musiał wydawać się kraj płaski i swą jednostajnością nużący; to też wspominając o tej kampanii, dziwili się nieraz Francuzi, że Polacy tak gorąco kochają swą ojczyznę, w której tyle błota! Pod Gnieznem dojechał do swych pułków Dąbrowski, gdzie odbył się przegląd, ztamtąd ruszyli do Tczewa. — Byłato mała forteczka, ale że tamowała drogę do Gdańska, więc należało z nią się uprzątnąć, i ta okoliczność dała młodemu żołnierzowi pierwszą okazyą do wypróbowania się w ogniu. Nieprzyjaciel obsadził przedmieście strzelcami; kazano Chłapow-

skiemu ich spędzić i otworzyć przystęp do miasta. Tę pierwszą swą rozprawę opowiada szczegółowo w pamiętnikach; obaczymy, z jaką prostotą i skromnością. — „Część moich żołnierzy rozpuściłem w tyraliery, aby się wdarli przez ogrody, — z drugą szedłem prosto ulicą, ku miastu. Strzelcy zaczaiwszy się w domach, dali do nas ognia. Wywróciło się kilku zabitych i rannych; mój podoficer, Moroch, padł na mnie. Patrząc na jego twarz białą i ciało bez ruchu, straciłem głowę; stracili ją i moi żołnierze, krótko mówiąc, uciekliśmy wszyscy w tył o jakie 150 kroków. Szli w porządku nasi grenadierzy; na ich widok prędko przyszedłem do siebie i zwoławszy moich, wróciłem do ataku. Nie czekali już na nas Prusacy; wbiegłszy do miasta, zatrzasnęli bramy. Nadszedł batalion, padł ogień, wywróciło się znowu kilkunastu, wtem podpułk. Sierakowski kazał się nam schronić za domy, mówiąc: „poczekajcie nieco, zaraz tu przyjdzie armata.“ Ale sam się nie schronił, owszem, stał spokojnie i uśmiechał się, gdy mu kule płaszcz dziurawiły. Szef sztabu marszałka Lefêbvre przyprowadził artyleryą; za trzecim strzałem rozwaliła się brama. Wtedy Francuz spojrzawszy na mnie, rzekł: „Młodzieńcze, zarób na krzyż, ruszaj do miasta!“ — Nie dał sobie Dezydery dwa razy tego rozkazu powtórzyć; wbiegł ze swą kompanią do bramy, za nią batalion jeden i drugi. Krótko trwała walka, Prusacy albo cofnęli się na przeciwny koniec miasta, albo zamknęli się w kościele, gdzie ich wraz z jenerałem Both, 800 wzięto do niewoli. — Zdobycie Tczewa kosztowało naszych 150 ludzi, przyczem jen. Dąbrowski był ranny. Cieszyli się młodzi wiarusy, że im się tak gracko udało i że mogli się odznaczyć wobec starych francuskich wąsalów. W kilka dni potem zjawił się znowu ów Szef sztabu francuski i przypiął Chłapowskiemu wstążeczkę legii honorowej. Podobny zaszczyt spotkał trzynastu innych. Ogłaszając w rozkazie dziennym ich nazwiska (14 marca), jen. Dąbrowski nadmienił, że od czasu ustanowienia legii honorowej, żadna jeszcze dywizya francuska nie otrzymała naraz tak wiele znaków zaszczytnych.

Ruszono dalej pod Gdańsk. Chłapowskiemu dodano drugą kompanią, której kapitan był ranny, tak, że chociaż był tylko porucznikiem, miał już pod sobą 250 ludzi. Prędko poznano się na jego energii i przezorności; kazano mu iść w przedniej straży. Służba była ciężka, bo i w dzień i w nocy; w dzień trzeba było wypędzać nieprzyjaciela z wiosek, w nocy rozstawiać czaty i wedety; nocując w polu, nie zawsze było na czem położyć się; ani słomy, ani desek, a śniegu i błota po kolana. Jedna noc szczególnie została mu pamiętna: rozstawiwszy czaty, gdy wrócił do kompanii, opowiada, że do rana musiał dreptać po śniegu, aby jakożkolwiek się rozgrzać, i dopiero później przynieśli z wioski kilka tarcic, na których oficerowie kładli się po kolei, dla odpoczynku. Mimo to żołnierze nie sarkali; jeden i drugi mruknął wprawdzie pod nosem: *chłodno, głodno i do domu daleko,* ale drudzy za to nucili piosnkę z czasów Kościuszkowskich:

Czy to w boju, czy to w szańcu,
Żołnierz wszędzie, jakby w tańcu etc.

Nad tą nocą pamiętną Chłapowski umyślnie rozszerza się w swych pamiętnikach, aby młodzi, którzy go czytać będą, wiedzieli, co ich czeka w kampanii: nie same bitwy i kule. Dla żołnierza bitwa — to bal; cięższe nierównie, stokroć bardziej męczące są przygotowania do tego balu: głód, marsze, zimno, niewyspania, przykre zawody, męczące czekania i wysilenia, gdy już sił nie staje!... Kto to wszystko po męzku i bez szemrania zniesie, ten dopiero żołnierz prawdziwy i ten też w boju znajdzie z łatwością przytomność i odwagę.

Od połowy marca zaczęto sypać pod Gdańskiem przekopy; Chłapowskiego wysłano z kompanią do assekuracyi. Ponieważ sypano w nocy, więc i nieprzyjaciel nocami czynił częste wycieczki. Wypuszczał strzelców, i ci, skoro im kule świecące, rzucane z fortecy, ukazały miejsce robót, razili naszych. W nocy, z 26 na 27 marca, Chłapowski dojrzał przy bielejącym śniegu, że po za strzelcami rozrzuconymi gęsta kolumna piechoty nieprzyjacielskiej zbliża się ku pod-

kopom, a dalej następuje jazda. Wnet kazał strąbić swoich, rozstawionych na wedetach, i cofać się spiesznie w tył; sam zaś, aby im dać czas, z kilkoma ludźmi na miejscu nieco pozostał. Wtem dwa szwadrony pruskie wysunęły się kłusem naprzód. Jeden z nich, mówi Chłapowski, wpadł na nas i przeleciał. Uderzony potężnie w kark, wywróciłem się między dwoma końmi i straciłem przytomność. Co się dalej ze mną stało, nie wiem; tyle tylko pamiętam, że gdym zmysły odzyskał, leżałem na ziemi, bez płaszcza i bez munduru, a wokoło mnie kozacy na koniu. Oficer kozacki kazał mi wstać, alem się dźwignąć nie mógł, kark i ramiona całkiem zesztywniały. Podał mi rękę, wsadził na konia i trzymając tręzle, poprowadził do fortecy. Za bramą kazano mi usiąść i posadzono na ławie; usiadłem, trzęsąc się i zgrzytając zębami od zimna, i ujrzałem kilku moich, podobnie jak ja, wziętych do niewoli i odartych z płaszcza. Nadjechał pułkownik kozacki, dał mnie i moim żołnierzom napić się wódki i zapytał, jaki miałem mundur na sobie. Odszukano go i oddano mi napowrót ze wstążeczką, ale bez krzyża, który jakiś kozak zabrał.“

W taki sposób Chłapowski dostał się do niewoli. Z niewolnikami władze pruskie obchodziły się po ludzku, nie czyniąc różnicy między Francuzami i Polakami, jakkolwiek ci ostatni mogli jeszcze uchodzić za pruskich poddanych. Wprawdzie i z Chłapowskim ściągniono protokół, ale raczej dla formy. Gdy go zapytano, dlaczego złamał przysięgę?, „ja tylko jedno Panu Bogu przysięgałem, że mojej Ojczyznie będę służył do śmierci,“ odpowiedział, i na tej odpowiedzi przestano. — Naczelny komendant fortecy, marsz. Kalkreuth, zaprosił go na obiad. Przed siedmnastu laty był on w Warszawie, posłany dla zlustrowania tamże formującej się armii polskiej, która razem z Prusakami miała iść przeciw Austryi, i zdał raport szyderczy, że wojsko polskie chyba z Tatarami wojować potrafi. Obecnie zmienił zdanie; musiał przyznać, że Polak, skoro wzięty jest w karby i znajdzie ludzi, co mu umieją rozkazywać, prędko bardzo wyrobi się na doskonałego żołnierza. Tę siłę rozkazu i tego ducha po-

słuszeństwa, które dawna Rzplta swym nierządem i gnuśnością w sobie zatraciła, Polacy znaleźli napowrót, walcząc obok armii francuskiej, i to była pierwsza, najważniejsza usługa, którą nam oddał Napoleon, wciągając nas do swoich wojsk. Obecny przy tej rozmowie jenerał rosyjski zapytał z przekąsem, zkąd dywizya Dąbrowskiego mogła tak prędko zaopatrzyć się w działa? „Zapewne z Pułtuska,“ odpowiedział Chłapowski, przypominając, że tam Rosyanie stracili znaczną część swej artyleryi.

Po kilku dniach wyprawiono jeńców do Rygi, na statku szwedzkim. Był tam i Umiński i Mallet, późniejsi jenerałowie, i około 200 polskich żołnierzy. Podróż trwała sześć tygodni, załoga była słaba; przyszło więc naszym na myśl rozbroić załogę i wydostać się na wolność; ale gdy nadeszły wiadomości, że pokój już bliski, porzucono ten zamiar. Jakoż, po bitwie pod Friedlandem, jednej z najkrwawszych, jaką kiedykolwiek stoczono, Napoleon dotarł aż do ostatniej granicy Prus. Armii pruskiej już prawie nie było, Rosyanie, i wojska swego i artyleryi stracili połowę; stanął więc pokój w Tylży (9 lipca 1807). Z obu stron uwolniono jeńców; Chłapowski bezzwłocznie ruszył na Wilno do Warszawy. Tam przedstawił się ks. Poniatowskiemu i otrzymał nominacyą na kapitana (1 sierpnia), a że dekret Króla saskiego przyznawał krzyż *Virtuti militari* wszystkim, którzy w tej kampanii otrzymali legią honorową, więc mógł i polskiego orderu przypiąć wstążeczkę. Otrzymawszy urlop, pojechał odwiedzić starego ojca w Turwi. Niedługo tam bawił; z dwóch stron naraz go zawołano. Jen. Dąbrowski, który mu się na wojnie przypatrzył, chciał go mieć przy sobie adjutantem; lecz spółcześnie, Cesarz zamianował go swym oficerem służbowym i kazał przyjechać do siebie. — Ruszył więc do Francyi.

---

§ 2.

Wojna hiszpańska (1808—1809).

Życie Chłapowskiego, od przyjazdu do Paryża, przy cesarzu Napolenie, było wplecione w koło wielkich, europejskich wypadków; ztąd i opowiadanie nasze, aby się stało zrozumiałem, musi wielokrotnie, z obrębów skromnej biografii, wkraczać na szerokie pole europejskiej historyi. Pod każdym względem byłato epoką dla Dezyderego pamiętna. Jak na wszystkich ludziach z owego czasu, wycisnęła i na nim piętno właściwe a niezwykłej miary, po którem długo później, wśród następnych pokoleń, można było rozpoznać na pierwszy rzut oka napoleońskiego żołnierza. Wszystko w nich było różne: i ton, i obejście z ludźmi, i sama postawa; wszystko przypominało wielką epopeję, która się przed ich oczyma rozwinęła i z ich duszą zrosła. Pod najlepszym mistrzem uczył się Chłapowski sztuki wojskowej; lecz przejął od niego coś więcej: ową bystrość oka i niespożytą energią, która w każdem położeniu umie się odrazu zoryentować, odrazu spostrzedz odpowiednią drogę i ze środkami, któremi rozporządza, dać sobie radę. Posłużyła mu ta nauka, jak zobaczymy, i w dalszej służbie wojskowej i w obywatelskiej pracy.

Być przy boku takiego człowieka, co świat cały porywał za sobą, byłoto szczęście, którego wielu musiało mu zazdrościć, i niejeden na jego miejscu, spieszyłby coprędzej na to

stanowisko. Chłapowski się nie spieszył; pomimo lat przebytych w Akademii berlińskiej, czuł on, że mu brakuje do służby wojskowej teoretycznej podstawy; chciał się lepiej przygotować. Gdy Napoleon przyjąwszy go nader łaskawie w Fontainebleau, zapytał: coby mógł dla niego uczynić, — Chłapowski prosił, aby mu wolno było pozostać czas jakiś w Paryżu i wejść do szkoły politechnicznej. Podobało się to Cesarzowi; przyzwolił.

Szkoła politechniczna założona przed kilkunastu laty (1793), a przez Cesarza świeżo zreorganizowana (1805), była wówczas i długo później najlepszą w Europie szkołą wojskową i wydała cały szereg znakomitych jenerałów, którzy sławę francuskiego oręża aż do naszych czasów świetnie utrzymali. Wykładali w niej ludzie głośnego imienia, zajmujący we Francyi wysokie stanowiska, jak Fourcroy, główny organizator tej szkoły, Monge, były minister marynarki, twórca geometryi wykreślnej, towarzysz Bonapartego z wyprawy egipskiej; Jussieu, trzeci z rodu słynny botanik; Faujas de S. Fond, znakomity geolog; Thénard, uczony i niespracowany chemik. Obok nich pomagali uczniom wyśmienici korrepetytorowie, a między nimi Polak, dr. Markowski. Ten, wysłany do Paryża dla kształcenia się w chemii jeszcze w r. 1784, przez komisyą edukacyjną, od 24 lat nie przestał się uczyć; był lekarzem nadwornym cesarzowej Józefiny i najlepszym w szkole korrepetytorem [1]). Łatwo pojąć, że mając takich mistrzów, młodzież z zapałem oddawała się nauce. Lekcye i korrepetycye trwały od 6tej zrana do 10tej wieczór, czasem przeciągały się do północy, z wyjątkiem godziny przed południem od 10tej do 11tej i dwóch przed wieczorem od 5tej do 7mej. Uczniowie tak wyłącznie zajęci byli nauką, że nawet przy jedzeniu i na rekreacyi o tem tylko rozmawiali, co na lekcyi słyszeli, i o zastósowaniu teoryi do sztuki wojennej. Ujęci w karby ściśle wojskowe, mieli i nie-

[1]) Po długich staraniach ledwo Chłapowski zdołał go skłonić, że w roku 1810 porzucił Paryż, wrócił do kraju i został profesorem chemii w uniwersytecie krakowskim.

dziele stosownie do swych zatrudnień z góry obmyślane; co kilka tygodni wolno im było chodzić do teatru, ale nigdy inaczej jak na tragedye. — Wpisawszy się do szkoły, Chłapowski mieszkał u Dr. Markowskiego i ze zwykłą sobie energią oddał się wyłącznie pracy; wszystkich kursów, których słuchał, spisywał dla siebie obszerne traktaty, które mu nieraz w dalszych latach posłużyły [1]). Zresztą mało u kogo bywał. Ojciec jego, starosta kościański, gdy go do Paryża wyprawiał, dał mu kilka listów do dawnych znajomych i rzekł: „Będą cię tam zapewne namawiali, byś został masonem. Ja do nich za młodu należałem, ale ci tego nie radzę.“ I w istocie nie ominęła ta propozycya Dezyderego, jak tylu innych Polaków w Paryżu, oczywiście w wielkim sekrecie uczyniona. „Jaki cel tego stowarzyszenia?“ zapytał, „wspierać się wzajemnie po bratersku.“ „Na to sekretu niepotrzeba, odpowiedział, bo nas do tego nasz Kościół i wiara chrześcijańska obowiązują.“ Nie w smak była taka odpowiedź tym właśnie, którzy i Kościół i wiarę chcą zastąpić masońskim rytuałem.

W ciągu feryj kilkudniowych Chłapowski pojechał odwiedzić Kościuszkę, który mieszkał w wiosce Berville, w okolicy Fontainebleau. Stary Naczelnik, mieszkając u swego przyjaciela Zoeltnera, zabawiał się ogrodnictwem i rolą; przyjął młodego kapitana uprzejmie i opowiadał mu swe dzieje wojenne. „Słusznie robisz, rzecze, że się uczysz i że służysz. W dobrej do tego jesteś szkole, przy Cesarzu. Znakomity on wódz i wiele wiadomości i doświadczenia możesz przy nim nabyć. Ale nie myśl, aby on kiedyś wskrzesił naszą Ojczyznę. To jest despota, własna ambicya u niego wszystkiem, nic ważnego on dla nas nie zrobi i nic trwałego nie zbuduje, jestem tego pewny; ale to nie przeszkadza tobie

[1]) Rodzina ś. p. Jenerała chowa je dotychczas jako cenną pamiątkę. Godna uwagi, że w pół wieku później, gdy Chłapowskiego zrobiono dyrektorem przy osuszaniu bagien oberskich, wyszukał on w swych papierach traktat o hydraulice w Paryżu spisany i nim się przy tych robotach posługiwał.

młodzieńcze, że się przy nim możesz wyuczyć strategii i wykształcić na dobrego oficera. A źleby było naszej Ojczyznie, gdybyśmy ich nie mieli, choćby nam później Pan Bóg najszczęśliwsze zdarzył okoliczności."

Jeszcze rok szkolny nie był się skończył, kiedy Napoleon kazał przyjechać Chłapowskiemu do Bajonny i wejść w obowiązki, jakie go czekały. Oficerowie służbowi Napoleona *(officiers d'ordonnance)* byli rzeczywiście jego adjutantami, chociaż tej nazwy nie nosili. Tak zwani jenerałowie adjutanci (jak Junot, Marmont, Lauriston, Drouot, Lebrun, Bertrand itp.), dowodzili zazwyczaj korpusami; z tego stopnia był tylko awans na marszałka. W czasie pokoju oficer, kiedy przy Cesarzu przebywał, zajęcie miał bardzo lekkie, możnaby rzec, szambelańskie: całemi dniami przesiadywał w przedpokojach Napoleona i wprowadzał tych, których Cesarz przyjmował. Ale twardato była służba, gdy go wysyłano z depeszami; musiał jechać dniem i nocą, zazwyczaj konno, bez odpoczynku, a stawić się w każdym punkcie o wyznaczonej godzinie; najtwardsza zaś w kampanii, zwłaszcza w czasie bitwy, kiedy na kule nie można było zważać, a przytem nic z oka nie spuścić. Wielka odpowiedzialność ciążyła na nim; do jakiegokolwiek był wysłany miasta, musiał dawać baczność na wszystko, co się w armii działo, obejrzeć starannie lazarety i Cesarzowi przywieźć raporta od lekarzy; podobnież podczas bitwy, gdy wiózł do jenerałów rozkazy, nic nie powinno było ujść jego uwagi; złe go spotkało przyjęcie, jeśli na zadane przez Cesarza pytanie nie dał dokładnej odpowiedzi, bądź, że wywiedzieć się zaniedbał, bądź, że patrzeć nie umiał. Szkoła twarda, w której oszczędzać swe siły nie uchodziło, ale właśnie dlatego dla ludzi czynu wyborna, bo i umysł kształciła i charakter; zmuszała do wytężonej bez przerwy uwagi i do panowania nad sobą wśród największych niebezpieczeństw. Oficer, który w tej szkole kilka lat przebył, wychodził z niej uzdolniony na dowódzcę. Płaceni hojnie, oficerowie służbowie pobierali 12,000 fr. pensyi, oprócz 10,000 fr. na każdą kampanią; mieli na swe usługi po 12 koni i masztelarzy, kosztem cesarskim żywionych.

Przybywszy do Bajonny, zdał examin ze szkoły politechnicznej przed komendantem inżynieryi, jenerałem Bertrand, a że przewidywał, iż się na wojnę z Hiszpanią zanosi, wziął się odrazu do nauki języka hiszpańskiego. Przydało się to natychmiast. Dnia 3 czerwca wieczorem, Cesarz kazał mu jechać do Hiszpanii z depeszami do marszałków, którzy tam komenderowali. Rozkaz brzmiał, aby nazajutrz o 4tej zrana był w Wiktoryi, oddał depesze jenerałowi Verdier, stamtąd jechał dalej bez zatrzymania się do marszałka Bessière w Burgos, a następnie do ks. Murata w Madrycie. Wyruszył bezzwłocznie, a zmieniając konie na każdej stacyi i pędząc po $2\frac{1}{2}$ mili na godzinę, ubiegł w ciągu nocy 24 mil. Przed nim jechał pocztylion z dzwonkami u łba końskiego, tak, że choć go w nocy nie widział, mógł go zawsze słyszeć. Nad ranem, wcześniej niż było naznaczone, stanął w Wiktoryi, o południu był już w Burgos, nazajutrz w Madrycie, lecz skoro tam przybył, już ani zsiąść z konia, ani na nogach utrzymać się nie mógł; prowadzić go musiano do Marszałka. Opowiada, że nogi mu tak popuchły, że butów nie można było ściągnąć i przerzynać je musiano; ani jeść, ani spać nie był w stanie, czuł gorączkę w całem ciele i zdawało mu się, że głowa nie trzyma się karku. Dopiero na trzeci dzień, gdy się wykąpał, wrócił sen i apetyt i gotów był znowu puścić się w drogę; atoli Murat zatrzymał go przez kilka tygodni.

Wiadomo, że od lat kilku Hiszpania ofiarą była brzydkich kłótni i intryg dworskich, które niebawem kraj cały miały przemienić w krwawy teatr wojny. Król Karol, stary i niedołężny, był niewolniczo uległym swemu faworytowi Godoy, którego naród serdecznie nienawidził. Rewolucya w Aranjuez zmusiła króla do zrzeczenia się korony na rzecz syna swego Ferdynanda. Atoli ta abdykacya nie odpowiadała planom Napoleona; nie uznał jej i jakoby dla pogodzenia stron zwaśnionych, zaprosił i ojca i syna do Bajonnny. Gdy przybyli, Cesarz wymógł naprzód na Ferdynandzie, że koronę powrócił swemu ojcu, a następnie tego ostatniego nakłonił, iż tronu swego odstąpił po raz wtóry na rzecz tego, którego Na-

poleon naznaczy. Wnet potem, Cesarz przyzwał z Neapolu brata swojego Józefa i królem go hiszpańskim mianował (6 czerwca 1808). Wszystko to stało się bardzo szybko i w najgłębszej tajemnicy; pozostawało akta te ogłosić i otrzymać poddanie się narodu. Napoleon nie wątpił, że mając Hiszpanią w znacznej części już obsadzoną swemi wojskami, nie dozna naprawdę oporu; zwołał więc kortezów do Bajonny, aby im króla przedstawić i kazać złożyć przysięgę.

Tymczasem Chłapowski powrócił do Bajonny i złożył raport z tego, co widział, nie ukrywając przed Cesarzem, że gdy Hiszpanie dowiedzą się, iż zamiast Ferdynanda przysyła im swojego brata na króla, wybuchnie ogólne powstanie. Obecna przy tej rozmowie Józefina przestrzegła pocichu młodego oficera, iżby był uważniejszy w swoich sprawozdaniach, bo Cesarz nie lubi, żeby ktoś twierdził, co się jego zamiarom sprzeciwia. Chłapowski podziękował jej za tę życzliwość, ale z niej nie skorzystał; nie sądził, aby mu się godziło taić prawdę w swych raportach, i nie spostrzegł też wcale ani wówczas, ani później, by Cesarz był niemile dotknięty taką jego rzetelnością. — Zresztą, wypadki bardzo prędko dowiodły, że Chłapowski w swym sądzie się nie mylił. Kortezy wprawdzie złożyły przysięgę w Bajonnie, Józef z wielką uroczystością wprowadzony został do Madrytu, ale wnet potem opuścił stolicę i Napoleon był zmuszony użyć niemal całej swojej armii, aby chwiejący się tron brata ratować. Przez Bajonnę, gdzie Cesarz wciąż przebywał, przechodziły pułki po pułkach, po drodze do Hiszpanii. Jeden z najpierwszych przymaszerował pułk ułanów polskich Konopki i Cesarz odbył jego przegląd. Chłapowski, który się znajdował na tej rewii, opowiada, iż pułk ten tak szybko i tak dokładnie wszystkie obroty wykonywał, że oficerowie francuscy głośno przyznawali, że cała armia, nie wyjmując gwardyi, nie ma równie pięknej i dzielnej jak ten pułk kawaleryi. Cesarz zadowolniony z przeglądu, kazał regiment na obiad zaprosić; służba cesarska przygotowała wszystkiego w obfitości, a oficerowie i żołnierze z gwardyi służyli przy uczcie swym polskim kolegom. Za ułanami przyszły trzy pułki legii nadwi-

ślańskiej, które pod dowództwem Garbińskiego a później Chłopickiego sławę imienia polskiego wysoko podniosły. Przechodził także przez Bajonnę ów pułk polskich szwoleżerów, którego szarża pod Samosierą pozostanie nazawsze pamiętną w dziejach kawaleryi. Za tę szarżę Cesarz, wliczając szwoleżerów do starej gwardyi, temsamem o stopień wszystkich oficerów tego pułku awansował.

W ciągu lata (1808) Chłapowski pełnił służbę przy Cesarzu, gdy on jeździł do Erfurtu dla widzenia się z Aleksandrem; a skoro ten zjazd monarszy się odbył, pod jesień, za Cesarzem, powrócił znów do Bajonny. — Już wojna z całą srogością toczyła się w Hiszpanii, już najlepsze wojska wysłano i najlepsi jenerałowie tam walczyli: Lannes, Soult, Ney — i świetne odnosili zwycięstwa, a pomimo to Napoleon ujrzał, że bez jego osobistej komendy tam się nie obejdzie. Dnia 8 listopada przejechał granicę hiszpańską i tu zaszedł charakterystyczny wypadek, którego Chłapowski był świadkiem. Droga prowadziła przez góry, a między niemi snuła się przepaść głęboka, spadzista. Zatrzymała się cesarska świta, czekając, aż przyprowadzą muły. Cesarz czekać nie chciał, kazał sobie podać saneczki, aby spuścić się na dół. Byłato jazda ryzykowna; zaklinali go oficerowie, aby życia swego nie narażał. „Jakto — zawołał — to wy rozumiecie, że ja tak nędznie zginąć tu mogę; mnie tylko własne moje błędy zgubić potrafią.“ I wsiadł na saneczki i dojechał szczęśliwie. Słowa zaprawdę godne jego geniuszu, ale nie domyślał się bezwątpienia, jak dalece były one proroczemi; bo w tej samej chwili, kiedy je wymawiał, popełniał jeden z tych wielkich błędów, które ściągnąć miały nań zgubę. Całe zachowanie się Cesarza względem hiszpańskich Burbonów, owa tak niegodnie na Ferdynandzie wymuszona abdykacya, owe tak niefortunne wyniesienie na tron Józefa, były ciężką w jego rachubie politycznej pomyłką, która nie omieszkała zemścić się okrutnie. W królu Ferdynandzie mógł był wiernego upewnić sobie sprzymierzeńca, w narodzie hiszpańskim mógł był wzbudzić wdzięczność i życzliwość dla siebie, i ta przyjaźń sąsiedniej monarchii wystarczała najzupełniej interesom polity-

cznym Francyi. Ale nie wystarczała dumie człowieka. Chciał on braci swoich uwieńczyć królewskiemi koronami i otoczył się szeregiem fikcyjnych potęg, z których żadna o własnej mocy ostać się nie mogła. Hiszpanom narzucił obcego im Józefa i tem naprzód pogodził ich z Anglikami, następnie wywołał wojnę zaciętą, która trwała sześć lat; dla tej wojny odwołał najlepsze swe siły ze środkowej Europy, gdzie była podstawa jego potęgi, i te siły tam uwięził, a w końcu zmarnował. Lecz nie dość na tem: ów dzielny opór Hiszpanów stał się hasłem dla całej Europy. Wprawdzie Dwory niemieckie korzyły się jeszcze do czasu przed wielkością Napoleona, ale już w sercu ludności niemieckiej, wraz z cichem dla Hiszpanów uwielbieniem, budzić się poczęła chęć zemsty na Cesarzu. Kapitulacya pod Baylen dała przykład, że i Francuzów zwyciężyć można; czekano tylko dogodnej chwili.

Ten duch budzącej się w Niemczech niepodległości znalazł swój wyraz naprzód na Dworze wiedeńskim. Widząc Napoleona w tak ciężkiej na półwyspie uwikłanego trudności, rozumiała Austrya, że nadszedł czas do skruszenia jego przemocy. A chociaż żadne mocarstwo nie chciało jeszcze z nią się wiązać, ani Rosya, świeżym traktatem sprzymierzona z Francyą; ani Prusy, zniżone do szeregu trzeciorzędnych potęg; ani nawet Anglia, zmuszona do wielkich wysileń w Hiszpanii, nie była w stanie odpowiedzieć na razie żądaniom Dworu wiedeńskiego; pomimo to zapał wojenny wzmagał się w Austryi. Związki tajemne, które w Niemczech się szerzyły i kilka zbrojnych powstań, które zjawiły się tu i owdzie, dawały nadzieję mężom u steru rządu będącym, że byleby szczęście posłużyło przy zaczęciu, ogień tlejący zajaśnieje płomieniem, i w Prusiech i we Westfalii wybuchną groźniejsze powstania, które rządy niemieckie wkońcu porwą za sobą. Wszystko od tego zależało, by ubiedz Napoleona i stanąć nad Renem z armią imponującą pierwej, zanim on siły swoje zdoła zgromadzić. W istocie, w ciągu zimy z r. 1808 na 1809, postawiono cztery armie na stopie wojennej: pierwszą, pod dowództwem arcyks. Karola, która miała opanować Bawaryą (194,000 ludzi); drugą, pod komendą arcyks. Jana, której zada-

niem było wyprzeć Francuzów z Włoch północnych (66,000); trzecią, mniejszą, przeznaczoną do Tyrolu, i czwartą, która pod arcyks. Ferdynandem miała zająć Księstwo warszawskie (35,000); razem tworzyły one ogromną potęgę, blisko 300 tysięcy żołnierza liczącą.

Ale Napoleon ubiedz się nie dał. Jeszcze geniusz jego był w najwyższym blasku, a chociaż z błędów w błędy wpadając, dodał do nich najcięższy, bo Rzym sobie przywłaszczył, Papieża kazał wywieść do Sawony i temi bezprawiami klątwę kościelną na swą głowę ściągnął, to jednak na razie swoją czujnością i niesłychaną energią wszystkie niebezpieczeństwa zażegnać potrafił. Wcześnie zażądał kontyngensów od państw południowych niemieckich i od ligi reńskiej, przyzwał sprzymierzone wojsko saskie, pościągał drobniejsze oddziały francuskie w Prusiech zostawione i zanim arcyks. Karól opuścił Czechy, on z początkiem kwietnia (1809 r.) stutysięczną armią w południowych Niemczech zgromadził. Niebawem nowe siły z Francyi i Hiszpanii przywołane, wziąć miały udział w tej kampanii (1809 r.), która do najtrudniejszych ale i najświetniejszych w historyi Napoleona się liczy.

---

§ 3.

Kampania austryacka (1809).

Wróćmy do Chłapowskiego. Podczas pobytu Cesarza w Hiszpanii był on nieustannie na jego posługach, bądźto dla porozumienia się z dowódzcami korpusów, bądź w wojennych potrzebach. Kilkakrotne odbywał podróże, lecz już w trudniejszych niż pierwsza warunkach. Hiszpanie nie mogąc podołać Francuzom w zbitych masach wojska, prowadzili wojnę podjazdową, szarpiąc korpusy, znosząc mniejsze oddziały, utrudniając na wszelki sposób komunikacye. I Chłapowskiemu nieraz się zdarzyło, że kiedy przez góry i wąwozy jechał z rozkazami, z po za krzaków padały strzały i dopiero gdy się zbliżyła eskorta, uciekali z zasadzek powstańcy. Jeden żołnierz polski, stary wiarus Kościuszkowski, z którym Chłapowski w Hiszpanii o tem rozmawiał, rzekł: „Gdybyśmy mieli takie góry w Polsce, tobyśmy się byli obronili!“ Bezwątpienia, ale pod warunkiem, żebyśmy i my mieli taką wytrwałość i zaciętość w obronie, jaką okazali Hiszpanie. — Dnia 15 stycznia (1809 r.), w Walladolid, Cesarz kazał Chłapowskiemu jechać do x. Prymasa w Moguncyi, stamtąd do Króla westfalskiego w Kassel, dalej do Króla saskiego w Dreznie, wkońcu do Warszawy. W Warszawie miał sobie polecone pozostać przez tydzień, przyjrzeć się dokładnie wszystkiemu, przekonać się o duchu, jaki w Księstwie panuje, dowiedzieć się, co Austryacy robią w Galicyi i powrócić jak

najprędzej tam, gdzie Cesarz będzie przebywał. Puścił się tedy w drogę bezzwłocznie przez południową Francyą, Strasburg, Karlsruhe i Frankfurt do Drezna, a nie zastawszy w tem mieście Króla, do Warszawy. Jechał wciąż przez 19 dni i tyleż nocy, od granicy hiszpańskiej już nie konno, tylko koczykiem; po drodze zatrzymywał się w rezydencyach książęcych nie dłużej, jak kilka godzin, aby im wręczyć listy Cesarza i opowiedzieć szczegóły z kampanii hiszpańskiej, o którą książęta z wielką wypytywali się ciekawością.

Stanąwszy nad ranem w Warszawie u posła francuskiego Bourgoing, udał się z nim razem do Króla. Ten przyjął go łaskawie, wypytywał się podobnież o wojnę, kazał przyjść na obiad i jeszcze na bal dworski wieczorem, i dopiero po tem wszystkiem, dwudziestego dnia swej podróży, mógł Chłapowski tak zasłużonego użyć spoczynku. Z wielkiem zajęciem przyglądał się Warszawie, która była znowu stolicą jakkolwiek odradzającego się dopiero państwa i cieszyła się obecnością własnego monarchy. Wprawdzie stan ekonomiczny i finansowy Księstwa był opłakany, lecz młody oficer wchodzić w to nie mógł; on patrzał przedewszystkiem na wojsko, z którego stanu miał Cesarzowi zdać sprawę. Prawda jest, że nie wytrzymywało ono porównania z pułkami polskiemi, które widział w Hiszpanii; tamte miały starych oficerów z legii Dąbrowskiego i Kniaziewicza i służyły obok gwardyj, którym pragnęły dorównać; służba w nich szła spokojnie, regularnie, poważnie. Tu przeciwnie, wszystko dopiero w formacyi, oficerowie bez doświadczenia, nie dość wprawieni do dawania rozkazów, nie dość pamiętni o ich wypełnianiu; stare nałogi odzywały się jeszcze: samowolność, nieregularność i brak ścisłości w obowiązku, ale zresztą duch w wojsku najlepszy, żywość, wesołość i nadzieja w przyszłości. Ilość wojska pozostawionego w Księstwie była dosyć szczupła, gdyż oprócz pułków, które się biły w Hiszpanii, mocne załogi musiano trzymać w Gdańsku, w Szczecinie i Kistrzynie. — Przez Romana Sołtyka, z którym był świeżo kolegował w szkole politechnicznej, Chłapowski wywiedział się o siłach austryackich w Galicyi; nadto od jenerała Knia-

ziewicza otrzymał wiele cennych informacyj i uwag, które Cesarzowi okazały się bardzo przydatne. Takie zebrawszy wiadomości, musiał spieszyć z powrotem; opuszczał Warszawę nie bez żalu, bo właśnie odbyć się tam miała uroczystość tak droga sercu polskiemu: otwarcie pierwszego sejmu Księstwa, na które Król saski był zjechał. Wrócił więc do Paryża, gdzie zastał Cesarza i gdzie go doszedł nowy dowód łaski Króla saskiego, znaki oficerskie *Virtuti militari* (17 marca 1809 r.).

Niebawem nowa zaczęła się wojna. Napoleon wyjechawszy z Paryża 13 kwietnia, 17go stanął w Ingolstadzie, w pobliżu nieprzyjaciela. Położenie jego było trudne. Kiedy główna armia austryacka liczyła przeszło 160,000, francuska mało co nad 100,000 przechodziła, do tego w większej części złożona była z Niemców. Początki kampanii wypadły też niepomyślnie: wojska bawarskie pobite, Ratysbona dostała się w ręce nieprzyjaciela wraz z 3,000 francuskiej załogi; francuskie korpusy i gwardye, które mogły zrównoważyć obie potęgi, jeszcze daleko, dopiero w marszu z Hiszpanii. Atoli śmiałością pomysłów i niezrównaną szybkością w ich wykonaniu, Napoleon prędko odmienił stan rzeczy. Armia austryacka rozstawiona była na przestrzeni 13 do 14 mil; marszałek Bellegarde na prawem skrzydle pod Amberg (w wyższym Pfalcu); arcyks. Karol z centrum, pod Ratysboną; arcyks. Ludwik na lewem, pod Landshutem. Z tego rozpołożenia nieprzyjaciela Napoleon skorzystał po mistrzowsku. Każe Davoustowi z dwoma dywizyami stanąć między Ratysboną i Landshutem i trzymać się bądź cobądź naprzeciw arcyks. Karola; sam zebrawszy cztery korpusy Lannes, Masseny, Oudinota i Wrede, po jedynasto-godzinnym marszu dopada arcyks. Ludwika. Uderzenie było tak gwałtowne i przewaga sił tak wielka, że bitwa nie trwała jak trzy godziny (od 8mej do 11tej z rana); Arcyksiążę porażony na głowę, Landshut zdobyty, 5,000 jeńca dostaje się w ręce Francuzów (21 kwietnia). Nie tracąc chwili, każe marszałkowi Lannes iść w trop za rozbitkami arcyks. Ludwika, a sam we dwie godziny po odniesionem zwycięstwie przerzuca się z trzema korpusami

na drogę ku Ratysbonie, zatrzymuje się w nocy tylko na kilka godzin, aby dać wojsku wypocząć, i nad ranem (22 kwietnia) staje pod Eckmühl, gdzie Davoust z bohaterskiem wysileniem odpierał szturmy kilkakroć liczniejszego nieprzyjaciela. Na widok wysuwających się kolumn francuskich jenerałowie austryaccy nie mogą przyjść do siebie z podziwienia, skąd naraz taka armia przed nimi stanęła. Po dwakroć przychodzi do bitwy, pod Eckmühl i pod Ratysboną, w obu razach Austryacy pobici, tracą wielką ilość niewolnika i Ratysbonę zmuszeni opuścić. Między jeńcami znalazło się bardzo wielu polskich żołnierzy. Napoleon kazał ich odesłać do Augsburga i tam formować 4ty pułk legii nadwiślańskiej.

Od 21 do 23 kwietnia, przez trzy doby, armia francuska odbyła przeszło 20 mil marszu i stoczyła trzy zwycięzkie bitwy. Nieprzyjaciel zdziesiątkowany i zdemoralizowany usuwa się do Czech, zostawiając otwartą drogę do Wiednia. Tak wielkie wysilenia Cesarz szczególną chciał odznaczyć nagrodą. Przedewszystkiem należała się ona Davoustowi, który swą nieugiętą wytrwałością pod Eckmühl umożliwił udanie się nader śmiałego planu; Napoleon daje mu tytuł księcia d'Eckmühl. Armii zebranej na placu boju każe oświadczyć, że oficerowie z każdego pułku mają wybrać z pośród siebie najwaleczniejszego, i gdy wybrani stają przed frontem, Cesarz każdego z nich mianuje dziedzicznym baronem z dotacyą roczną 4.000 fr. Podobny zaszczyt dostaje się i Chłapowskiemu, a był on rzeczywiście zasłużony. Kiedy Napoleon gromadził swe siły na bitwę pod Landshutem, zależało mu głównie na tem, aby jak najprędzej skomunikować się z Masseną; każe Chłapowskiemu szukać go w okolicy Pfaffenhausen, ale ostrożnie, żeby nie wpaść na kręcące się oddziały austryackie. Chłapowski w sześć godzin odszukał Marszałka, wręczył mu rozkazy Cesarza, a wracając w największym galopie, na rozstawionych koniach, w dwie godziny potem zjawił się przed Napoleonem. „Cóżeś takiego spotkał, żeś nie mógł dojechać“ — zapytał go tenże. „I owszem dojechałem — odpowiada — Marszałek jest już na drodze do Landshutu.“ Cesarz uradowany, tej samej chwili rusza w pochód

i odnosi pierwsze zwycięztwo, o którem wyżej mówiliśmy. Podczas tej bitwy Chłapowski był w nieustannym ogniu, wożąc rozkazy w pośród gradu kul, a zaledwo się skończyła, Cesarz go woła i każe jechać do Davousta z zawiadomieniem, że jeszcze tej nocy połączy się z nim z całą armią. „Wprawdzie (dodaje) o 8-ej zrana wyekspedyowałem do Marszałka jego adjutanta, twojego rodaka, ale widziałem z jego miny, że on tam nie dojedzie tak prędko. A zresztą, w każdym razie, dobrze będzie, jeżeli opowiesz Marszałkowi wzięcie Landshutu i rozsypkę armii Ludwika.“ Chłapowski dosiadł konia i 7 mil w cztery godzin upędził. Po drodze wypadło mu zatrzymać się we wsi; zawezwał sołtysa i zażądał konnego przewodnika, któryby go doprowadził do Eckmühl. „Jest tu oficer — odpowiada sołtys — który także zamówił dla siebie przewodnika, ale dopiero na godzinę czwartą, a teraz śpi“. Byłto właśnie ów Polak, o którym Cesarz wspominał, adjutant Davousta. Zbudził go Chłapowski i proponował, aby razem dalej jechali. Tłómaczył się, że jest zmęczony, że całą noc jeździł, że pierwej coś zjeść musi... Ten wypadek dowodzi, jak Cesarz jednym rzutem oka umiał człowieka trafnie osądzić.

W trzy tygodnie później, Napoleon był już pod murami Wiednia. Wojsko rozłożyło się obozem; a Cesarz w towarzystwie kilku oficerów podjechał ku wałom przedmieścia. Na wałach (opowiada Chłapowski) stało bardzo wielu ludzi porządnie ubranych, i gdy Cesarz się przybliżył, wszyscy pozdejmowali kapelusze. Ponieważ Napoleon był przed trzema laty w Wiedniu, więc go poznali, i nic w tem nadzwyczajnego, że mu się pokłonili. Lecz dziwniejsze to, że zaraz odezwały się wiwaty. Cesarz jechał stępo i gdy się okrzyki wzmagały, uchylał kapelusza. Nie można, dodaje Chłapowski, tego inaczej wytłómaczyć jak tylko obojętnością, która cechuje ludność wielkiego miasta, a zwłaszcza też ludność wiedeńską, a z drugiej strony tym urokiem, jaki Napoleon wywierał na każdego. Dojechawszy do baryery, Cesarz zwrócił konia na drogę do Schönbrunu i rzekł do Chłapowskiego: „jedź do pałacu i u cesarza Franciszka odpocznij wygodnie.

Już tam będzie dla ciebie łóżko gotowe; niemało nocy przepędziłeś na koniu, jutro znowu jeździć będziesz“.

Dnia 15 maja (1809), zatem mniej niż w miesiąc od rozpoczęcia kampanii, Francuzi zajęli stolicę. Ale wojna dla tego jeszcze się nie skończyła; i owszem, przy przejściu przez Dunaj, pod Aspern, przyszło do krwawej bitwy, w której arc. Karol odniósł znaczne zwycięztwo. Przyczyną przegranej Francuzów było to, że Napoleon tylko część swojej armii mógł stawić przeciw nieprzyjacielowi, reszta zatrzymana była na wyspie Lobau; a choć inżynierya francuzka starała się usilnie o utrzymanie komunikacyi, potrafili za każdą razą Austryacy poburzyć jej mosty. Napoleon z 60-ma tysiącami, przez trzy dni odpierał całą armią austryacką, nareszcie straciwszy połowę ludzi i mając większą część dział zdemontowanych, cofnął się na wyspę i tam na posiłki oczekiwał. Nadchodziły one z wielu stron. Ciągnął z Włoch książe Eugeniusz z 40-tysięczną armią, ścigając arc. Jana, którego pobił nad rzeką Raabą; szedł z korpusem Marmont z Dalmacyi, przychodziły i z Francyi nowe oddziały. Po sześciotygodniowym wypoczynku na wyspie Lobau, wciągu którego, na kilku miejscach budowano mosty stałe i przenośne, Napoleon mając w ręku 180.000 żołnierza, przeszedł Dunaj, 6 lipca, i pod Wagram wydał bitwę arc. Karolowi, którego armia nie liczyła więcej nad 135.000. Tym razem zwycięztwo Francuzów było stanowcze. Armia austryacka cofając się pospiesznie, jeszcze raz od marszałka Marmont doznała pod Znaim porażki; poczem wódz austryacki dał znać swemu monarsze, że nie ma już nadziei oprzeć się skutecznie zwycięzkim nieprzyjaciela postępom, że przeto trzeba o pokój traktować. W dniu 12 lipca stanęło zawieszenie broni.

W czasie bitwy pod Wagram zaszedł wypadek, który piękne dał świadectwo o odwadze i przytomności umysłu Chłapowskiego. Wśród najzaciętszej walki, Cesarz przywołał go i dał rozkaz, aby pchnął kawaleryą stojącą dotąd nieczynnie, na pomoc Maldonaldowi, który wdarł się w środek armii austryackiej i gnał ją przed sobą. Chłapowski nim odjechał, powtarzał dane sobie rozkazy, jak to było zwycza-

jem, a trzymał kapelusz ponad głową; w tem kula działowa, w biegu swoim już słabnąca, wyrywa mu go z ręki. „Dobrze, żeś nie wyższy" — rzekł śmiejąc się Napoleon. Chłapowski kończy najspokojniej, co miał powiedzieć, i gdy mu kapelusz podano, puszcza się w drogę galopem. Zimna krew Chłapowskiego uderzyła Cesarza; „ten młodzieniec zajdzie daleko" — odezwał się, i popatrzył za odjeżdżającym.

Ostatni artykuł zawieszenia broni odnosił się do wojny, która się spółcześnie w Księstwie warszawskiem toczyła. Nic mówiliśmy o tej wojnie, bo ona w zakres naszego opowiadania nie wchodzi. Godzi się wszakże, choćby pobieżnie nadmienić, że rzadkiem w historyi zdarzeniem, małe, wycieńczone państewko, zostawione samemu sobie, z nielicznem i młodem wojskiem, ze skarbem pustym, z ludnością w poprzedniej wojnie zubożałą, potrafiło oprzeć się od napaści możnego sąsiada, że rozpoczynając kampanią z 13.000 wojska, skończyło ją z 40.000 przeszło, że to wojsko straciwszy zrazu stolicę, odzyskało ją potem, zdobyło kilka fortec, opanowało kraj równie obszerny jak własny, i że w chwili gdy Napoleon kończył w Czechach swą kampanią, ks. Józef podstąpił aż pod Kraków. Prawda jest, że zwycięztwa Francuzów nad Dunajem dodawały odwagi i dzielności polskiemu rycerstwu nad Wisłą; ale i to prawda, że tryumfy Napoleona nie byłyby same obroniły Księstwa warszawskiego, a w każdym razie, nie byłyby go tak znacznie rozszerzyły, gdyby tej dzielności w rycerstwie polskiem zabrakło. I to także prawda, że za usługę Napoleona, Polacy odpłacili mu się w tej kampanii sowicie, zatrudniając u siebie znaczny korpus nieprzyjacielski, który na polach wagramskich mógł był zaważyć skutecznie, a nie wspominamy już o tylu tysiącach austryackich rekrutów, którzy zamiast austryackiej, polską wzmocnili armię. Można tedy ze wszelką sprawiedliwością powiedzieć, że kampania r. 1809 prowadzona nad Wisłą, stanowi jedną z najpiękniejszych kart w naszej historyi XIX stulecia, i że tak dobrze krajowi, jak wojsku i jego wodzom, ks. Józefowi i Dąbrowskiemu, prawdziwą chwałę przyniosła.

Napoleon podpisując zawieszenie broni 12 lipca, nie

wiedział o zwycięzkich postępach armii polskiej; umówiono w niem tylko, że oba wojska mają pozostać podczas rozejmu na miejscach, gdzie stanęły, nie objaśniając bliżej, czy to ma znaczyć, gdzie stanęły w dniu rozejmu, czy też w chwili gdy ich doszła o nim wiadomość. Cesarz przywoławszy Chłapowskiego, oddał mu kopią tego aktu, podpisaną przez obu szefów sztabu i kazał mu jechać z nią natychmiast do ks. Józefa. „Powiedz księciu — rzecze — że jeśli teraz nie zrobię jeszcze dla Polski, czegobym pragnął, to dlatego, że muszę oglądać się na Rosyą; ale że niezapomnę nigdy dzielnej pomocy, jaką mi Polacy w tej wojnie oddali. Co się tyczy zawieszenia broni, niech Książe tłómaczy jak mu dogodniej artykuł, który się do Księstwa odnosi. Jeźli od dnia 12 lipca armia polska posunęła się naprzód, niech zostanie tam, gdzie ją doszła o rozejmie wiadomość; jeżeli zaś przeciwnie, po dniu 12 lipca Książe musiał się cofnąć, niech się domaga miejsca, które w owym dniu zajmował“. Z taką instrukcyą Chłapowski odjechał, a tak spiesznie, że nawet do swego namiotu nie zajrzał. W trzy dni później był już w Wadowicach, gdzie zastał główną kwaterę arc. Ferdynanda, cofającego się przed ks. Józefem. Arcyksiąże odczytawszy artykuły rozejmu, rzekł: „Widzę ja wprawdzie na tym akcie podpis naszego szefa sztabu; ale.... (tu się na chwilę zatrzymał); Pan jesteś Polak, choć oficer Napoleona, więc mogę panu powiedzieć, że temu człowiekowi nie możemy wierzyć. Tyle razy nas oszukał, że muszę czekać, aż odbiorę ten akt od mego dowódzcy; puścić Pana dalej nie mogę.“ Zatrzymał go tedy na śniadanie i wypytawszy o szczegóły o ostatnich bitwach, bliżej się rozgadał. „Nie chętnie ja szedłem (rzecze) na wojnę z wami; wolałbym się za was bić, niż przeciw wam, bo wasza sprawa jest słuszna; nic mi się też u was nie udało. Chętniej byłbym walczył przeciw Francuzom, którzy nas gnębią.“ Pod wieczór, nadjechał oficer ze sztabu arc. Karola; żegnając więc Chłapowskiego, prosił go arc. Ferdynand, aby wstąpił do niego z powrotem.

„Trudno by mi było, opowiada Chłapowski, wyrazić uczucia, jakie mną ogarnęły, gdym się zbliżał do Krakowa,

wydartego z rąk obcych. Już od Podgórza widzieć było można żołnierzy, prowadzących się pod rękę z mieszkańcami; witali się, ściskali, wykrzykiwali wesoło. Stanąwszy na rynku oświeconym rzęsiście jak cały Kraków, dowiedziałem się, że ks. Józef jest na balu, który miasto wyprawiło w dzień jego wejścia. Dałem mu znać, że przyjeżdżam od Cesarza. Przyszedł natychmiast, i musiałem mu ze dwie godziny opowiadać o bitwach pod Wagram i Znaim; a on znowu był łaskaw udzielić mi wiadomości o swych ostatnich marszach a także o wejściu do miasta. Arc. Ferdynand żądał był wprzódy rozejmu na 48 godzin, aby rannych i bagaże z Krakowa wyprowadzić. Książe przyzwolił, bo się obawiał, by miasto nie ucierpiało przy szturmie, i przez dwa dni pod murami się zatrzymał. Tymczasem, Arcyksiąże dał o tem znać Galicynowi, który z 30.000 wojska stał pod Tarnowem; wódz rosyjski przysłał forsownym marszem brygadę lekkiej jazdy i pułk kozaków. Było to wbrew układowi zawartemu z ks. Józefem, mocą którego wojsko polskie po lewym, rosyjskie zaś jako sprzymierzone z Cesarzem francuzkiem, po prawym brzegu Wisły operować miało, i właśnie w moc tego układu Polacy opuścili Lwów, który już byli poprzednio zajęli. Skoro więc Książe dowiedział się, że Rosyanie w taki sposób weszli do Krakowa, kazał swemu wojsku ruszyć do miasta, a sam na czele sztabu, wolnym krokiem postępował ku bramie Floryańskiej. W bramie ujrzał kozaków i zażądał, aby ustąpili. Dowódzca odmówił, bo miał rozkaz pozostania; Książe więc, dobywszy pałasza, puścił się galopem przez bramę, wśród kozaków, nasza piechota podwójnym krokiem za nim, a kozacy przycisnęli się do murów, jakby ich nie było. Podobnie i na rynku, pułk maryampolskich uzarów zachował się spokojnie, i gdy weszła armia polska, ustąpił.

„Po dwóch godzinach rozmowy, Książe położył się spać, i ja także, za jego pozwoleniem, odpocząłem u niego przez kilka godzin na kanapie. Raniutko poszedłem do jenerała Dąbrowskiego, który miał kwaterę u pani Michałowskiej, z domu Wielopolskiej i tam zastałem jenerała Mielżyńskiego, który mi dał koszulę do przemiany, bo drugiej z sobą nie

miałem. Niebawem przyszedł po mnie oficer od Księcia i poszedłem zaraz. Zastałem u niego jenerałów: Fiszera, Rożnieckiego, Sokolnickiego i kilku oficerów sztabowych. Książe odebrał list od arc. Ferdynanda z wezwaniem, aby ustąpił z Krakowa, albowiem wedle rozejmu, oba wojska miały pozostać na stanowisku, które zajmowały w dniu 12 lipca. Widziałem tych panów bardzo pomięszanych i niepewnych, co czynić wypada. Książe raczył się do mnie odezwać: „Byłeś blisko przy układach i może wiesz lepiej, jak je przy Cesarzu tłomaczono.“ Odpowiedziałem: „Mnie się wydaje, że Kraków jest tak ważnym punktem, że Książe nie możesz go opuścić bez wyraźnego rozkazu Cesarza.“ Nie chciałem mówić, co mi Cesarz powiedział, tem bardziej, że nie miałem wyraźnego rozkazu, aby to powtórzyć. Wolałem mówić od siebie, mniemając, że to wystarczy, zwłaszcza że Książe mniej się wahał, niż inni jenerałowie.

„Książe chciał zaraz pisać do Cesarza, alem zwrócił jego uwagę, że Austryacy może oficera z jego listem nie przepuszczą. Wtedy rzekł do mnie: „Czy możesz zaraz powracać?“ „Jestem gotów“ — odpowiedziałem, prosiłem tylko, aby posłał natychmiast akt rozejmu Galicynowi. Wprawdzie nic mi o tem Cesarz nie wspomniał, ale zapewne dla tego, iż nie przypuszczał, aby armia rosyjska stała tak blisko. Książe usłuchał mej prośby i wyprawił swego adjutanta do Tarnowa.

„O 3-ej popołudniu wsiadłem na bryczkę, o 8-ej byłem w Wadowicach, a podrodze widziałem już korpusy austryackie maszerujące do Krakowa. Powiedziałem Arcyksięciu, że jeżeli chce wracać do Krakowa, to z księciem Poniatowskim będzie się musiał rozprawić, że mieszczanie będą wojsku polskiemu serdecznie pomagali a z okien celnie strzelają; że choćby nawet Arcyksiąże odebrał napowrót Podgórze, Polacy spalą most na Wiśle i do Krakowa wejść byłoby trudno; że jednak prawdopodobnie przyszłoby do bitwy z tej strony Wisły, bo Książe uważa układ z Galicynem jako nieistniejący i wojsko polskie już się rozkłada obozem na prawym brzegu; że zresztą wiozę list Księcia do Cesarza i rzecz prosta, że bez wyraźnego rozkazu on z Krakowa nie ustąpi. Widziałem, że Ar-

cyksiążę nie gniewał się o to, ale Neuperg, jego szef sztabu, dąsał się mocno.

„Do Stamersdorfu jechałem bryczką, a że na tej stacyi nie było wózka, ruszyłem konno przez mosty, przez Wiedeń, do Schönbrum. Cesarz, skoro mnie ujrzał, zapytał: „gdzie wojsko polskie?“ „W Krakowie.“ „O, jakaż radość dla Matki ojczyzny!“ zawołał i zaraz kazał sobie opowiadać szczegóły kampanii. Kiedym wspomniał, w jaki sposób brygada rosyjska weszła pierwsza do Krakowa, „gdzież korpus Galicyna?“ zapytał. „W Tarnowie, lecz tam nie byłem; książe Poniatowski posłał Rosyanom akt rozejmu.“ Rozgniewał się szczerze, „skoro posyłam oficera — rzecze — to na to, aby wszystko wiedział, co mnie obchodzi. Mogłeś był domyślić się, że byłbym rad mieć raport o korpusie rosyjskim w Galicyi.“ Powtórzył to ostro kilka razy i skończył: „Ruszaj do kozy!“ Skonfundowany, poszedłem na górę i ze zmęczenia zaraz usnąłem, i dopiero nazajutrz, o 10-tej zrana, zbudzili mnie, wołając na śniadanie. Odpowiedziałem, że iść nie mogę, bom w areszcie. Zapytano Cesarza, który zniósł karę i na tem się skończyło.“

Jeszcze przez cztery tygodnie przebywał Napoleon w Schönbrunn, czekając końca układów o pokój. Dnie płynęły spokojnie. Potrzebował Chłapowski tego spoczynku, bo niezmierne wysilenia nadwątliły mu żołądek i piersi; wzięty pod opiekę cesarskiego lekarza, Iwana, przyszedł do zdrowia, ale dopiero w półtora miesiąca po swym powrocie do Paryża.

Reszta roku 1809 i dwa następne lata upłynęły spokojnie, co było wyjątkowem w życiu Napoleona zdarzeniem. Wprawdzie wojna w Hiszpanii toczyła się wciąż i Cesarz miał zamiar objąć jej komendę. Ale później myśl odmienił i posłał Chłapowskiego do Madrytu z instrukcyą dla króla Józefa, aby nie czekając, większe operacye wojenne rozpoczynał. Lubił on kończyć wojny prędko, zwycięztwami, które jak piorun druzgotały przeciwnika; tymczasem w Hiszpanii choć zwycięztw nie brakowało, nie było końca wojnie; nie nęciła go więc ta kampania. Przytem miał inne zajęcia, które go zmuszały do pozostania we Francyi. Rozwodził się z Jó-

zefiną, czekał na przyjazd arcyksiężnej Maryi Ludwiki, z którą wziął ślub pod koniec 1810 roku. W miesiąc po tym ślubie, Chłapowski, wraz z innymi oficerami służbowymi Cesarza, został mianowany podpułkownikiem i przydzielony do gwardyi polskiej, szwoleżerów. Nie odpowiadało to jego życzeniom, prosił, aby go umieszczono w pułku ułanów Konopki. „Dlaczego“ — zapytał Cesarz. „Bo ułany są na linii bojowej, a gwardya w Chantilly“ — odpowiedział. „I gwardya bić się będzie, rzekł Cesarz, a zresztą chcę, abyś był blisko mnie.“ — W ciągu zimy z roku 1811 na 1812, Cesarz objeżdżał Holandyą wraz z swą młodą małżonką, i w tej podróży Chłapowski dowodził eskortą. Była to ostatnia zima, którą Napoleon spokojnie na tronie przepędził.

---

§ 4.

Kampania rosyjska (1812).

„Żołnierze, rozpoczynamy drugą kampanię polską“ wyrzekł Napoleon w rozkazie dziennym, którym ogłaszał swą kserksesową na Rosyę wyprawę (23 czerwca 1812). Była to nieprawda, Napoleon nie zamierzał bynajmniej przez tę wojnę odbudować Polski; powiedzmy więcej, nie mógł o tem myśleć. Rosya straciwszy polskie prowincye, niczby już więcej w Europie nie miała do stracenia, i tych prowincyj byłaby z pewnością broniła do ostatniego żołnierza. Takiej walki nie można skończyć w ciągu jednej kampanii; musiałaby trwać lat kilka. Mając jednę wojnę na półwyspie pyrenejskim, której końca nie było podobna przewidzieć, nawet mocarz taki jak Napoleon, nie byłby podołał drugiej, gdyby ją wypadło prowadzić przez czas dłuższy, na przeciwnym końcu Europy.

Inny był jego cel. Nie Rosya ale Anglia, — oto główny jego w tej wojnie nieprzyjaciel. Chciał zmusić Aleksandra do przyjęcia systemu kontynentalnego i zamknąć przed Anglią wszystkie porty rosyjskie. Wojny z Rosyą naprawdę sobie nie życzył, do ostatniej chwili z nią się ociągał, i nawet wtedy, gdy z krociową armią bliskim był granic rosyjskich, jeszcze jej nie wypowiedział. Ogromem swej potęgi, niebezpieczeństwami, któremi mógł przywalić, chciał zastraszyć Aleksandra. Dlatego wszystkie niemal mocarstwa europejskie

do swej wyprawy wciągnął, lecz nadewszystko nadzieją odbudowania Polski, chciał wojenny zapał Polaków rozbudzić i do najwyższego podnieść stopnia. Wiedział, że bez ich pomocy, zwycięzka przeciw Rosyi wojna jest niepodobną; miał ich w swej armii 75 tysięcy, mógł mieć bez trudu drugie tyle, wspartych powszechnym entuzyazmem narodu. Na wszelki też sposób zachęcał ich, pchał naprzód ale tak, aby to wszystko jakoby sami czynili, sami zrywali się do największych wysileń, którym on niby przeszkodzić nie mógł i nie chciał, ale zarazem ostrzegał, że go to wcale nie wiąże. Stąd z jednej strony ów długi szereg patryotycznych demonstracyj, manifestacyj, konfederacyj w Księstwie i na Litwie, które jak łatwo było wywołać, tak nie trudno w razie potrzeby stłumić, w narodzie tak wrażliwym i jeszcze wówczas tak ślepo mu oddanym, jak byli Polacy. Stąd z drugiej, odpowiedź jego dana deputacyi polskiej w Wilnie: „Gdybym był Polakiem, myślałbym i działałbym jak wy; ale w mojem położeniu, mam wiele względów do pogodzenia“.... Wszystko to było mówione niby do Polaków, niby do świata całego, a właściwie godziło w Aleksandra.

Tymczasem, cesarz Aleksander „najchytrzejszy z Greków“ nie dał się uwieść ani zastraszyć tą udawaną Polski rekonstrukcyą. W udawaniu lepszym on był od Napoleona mistrzem, niczem też się nie zdradzał, że w jego planach jasno czyta; a wiedząc, że ani siłą, ani geniuszem, Napoleonowi nie sprosta, w bezdennych głębiach Rosyi jego wielką armią zatopić umyślił. Lecz i Polaków, Napoleon zwiódł tylko w połowie. Litwa napozór zimniejsza od Korony, a właściwie tylko przezorniejsza, prędko odgadła jego dwulicowość. Nieraz jeden Litwini dali się wciągnąć swym braciom z nad Wisły do przedsięwzięć hazardownych, nieraz jeden ważyli więcej niżby rozsądek im pozwalał, a zawsze dla tego, by się od nich w niedoli nie odłączać; ale zato, względem cudzoziemca, który się do ich patryotyzmu nieszczerze odzywał, Litwini chłodni byli i ostrożni. Ani ogólnego zapału, ani wielkich poświęceń Napoleon na Litwie nie znalazł, a ten brak poparcia z jej strony, dał mu się uczuć najdotkliwiej,

gdy przemarzłe i zgłodniałe rozbitki wielkiej armii wracały z pod Moskwy. Nie zastraszył więc Aleksandra, i Litwinów za sobą nie pociągnął; nikogo naprawdę nie oszukał — prócz siebie. Rzecz szczególna, on, we wszystkich kampaniach tak przezorny, zamiary przeciwnika doskonale odgadujący i najtrafniejsze wybierający środki, aby mu zaszkodzić, — w tej kampanii przeciwnie, nie to widział, co było rzeczywiście, ale to, czego pragnął, czego potrzebował. A pragnął i potrzebował prędkiego zakończenia wojny: wielkiej bitwy, któraby swym efektem moralnym nieprzyjaciela zgnębiła. Nie chodziło mu o to, by zburzyć Rosyą europejską, lecz o to, by jej zaimponować; więc nawet wtedy, gdy przyszło nareszcie do owej wielkiej bitwy (pod Mozajskiem) tak od niego upragnionej, nawet wtedy nie chciał on zniszczyć armii rosyjskiej i dozwolił jej cofnąć się w porządku, nie używszy przeciw niej swej gwardyi. Wolał pokazać Aleksandrowi, że i bez gwardyi zwyciężyć go może. Kilka razy, w ciągu tej wojny, przychodziły mu myśli roztropne, by ją na dwa lata rozłożyć i nie zapuszczać się w bezdenne Rosyi przestrzenie; nie brakowało mu też rad i przestróg zbawiennych. Pod Smoleńskiem, książe Józef podał mu głęboko obmyślany plan, by armią polską odesłać na Ukrainę i tam zapalić powstanie [1]). „Wasza Cesarska Mość — mówił Książe — masz tak wielkie siły, że się bez nas w tej chwili z łatwością obejdziesz; a ja do wiosny przygotuję tam Waszej Cesarskiej Mości 100.000 żołnierza, a zwłaszcza wybornej jazdy. Cesarz odmówił, Książe ośmielił się nastawać, napróżno; wreszcie wódz polski, widząc, że to ostatnia chwila ratowania sprawy, padł na kolana i błagał o wolność odejścia na Ukrainę. Cesarz cofnął się i z gniewem zawołał: „Jeżeli powiesz słowo więcej, każe cię rozstrzelać“. Odszedł wódz pol-

---

[1]) W Paryżu rokiem wprzódy jenerał Sokolnicki radził, aby Cesarz z całą armią szedł nie do Moskwy, lecz do Kijowa, ale ten plan Napoleon odrzucił. To więc co pod Smoleńskiem ks. Józef proponował, było tylko trafną modyfikacyą planu Sokolnickiego.

ski, z rozpaczą w duszy: „Ten człowiek (mówił on) zgubi siebie i nas [1]).

Zastraszyć Rosyą widmem Polski, aby Polskę potem usunąć na stronę a z Rosyą się związać do dalszej z Anglią walki, — oto gwiazda przewodnia jego wyprawy; fałszywe to światło zgubiło wielką armią. Ze złą polityką i największy geniusz dobrych operacyj wojennych prowadzić nie jest w stanie. Nie przeczym, że były i inne przyczyny tej niesłychanej klęski. Były mrozy, o tej porze niezwyczajne: przed końcem Listopada termometr spadł do 28° Reaumura, niżej zera. Bezwątpienia, musiały one być straszne dla wojska źle odzianego, a mianowicie dla koni źle podkutych; ale ta klęska, sama w sobie nie była tak stanowczą, jak to lubią przedstawiać Francuzi, którzy wszystkie niepowodzenia tej kampanii przypisują nieprzyjaznym żywiołom natury. Większem nierównie dla Napoleona złem, przez francuzkich historyków starannie zakrywanem, stala się drapieżność jego żołnierzy, która bezmała całą zaraziła armią. Było jego systemem żywić swe szeregi, w krajach z któremi wojował lub przez które przechodził, zapomocą rekwizycyj. *Il faut que la guerre nourrisse la guerre,* niechaj wojna, mawiał, żywi wojnę; i żywiła ją też (powiedzmy nawiasem) bo z jednej rodziła się druga. Szło to jakoś, póki toczył wojny w krajach ludnych i bogatych jak Niemcy; nawet w Księstwie warszawskiem, w pierwszej kampanii, jeszcze ten sposób prowiantowania wystarczał; niemniej jednak, system ten wprowadzał żołnierzy na śliską drogę żywienia się własnym przemysłem; ztąd grabieże, gwałty, rozboje, które weszły w zwyczaj napoleońskiego żołnierza. Davoust, kiedy mu powiadano, że wojsko, które przed nim weszło, zrabowało miasto, nie pytał jakiej było narodowości, tylko co rabowało: jeżli pieniądze i kosztowności, to Francuzi; jeżeli pościel, konie, bydło, to Niemcy; jeżli piwnice, to Polacy. W potrzebie zabierano wszystko, i nad potrzebę; nieraz więcej marnując, niż biorąc, pustosząc kraj, przywodząc mieszkańców do ubóstwa, do

---

[1]) Z opowiadania jenerała Chrzanowskiego.

rozpaczy. I uchodziło to żołnierzom bezkarnie, tem bardziej, że sami jenerałowie francuscy w tych łupiestwach nie byli ostatni; i owszem, wielu z nich tak głośnej pod tym względem dorobiło się sławy, że chyba szwedzkich rabusiów z XVII wieku możnaby z nimi porównać. Kr. Hieronim, brat cesarski, bywał plagą okolicy, w której się bądź sam, bądź z wojskiem zakwaterował; a gdy się przed nim uskarżano, odpowiadał ze śmiechem: „to prawda, moi żołnierze to nie panienki!“ Słynnym był Vandamme ze swych rabunków; na samą wieść, że się przybliża, wynosili mieszkańcy wszystko, co mieli w swych domach kosztowniejszego. A jeżeli tak było w Księstwie, cóż to dopiero dziać się musiało na Litwie, którą żołnierze francuzcy poczytywali za kraj nieprzyjacielski. W samych początkach kampanii, napady band żołnierskich i grabieże doszły do takich rozmiarów, że we wszystkich powiatach uważano za konieczne tworzyć osobne komisye, majace za jedyny cel zasłaniać kraj od łupieztwa; liczono wówczas 30.000 rabujących maruderów, na których poskromienie musiano oddzielić część wojska. Im dalej, tem gorzej i tem trudniejsze było zaradzenie złemu; żołnierze, którzy zrazu rabowali z chciwości, później rabowali z potrzeby, z konieczności. Widziano i tolerowano takie rzeczy, które się nie zgadzały ani z honorem wojskowym, ani z uczuciem najprostszej uczciwości; tak np. w Moskwie żołnierze sprzedawali publicznie rzeczy wydarte przed kilkoma dniami spokojnym mieszkańcom. Kiedy armia powracała z Moskwy, szły za każdym korpusem kupy maruderów nieraz od korpusów liczniejsze. Ilość wozów przepełnionych łupami, liczyła się na tysiące, a utrudniala wielce pochód armii; któż wypowie, ile krzywd ludzkich ciężyło na tych łupach i jakie niebłogosławieństwo Boże musiały one ściągnąć na ich sprawców!... Rzecz prosta, że żołnierz, który rabuje, do posłuszeństwa jest nieskory, bije się niechętnie, pilno mu unieść co złupił; gotów odstąpić od szeregu, by niebezpieczeństwa uniknąć i przez to właśnie niebezpieczeństwu podpada i naraża się na zgubę. Setkami i tysiącami dostawali się do rąk nieprzyjaciela; chwytali ich kozacy, zabijali chłopi rosyjscy,

grzebiąc nieraz żywych razem z zabitymi, i nawet wtedy, gdy na ziemię polską się dostali, jeszcze ci rabusie nie byli bezpieczni. Łowili ich żydzi, pomiarkowawszy ile sami przytem się obłowią. Opowiada świadek naoczny, że w okolicach Wilna przeszło 6.000 maruderów francuzkich padło z rąk żydowskich [1]). Nie powiemy za wiele, twierdząc, że ta drapieżność żołnierzy napoleońskich, więcej niż mrozy, więcej niż oręż nieprzyjacielski, przyczyniła się do zdezorganizowania wielkiej armii, i że co najmniej, trzecia część żołnierzy została przez nią straconą. I jakże się dziwić niekorzystnemu wrażeniu, które pochód takiego wojska musiał sprawiać na Litwinach: „przyszli z nas zdjąć kajdany (mówiono) ale razem z butami!“ Patrząc na takie bezprawia, gwałty i niszczenie dobytku, niejeden musiał zżymać się jak ów Maciek Dobrzyński w Panu Tadeuszu: „A muszą też być z nimi Turcy i Tatary, czy schyzmatycy, co nie mają ni Boga, ni wiary. Sam widziałem, kobiety w wioskach napastują, przechodniów obdzierają, kościoły plondrują. Cesarz idzie do Moskwy; daleka to droga, jeżeli Cesarz Jegomość wybrał się bez Boga!“ I w końcu, niejeden musiał sobie przypomnieć, jak właśnie ów Maciek stary, że ten mniemany oswobodziciel był już wówczas pod klątwą Papieża!

Mieliśmy w ręku notatki Chłapowskiego pisane w ciągu tej wojny, w których dochował się ślad jego ówczesnego usposobienia. Jak wszyscy niemal Polacy z Korony, szedł na nią z wielkiemi nadziejami, ale prędko się rozczarował. W Wilnie, pod dniem 9 lipca, zapisuje: „Nigdy nie byłbym przypuszczał, że tak długo zatrzymamy się w tem mieście. Operacye tej wojny, i z jednej i z drugiej strony są dla mnie zagadką. Wpadam na różne domysły. Faktem jest, że Rosyanie przyjęli plan cofania się, i to co mogą zrobić najlepszego; bo koniec końców i nas toż samo czeka.... Hrabia Pac wyprawił piękny bal z powodu konfederacyi i złączenia się Litwy z Koroną. Ale entuzyazmu tu niema i jak ma być wobec tak strasznych klęsk, i wobec zachowania się armii!

---

[1]) Michał Zaleski, *Pamiętniki*, ms.

Jej nierząd i niekarność musi każdemu zbrzydzić służbę. Serce boli, kiedy się widzi, co się dzieje z naszym krajem.“ W innem miejscu dodaje: „Jesteśmy narzędziem w ręku Napoleona. Przypomniały mi się słowa naszego Naczelnika (że mu ufać nie możemy), ale przyszła na pamięć i ta przestroga: ucz się przy nim piłuie, bo to jest największy wojownik naszych czasów.“

Kampanią tę odbył Chłapowski razem z pułkiem szwoleżerów polskich, który jak wiadomo należał do gwardyi, a że Cesarz w tej wojnie gwardye bardzo oszczędzał, więc i pułk do żadnej większej akcyi nie należał. Chłapowski odbył kilka rekonesansów, kilka razy w eskorcie zasłaniał Cesarza, ale zresztą nic ważniejszego o sobie do zanotowania nie miał. Jedna wszakże okoliczność wydaje nam się godną pamięci. Zmuszony jak niemal wszyscy, własnym przemysłem zaopatrywać potrzeby pułku, wpadł na myśl szczęśliwą. Przy zaczęciu wojny postarał się o 50 koników litewskich i te za pułkiem prowadził. Każdego wieczora, kiedy wojsko stawało, Chłapowski, aby dać wypocząć koniom szwadronowym, wyprawiał na owych szkapach litewskich swoich żołnierzy pod komendą oficera, o mile lub dwie w bok głównego traktu, dla szukania żywności. I znajdowali jej zazwyczaj podostatkiem dla ludzi i koni, i najczęściej nie było potrzeby zabierać ją gwałtem; chłopi, skoro im się krzywdy nie robiło, dawali chętnie i nieraz nad potrzebę. Tą przezornością, a także ludzkiem obchodzeniem się, Chłapowski tyle dokazał, że kiedy konie pułków francuzkich w początkach kampanii musiano żywić nie ziarnem lub sianem, ale zbożem świeżo z pola zrzętem, on w późnej jesieni miewał dla swoich owies. W czerwcu, przechodząc Niemen, pułk szwoleżerów liczył 915 ludzi, a choć wzięto z niego oficerów i żołnierzy na kadry do formujących się nowo pułków, i w drobnych utarczkach stracił dosyć ludzi, to jednak po skończonym odwrocie miał ich jeszcze 423, a były takie pułki francuzkiej kawaleryi, z których prócz kilku oficerów i żołnierzy, nie zostało nic. Własnych koni wiódł z sobą 9, a przyprowadził ich napowrót 7. Te drobne szczegóły mogą służyć za wskazówkę,

że mimo ciężkich trudności, jakie armia napotykała, wyżywić ją i utrzymać w porządku, nie było niepodobieństwem.

Pod komendą Murata, który ją objął po odjeździe Cesarza, nieład w armii jeszcze się powiększył. Dopiero w Poznaniu, kiedy przeszła pod rozkazy Wice-króla włoskiego, nastał porządek i karność wróciła, ale już zapóżno. Z krociowych zastępów zostało zaledwo 10.000 ludzi. *Du sublime au ridicule il n'ya qu'un pas,* rzekł Napoleon, przemykając się nocą przez Warszawę. Podobnej rosypki, podobnego zniszczenia tak olbrzymiej potęgi, nie pamiętają dzieje. Nie było siły ludzkiej, coby ją mogła wywrócić: palec Boży tu był!

---

§ 5.

Kampania saska (1813).

Napoleon był wielkim wodzem, miał znakomitych jenerałów, wybornego żołnierza. Czy tej tylko wojennej nad państwami europejskiemi przewadze, przypisać trzeba dwudziestoletnie Francyi tryumfy? Nie. Inne jeszcze w owej epoce siły dzielną jej przynosiły pomoc. Były to tak zwane idee francuzkie. Ów geniusz rewolucyjny, stojący na kolumnie Bastylii w Paryżu, z pochodnią w ręku, gotów do lotu, roznosić po świecie pożogę i zniszczenie, gotów i dziś jeszcze, jakby na znak, że epoka rewolucyjna dotąd we Francyi niezamknięta, był w owe czasy najpotężniejszym jej sprzymierzeńcem; on to wyprzedzał jej zastępy, przyspieszał i podwajał jej gromy. Witany, przyjmowany wszędzie z upragnieniem, z głośną lub tajemną sympatyą, palił, wywracał wszystko, co Francyi zawadzało na drodze; i pierwej jeszcze, nim działa francuzkie zagrzmiały, on roznosił zwycięzkie ich echo, otwierał fortece, rzucał strach w nieprzyjacielskie szeregi. Jemu Francya, tyle przynajmniej co swym wodzom i wojskom, zawdzięcza ówczesne zwycięztwa; oręż przyszedł tylko zebrać i uwidocznić tryumfy, przygotowane przez doktrynę.

W ciągu lat kilkunastu młot rewolucyjny francuzki dokonał swojego dzieła: co było spruchniałe, wywrócił, z ruin nowe wzbudził prądy. Ale z nim razem zaciężyła nad Europą

twarda ręka Napoleona i wywołała wszędzie gorącą chęć, by się wyzwolić z pod obcego jarzma. Zjawiło się to naprzód w północnych Niemczech, po kampanii pruskiej, nieco później w Tyrolu, i tylko szybkie Napoleona postępy w wojnie roku 1809 zapobiegły groźniejszym przeciw Francyi wybuchom. Przycichły wrogie uczucia do czasu, lecz z tem większą za to siłą odezwały się po roku 1812. Na widok rozbitków wielkiej armii wracających z Moskwy, wygłodzonych, bezsilnych, obdartych, nabrano w Niemczech otuchy; duch niepodległości i żądza zemsty owładnęły serca i umysły. Wprawdzie Napoleon z niezrównaną szybkością sprowadził nowe zastępy; 300.000 francuzkich żołnierzy, z wiosną 1813 stanęło znowu w środkowej Europie; ale tym razem i plac boju i fizyonomia walczących zmienione były do niepoznania. Po dawnemu odnosił on jeszcze zwycięztwa, lecz cóż ztąd, kiedy i kosztowniejsze były, niż dawniej, i daleko mniejsze sprawiały wrażenie; nieprzyjaciel choć z pola ustępować musiał, nie czuł się na duchu pobity. Podtrzymywał go ogólny zapał ludności, który o pokoju myśleć nie dozwalał, domagał się wojny na zabój i zżymał się na krótkie nawet zawieszenie broni, które koalicya we własnym interesie zawarła. Jak w Hiszpanii przed pięcioma laty, tak w Niemczech w roku 1813, Napoleon spotkał się z uczuciem narodowem, rozszerzonem we wszystkich warstwach ludności, rozgrzanem aż do entuzyazmu i zaciętem — i uległ pod jego siłą.

Wyrazem tego patryotyzmu, który po raz pierwszy w historyi Niemiec z taką objawił się zgodą i potęgą, były Prusy. Nie przechodźmy bez uwagi koło przykładu, który ta monarchia stawia nam podówczas, bo nie wiem, czyli w dziejach znajdzie się drugie państwo, któreby dźwignęło się z taką szybkością, jak Prusy po klęskach poniesionych. Zmniejszone traktatem tylżyckim ledwie nie do połowy swoich posiadłości, spustoszone nieszczęśliwą wojną i przemarszem wojsk, obciążone znaczną jak na ową epokę kontrybucyą, przymuszone wydać w ręce zwycięzcy wszystkie ważniejsze fortece, których załogom trzeba było jeszcze dostawiać żywności, musiały nadto i ten upokarzający przyjąć

warunek, że nie było im wolno utrzymywać więcej nad 42 tysiące żołnierza. Policya francuska miała nadzór nad całem państwem, przez ziemie pruskie przechodziły samowolnie oddziały francuskie i jak niegdyś z Petersburga do Warszawy, tak wówczas z Paryża do Berlina przysyłano rozkazy, aby król tego lub innego ministra ze swej Rady wydalił. Wszystkiemu poddały się Prusy, ale dlatego nie zwątpiły o swojej przyszłości i rąk nie założyły bezczynnie. Skorzystano z klęsk doznanych, by rozpatrzeć się spokojnie w wadach dawniejszej administracyi, na każdem polu przedsięwzięto skuteczne reformy, i nawet ów bolesny zakaz powiększania wojska umiano obejść i wyzyskać rozumnie. Każdego roku przez cztery miesiące musztrowano pilnie żołnierzy, i gdy już byli do służby wprawieni, wypuszczano ich za urlopem, zastępując nowymi; i w ten sposób, nie uchybiając w niczem konwencyi, przysposobiono w ciągu lat trzech 150,000 wyćwiczonych żołnierzy. Spółcześnie czyniono największe wysilenia, aby zgromadzić potrzebną broń i artyleryą, i tak idąc krok za krokiem, rozwinięto system dzisiejszej landwery, który wszystkie państwa obecnie przyjęły; a Francuzi ani się spostrzegli, jaka przeciw nim, jakby pod ziemią, tworzyła się potęga. Kiedy Napoleon zażądał posiłków na wojnę z Rosyą, od której Prusy mogły jedynie spodziewać się ratunku, Fryderyk Wilhelm i na to się zgodził i 20-tysięczny korpus Yorka oddał pod rozkazy marszałka francuskiego, znosząc cierpliwie twarde i swym interesom przeciwne wymagania, od których uwolnić się nie było możności. — Stosunek Prus do Napoleona był w owym czasie dość podobny do stanowiska Polski względem Rosyi za Stanisława Augusta. O ileż roztropniejsze, przyznać trzeba, było ich postępowanie! Panowie pruscy nie wybiegali na dwór Napoleona, nie wypraszali sobie u niego łask i urzędów we własnej ojczyznie, nie robili polityki na swoję rękę. Naród nie odmawiał podatku z krwi i mienia, płacił rzetelnie, co mu było nakazane; skupił się w cichości koło swego monarchy i rozkazów jego słuchał. Prawda, że ten król nie był narzucony z Paryża; nosił dziedziczną koronę!... I nie żałowano też pó-

żniej w Prusiech swej ofiarności i swego dla króla posłuszeństwa. Kiedy nadeszła dogodna pora, aby wyzwolić się z francuskiej przemocy, rząd pruski znalazł się na miejscu, które mu interes państwa wskazywał, i owszem rozwinął dużo większą energią, niż ktorykolwiek z nieprzyjaciół Napoleona. W lutym 1813 Fryderyk Wilhelm przystąpił do koalicyi z Aleksandrem, zobowiązując się dostarczyć 80,000 wojska; ale już w miesiąc później wystawił 110,000 żołnierza, a oprócz tego w maju stanęło pod bronią 150,000 landwery. Z państwa mało co większego nad Księstwo warszawskie, Król pruski powołując niemal wszystką ludność zdolną do boju, wystawił potężną armią 260,000 żołnierzy, która w r. 1813 i w następnych, zaważyła stanowczo na szali wojennej. W ten sposób największa w historyi Prus klęska, bitwa pod Jeną, i najboleśniejsze dla nich upokorzenie, traktat tylżycki, rozumnie, energicznie i z męską przyjęte rezygnacyą, stały się dla tej monarchii zadatkiem odrodzenia, podwaliną przyszłej wielkości. — A kiedy się to wszystko spokojnie i bezstronnie rozważy, to jakże nie widzieć, że nieszczęścia, które na państwa i narody spadają, bywają błogosławioną szkołą, kiedy z nich umieją korzystać; jak nie przyznać, że Prusy z tej szkoły daleko więcej skorzystały, niż niejedno państwo, które podobnego doznało upokorzenia, i jak wkońcu zaprzeczyć, chociaż to dużo kosztuje, że narody taki zazwyczaj spotyka los, na jaki zarobiły. Indywidua mają życie wieczne przed sobą, narody go nie mają; nagrodę lub karę muszą wziąść tu, na tej ziemi, w następstwach własnych dzieł. Smutne to i bolesne nad wyraz; płakać się chce, kiedy się o tem myśli. Ale jest i pociecha. Temu lat trzydzieści, żaden Polak nie byłby się ośmielił mówić w ten sposób do swych rodaków; ja dziś mówię, ufny i spokojny, że mi tego za złe nie wezmą. Dowód, żeśmy zdrowsi i dojrzalsi; bo jak powiada nasz stary Górnicki: początek to zdrowia, kiedy chory czuje, że mu potrzeba doktora. — A z drugiej strony, i to także dołóżmy, że tu mowa o Prusiech, jakie wyszły na początku tego stulecia z wła-

snych klęsk; nie o tych, które pogromiwszy Francyą, w pół wieku potem, wydały wojnę Kościołowi. I tu następstwa własnych dzieł przynieść im muszą zapłatę...

. . .

Wróćmy do Chłapowskiego; byłato już ostatnia chwila w jego służbie napoleońskiej. Całą kampanią rosyjską wytrzymał mężnie, lecz gdy w odwrocie ujrzał kraj własny zalany przez Rosyan, gdy nawet z miasta rodzinnego, z Poznania, musiał przed nimi ustępować, dostał ze zmartwienia żółtaczki. Chociaż chory, nie opuścił armii i z Wicekrólem przybył do Magdeburga. Posłano go ztamtąd do Frankfurtu nad Menem. Książęta niemieccy ofiarowali Napoleonowi 2000 koni na zremontowanie jego gwardyj. Cenny to był podarek, bo jak wiadomo, Cesarz prawie całą kawaleryą w wojnie rosyjskiej utracił i koni niedostatek był wielki. Ponieważ Chłapowski znany był jako wyborny oficer kawaleryi, więc go użyto do zreorganizowania konnej gwardyi, przydawszy mu do pomocy wielu oficerów i starych wachmistrzów. Wybrano 500 najlepszych ludzi z dywizyi Dąbrowskiego, przydzielono gwardzistów litewskich Konopki rozbitych pod Słoninem i w ten sposób podniesiono pułk szwoleżerów polskich do 10 szwadronów. Potrzebował Chłapowski blisko dwu miesięcy, zanim ten oddział do zupełnego doprowadził porządku, atoli w końcu kwietnia, gdy Cesarz z Paryża nadjechał, wszystko już było gotowe. Czterem szwadronom kazał zaraz ruszyć z sobą, z których dwa Chłapowskiemu, dwa Jerzmanowskiemu oddał pod komendę. Chłapowski, jako starszy, nad wszystkimi dowodził.

Dnia 2 maja pod Lützen, dnia 21 maja pod Budyszynem, Napoleon pobił złączoną armię prusko-rosyjską i pchał ją przed sobą do Szląska. W drodze do Görlitz kazano iść szwoleżerom w przedniej straży i tu, pod Reichenbach, 23go maja, zaszła potyczka, w której Chłapowski na czele czterech szwadronów walczył zwycięzko z jazdą rosyjską, zasłaniającą odwrót nieprzyjaciela. W pięciu szarżach wykonanych z szaloną odwagą polskiego ułana, ale i z zimną krwią

wytrawnego dowódzcy, rozbił on i zmusił do ucieczki trzy z kolei pułki rosyjskie: dragonów, huzarów i kozaków, i piechocie francuskiej otworzył wolną drogę. W ostatniej szarży pękł obok niego granat i jednym odłamem uderzył go w prawe ramię. Poczuł zaraz ból mocny, ale z konia nie zsiadł, dopiero pod noc, gdy wszystko ucichło. Zmęczony całodziennym bojem, ze zgniecionem ramieniem, osłabiony był bardzo, ale doznał wielkiej pociechy. Nadjechał ze sztabu głównego jenerał Krasiński, dowódzca całego pułku i ściskał go i dziękował mu za te świetne szarże, które żołnierzy jego wobec całej awantgardy okryły chwałą. Przyszli i francuscy jenerałowie gwardyi: Walter, Lefebvre, Le Tort i winszowali mu serdecznie. Jenerał Walter temi słowy doń się odezwał: „Jeśli kto waleczniejszy od nas, jeśli jest kto, co się lepiej bije od Francuzów, to chyba wy, Polacy.“ „Trzeba mieć, mówi Chłapowski, wysokie uczucie swojej własnej dzielności, aby drugim przyznać pierwszeństwo“.

Z ręką spuchłą i obłożoną bandażami Chłapowski szedł dalej razem z armią, która posuwała się naprzód. Francuzi obsadzili Wrocław, zajęli Lignicę i już tylko kilka mil oddzielało ich od polskiej granicy. Wkroczyć do Księstwa, połączyć się z księciem Józefem, który z 16-tysięcznym korpusem stał w Krakowie, podać rękę załogom polskim rozstawionym w fortecach i odpierającym mężnie nieprzyjaciela, jednem słowem, z nad Elby przenieść znów wojnę nad Wisłę, oto co w tej chwili otwierało się przed Francuzami. Jenerał Bonaparte byłby zapewne chwycił się tego planu, ale cesarz Napoleon już się na to nie odważył; wolał traktować o pokój z Rosyą, on ile podobna walki unikał; i przyznać też trzeba, że go nie zachęcali do dalszej wojny marszałkowie francuscy, obsypani dostojeństwami i pragnący używać dostatków, spoczynku. W Neumark Cesarz wyprawił Caulincourt'a do Aleksandra z propozycyami pokoju; Chłapowskiemu polecono eskortować francuskiego ministra. Przybyli do Pleswitz, gdzie ich oczekiwali ze strony rosyjskiej jenerał Szuwałow, z pruskiej Cleist. Razem z Caulincourt'em wysłany był sekretarz cesarski Fain, który Chłapowskiego

widywał często na pokojach cesarskich i uważał go nieledwie za Francuza. Kiedy Caulincourt konferował z pełnomocnikami rosyjskim i pruskim, Fain pokazał Chłapowskiemu w zaufaniu warunki, które Napoleon sprzymierzonym ofiarował. Jakież było zdziwienie Chłapowskiego, gdy przeczytał, że Cesarz zaraz na wstępie oddaje Aleksandrowi całe Księstwo warszawskie i pozwala, żeby się ogłosił królem polskim, albo je wcielił do swego Cesarstwa! Jak piorun przeraziła go ta wiadomość; wzruszony do głębi zamilkł, aby się przed Francuzem nie zdradzić, ale zaraz powziął decyzyą porzucić służbę Napoleona. — Skoro stanęło zawieszenie broni, Napoleon powrócił do Drezna. Tam Chłapowski oświadczył Soultowi, że prosi o dymisyą, dając za przyczynę, aby Faina nie kompromitować, że jest ranny i że potrzebuje odpoczynku. Marszałek znając dzielność Chłapowskiego, nie uwierzył tej racyi. „Zastanów się co robisz, rzecze, masz lat dopiero 25, wkrótce zostaniesz jenerałem; jakże możesz psuć taką karyerę!“ Chłapowski nie chciał się tłómaczyć i sucho ponowił żądanie dymisyi. Cesarz niemile był tem dotknięty, zwłaszcza że lubił Chłapowskiego i chętnie się nim posługiwał, ale zrozumiał o co mu chodzi, i przywoławszy w kilka dni, niby łaskawie go przyjął. „Czy chcesz powrócić do ojca,“ zapytał, i nie czekając odpowiedzi, rzekł dalej: „Tego nie możesz w tej chwili; jedź do Paryża albo do Włoch. Mówił mi Iwan, że piersi twoje niemocne, do tego jesteś ranny. Teraz zawrę pokój, ale mam nadzieję, że jeszcze raz zawitam szczęśliwiej do twego kraju. Skoro pokój stanie, jedź do ojca i pozdrów go odemnie.“ I temi słowy go pożegnał, bez żadnej nagrody, bez żadnego uznania tyloletniej usługi i polecił wydać mu dymisyą 13 czerwca 1813 roku, w tymsamym stopniu podpułkownika gwardyi, w którym Chłapowski trzeci rok służył i odbył dwie kampanie. Razem z Chłapowskim i dla tejsamej co on przyczyny, zażądali uwolnienia jenerał Chłopicki i kapitan Jordan. Chłopicki, gdy się dowiedział od Chłapowskiego, że Napoleon gotów jest oddać Księstwo warszawskie Aleksandrowi, zaklął po swo-

jemu i dodał: „Wolałbym tłuc kamienie na drodze, niż służyć dłużej temu człowiekowi!“

Bitwa pod Lipskiem, „walką narodów“ przezwana, zapewniła tryumf koalicyi i położyła kres panowaniu Napoleona w środkowej Europie. Już on odtąd własnego kraju bronić był zmuszony i obronić go nie mógł. Francya, zasypawszy od Tagu aż do Wołgi, wszystkie pola Europy kośćiami swych żołnierzy, już się nie zdobyła na więcej obrońców; zmęczona długą, krwawą epopeją, przesycona trofeami, jednego przedewszystkiem żądała, — spoczynku, — spoczynku, chociażby kosztem klęsk i pewnego poniżenia! W zwycięstwie koalicyi widziała nie swoję, lecz Napoleona przegraną; na upadek jego patrzała obojętnie, powiedzmy więcej, z uczuciem, jakby znowu do własnego wrócić miała życia. — Bodaj czy nie bardziej żałowano go w Polsce, gdzie napoleonizm i patryotyzm przez długie lata za jedno uchodziły. Mało kto wśród Polaków wiedział, jakie były istotne Napoleona względem nas zamiary, a wszyscy czuli, mianowicie w Księstwie, że jemu winni wydobycie się z tego marazmu, z tego błota miękiego, w którem ich czasy pruskie pogrążyły; wszyscy czuli, że on w nich odrodził ducha żołnierskiego, on dał im chwałę wojenną i wrócił im szacunek u ludów Europy w wieku XVIII stracony; a nadto wszyscy widzieli, że teraz, gdy Cesarza zabraknie, przejdą oni pod panowanie tych, co jego i ich byli zwycięzcami. Stąd żałoba powszechna, przynajmniej w Księstwie, bo na Litwie nie miano mu nic do zawdzięczenia. — Atoli z bitwą pod Lipskiem wiązało się u Polaków inne jeszcze, żałosne wspomnienie. Ostatnia to była wielka, wspólna akcya z Francuzami. Przez lat blisko dwadzieścia walczyli obok nich z bohatyrstwem i rezygnacyą dla swojej Ojczyzny; „po wszech ziemiach, po wszech wodach siali przyszłej Polski siew, Boże ziarna, własną krew“; i ten siew krwawy, te szczytne boje zamknęli szczytniejszą jeszcze śmiercią ukochanego wodza. Książę Józef, najświetniejszy typ, nie powiemy, polskiego obywatela, ale polskiego żołnierza, jak go w owej epoce pojmowano, rycerz bez plamy i honoru narodowego stróż, jak swą zacnością i męstwem za-

tarł niejedno przykre dla narodu wspomnienie, tak i wtedy nawet, gdy los przeciwny wytrącał oręż z ręku Polaków, jeszcze im pełną chwały śmiercią oddał niespożytą usługę. Od czasu Sobieskiego żadne imię polskie nie zyskało tyle, co księcia Józefa, chlubnego w całej Europie rozgłosu; i długo jeszcze potem, gdziekolwiek widziano polskiego żołnierza, zaraz stawał na myśli ów *„Poniatowski,“* żołnierz nad żołnierzami, walczący po bohatyrsku aż do upadłego, okryty ranami i tonący w nurtach Elstry!...

Ze śmiercią księcia Józefa kończy się właściwie działanie Polaków w wojnach Napoleońskich; dalsze było już tylko nic nie znaczącym w historyi przydatkiem.

II.

URATOWANIE OJCZYSTEGO MAJĄTKU

(1815—1830).

§ 6.

Objęcie majątku. Pobyt w Anglii i w Szkocyi.

Przez lat siedm Polacy brali gorący udział we wszystkich wojnach napoleońskich, krew swoję oddawali bez targu, trudy, ofiary, cierpienia znosili bez szemrania, wszystko dla miłej Ojczyzny, i jakaż ich za to spotkała nagroda? Nie ta zapewne, jakiej pragnęli, ale jednak niemała. Zyskali imię zaszczytne w całej Europie, przyjaciół i nieprzyjaciół zmusili do szacunku, zmusili ich do przyznania, że Polsce krzywda się dzieje, że ona na lepszy zasługuje los, i doczekali się tego, że na kongresie wiedeńskim daleko znośniejsze zapewniono im położenie niż to, w jakiem ich zostawił ostatni traktat podziałowy. Ale zyskali coś więcej jeszcze. W sobie samych znaleźli miłość Ojczyzny i ofiarność w stopniu oddawna niewidzianym, znaleźli ducha rycerskiego, który przygasł był od stu lat; w nich samych wzmogła się wiara, że są narodem zdolnym do życia, i ustaliło się niezłomne dążenie, by być znowu tem, czem w myśli Bożej być mieli. To wewnętrzne ukrzepienie, ten własny ducha zarobek, to była najwyższa, najistotniejsza nagroda, którą z tych twardych czasów wynieśli..

Przez lat siedm młody Chłapowski służył przy Napoleonie, a z taką dzielnością, że i starzy żołnierze musieli ją podziwiać, w posługach trudnych i niebezpiecznych, w ogniu wojennym, w męczących podróżach, bez pamięci na siebie,

bez oszczędzania sił swoich; i styrał swe zdrowie i potrzykroć był ranny. I cóż wyniósł z tej uciążliwej służby? Wszak mu nie dano nawet awansu, który mu się przy dymisyi należał! — Wyniósł bardzo wiele. Z młodego kawalerzysty, pełnego rycerskiej fantazyi, wyrósł na skończonego oficera, który nauczył się słuchać, nauczył się rozkazywać, przywykł do porządku i karności, poznał dokładnie wszelki rodzaj broni, wypróbował w boju swoją odwagę i przytomność umysłu, a świetnością swoich wojennych przymiotów wzbudził zarówno u kolegów, jak u dowódzców pełne szacunku uznanie. Dużo świata zobaczył, całej niemal Europie zbliska się przypatrzył, wszedł w ścisłe stosunki z mnóstwem ludzi pierwszorzędnych i te przydały mu się nieraz w późniejszem życiu. Ale to jeszcze nie wszystko. Ważniejszym od tych zewnętrznych korzyści był i u niego wewnętrzny zarobek ducha: umysł, który zbogacił nauką i doświadczeniem; spokój i panowanie nad sobą, którego nabył w trudnych przeprawach; rozsądek jasny i prosty, który przywykł chwytać każde zadanie z najwłaściwszej strony; energia i hart woli niezłomny, który się nie cofał przed wysileniem i z obranej drogi nie zbaczał. Ze szkoły napoleońskiej wyszło u nas wielu znakomitych oficerów; ale Chłapowski stał się w niej nadto mężem do wszelkiej obywatelskiej pracy zdolnym i gotowym.

I oto uwaga, jaka się z tego zestawienia nasuwa: dla narodu jak dla indywiduum, nie ten rezultat pracy jest najważniejszy, który mu z zewnątrz korzyść przynosi, lecz ten, który wewnątrz, w duszy zostaje...

* * *

Otrzymawszy dymisyą z rąk Soulta, Chłapowski w połowie r. 1813, pojechał do Paryża i zamieszkał w domu najbliższych swych przyjaciół, Caramanów. Rzadki był oficer z r. 1812, któryby tej kampanii nie odchorował, czy wówczas, czy później; i Chłapowski wyniósł z niej zaród ciężkiej choroby, od której bronił się, póki był w służbie, siłą wytężonej wojny, ale której uległ, gdy się znalazł bez zajęcia;

w Paryżu rozwinęła się w nim zgniła febra i przez kilka miesięcy trzymała go w łóżku. Skoro przyszedł do zdrowia, Caramanowie ofiarowali mu swą siostrę za żonę i z nią się zaręczył. Ale gdy zażądali od niego, aby się wyrzekł powrotu do Ojczyzny i przyjął służbę w armii francuskiej, w której mu ofiarowano dowództwo pułku gwardyi konnej królewskiej, Chłapowski tego warunku nie przyjął i swej narzeczonej zwrócił słowo. Nie zerwało to ani oziębiło ich stosunków: Chłapowski i z nimi i z ich siostrą, późniejszą panią de St. Priest, pozostał w dobrej przyjaźni. Atoli słysząc, że Rosyanie jeszcze zajmują Wielkopolskę, do kraju wracać nie chciał i w jesieni r. 1814 wyjechał do Anglii. Tu po raz pierwszy mógł się przypatrzeć wolnemu narodowi, używającemu w całej pełni konstytucyjnego życia. Toczyły się w parlamencie przez kilka tygodni rozprawy nad bilem zbożowym, nakładającym wysokie cło na ziarno zagraniczne. Potrzebne było takie prawo i słuszne, gdyż podczas wojen z Francyą właściciele ziemi czynili ogromne nakłady, nieraz za pożyczane pieniądze, aby produkcyą zboża do najwyższego stopnia powiększyć, i Anglią, ściśniętą od Napoleona, ochronić od głodu. Ale niepodobało się to robotnikom miejskim, którzy za chleb drożej płacić musieli; ztąd niezmierna agitacya po większych miastach i niechęć klasy przemysłowej do wszystkich deputowanych, którzy za bilem zbożowym w Izbie przemawiali. W Londynie zbiegowiska były niemal codzienne; stolica wydawała się jakby w rewolucyi, parlament otoczony mnóstwem ludu, który groźnemi okrzykami i obelgami, stronników bilu przyjmował, a bywało, że i szturkańcami okładał. Po ulicach przechodziły tłumy z napisami: *No Corn bill*, „precz z prawem zbożowem;“ wybijano okna deputowanym, zdarzało się, że i drzwi domów wyłamywano i wdzierano się do mieszkań, które jednak deputowani, przewidując co się stanie, zawczasu uprzątali. Nadbiegało wojsko, spieszyli konstable, czytano prawo zgiełkowe. Trwały krzyki i groźby przy pierwszem i drugiem tego prawa czytaniu; lecz skoro po raz trzeci je powtórzono, wszystko rozchodziło się do domów i wnet ani śladu zamięszania na

ulicy, bo każdy wiedział, że po trzeciem odczytaniu wojsko z bronią w ręku pocznie tłum rozpędzać. Przyzwyczajeni do takich scen Anglicy niewiele na nie zwracali uwagi; ale dla Chłapowskiego ta agitacya i ta wytrwałość deputowanych w obronie swych opinij, były widokiem całkiem nowym i posłużyły mu za naukę, że w kraju wolnym kto chce służyć sprawie publicznej, powinien iść za swem przekonaniem, nie oglądając się na popularność.

W Londynie doszła go wiadomość, że Napoleon opuścił Elbę i wylądował we Francyi. Znając armią francuską, nie wątpił, że ona przejdzie do Cesarza, ale i o tem także nie wątpił, że cała Europa zwiąże się przeciw niemu i raz jeszcze wytrąci mu oręż z ręki. Sprawę tę uważał za całkiem obcą dla Polski i mięszać się do niej nie chciał; lecz że miał służbę i konie w Paryżu, pojechał po nie i tegożsamego dnia, nad ranem, stolicę Francyi opuścił, w którym pod wieczór, Napoleon tryumfujący, Tuillerye na chwilę był zajął. — Wrócił Chłapowski do domu; w dziedzicznej Turwi zastał ojca już znacznie pochylonego wiekiem, który się po raz drugi ożenił. Pan Starosta kościański objął był po swym ojcu, kasztelanie międzyrzeckim, bardzo znaczny majątek; lecz przyzwyczajony do wygody, prowadził życie nieczynne, nie umiał sobie odmówić żadnej przyjemności i jak większa część polskich panów, nie rachował się z wydatkami [1]). Trzymał kamerdynerów, kredencerzy, szatnych, laufrów, cugi powozowe, jednem słowem, prowadził dom na pańską stopę.

[1]) Starosta kościański jeździł zamłodu do Moskwy i do Berlina z ks. Jabłonowskim; potem osiadł na wsi, gdyż mu teść, wojewoda Moszczeński, dając córkę, za warunek położył, aby miejsca w Senacie nie przyjmował.

Kupił od Rzpltej w dziedzictwo starostwo kościańskie za 200,000 zł. Mimo to rząd pruski starostwo zabrał i darował szambelanowi bar. v. Schilden. Dopiero później, gdy się Król o tem dowiedział, kazał Schildenowi ułożyć się ze Starostą, skutkiem którego ten ostatni znowu 180,000 zł. zapłacić musiał. To był początek długów, z któremi, gdy i ofiar wojennych przybyło, Starosta dać sobie rady nie umiał.

Nie stawało dochodów i na opędzenie codziennych wydatków zaciągano długi. Interesa wikłały się, procenta nieopłacone pomnażały stan bierny, majątek niknął z każdym dniem, ale pomimo to, nie zmieniano nic w zwykłym, wystawnym i okazałym trybie życia. Jeszcze lat kilka, a ruina była zupełna, nieuchronna w takiem położeniu. Przyjazd Dezyderego musiał być nader pożądanym dla starego ojca; wiedział on dobrze, że rzeczy iść tak dalej nie mogą; z dawnemi nałogami zrosły, odstąpić od nich nie czuł się na siłach. Oświadczył więc, że mu gotów sprzedać czy oddać majątek pod warunkiem, iżby przyjął na siebie długi, a nadto iżby zobowiązał się płacić macosze pensyą roczną 6000 zł. Oszacowano Turwią i Rąbin na 1.200,000 zł.; że zaś długi wynosiły do miliona, a pensya macochy reprezentowała kapitał 120,000 zł, nie zostawało Dezyderemu z majątku ojcowskiego prawie nic.

Myślę, że jeśli nie między tymi, co mnie dzisiaj łaskawie słuchają, to w tej prowincyi znajdzie się taki, co był a może jest jeszcze w dość podobnej sytuacyi, i że on także objął po swym ojcu pokaźną fortunę, bogatą w ziemię, bogatą w służbę i we wszystkie pozory dawnego dostatku, ale jeszcze bogatszą w długi hipoteczne i zaległości procentowe; i że rozpatrzywszy się dokładnie w dochodach i nieuniknionych wydatkach, i on także przyszedł do przekonania, że nosi tylko tytuł właściciela dóbr, a istotnie nie jest niczem więcej, jak rządcą swoich wierzycieli. Mam przedstawić, jak się Chłapowski ze swego zadania wywiązał. Ta część mego opowiadania musi być sucha, pełna cyfr i szczegółów drobiazgowych, a jednak rozumiem, że obojętną nie będzie dla moich słuchaczów, których obchodzi los naszego obywatelstwa. Niejeden z nich posłyszy tu może coś ze swego życia i ze swych kłopotów: *mutato nomine de te fabula docet*, „pod innem nazwiskiem, o tobie tu mowa.“

Otwierała się w ten sposób nowa przed Dezyderym epoka i nowa szkoła, jeśli nie twardsza od tej, którą przebył, to całkiem od niej różna, wprost przeciwna rodzajowi życia, jakie dotąd prowadził. I on podobnież jak ojciec żył po

pańsku, chociaż w ciężkim trudzie; pensyą pobierał bardzo znaczną, wydatki służby miał opatrywane ze skarbu cesarskiego; oszczędnym nie był, z wydatkami rachować się nie potrzebował; zresztą, w kampanii, w wilią bitwy, któż o tem myśli, co ma w kieszeni! Tymczasem, tu zupełnie co innego go czekało; tu trzeba było być nader oględnym w wydatkach, rachować i rachować wciąż, aby każdemu zobowiązaniu uczynić zadość, a wszystko wyciągnąć z ziemi, z gospodarstwa, którego nigdy nie prowadził, na którem nie znał się wcale. — Przez chwilę zawahał się, czy nie byłoby lepiej porzucić ten fikcyjny majątek, szukać chleba i dalej, własną pracą, w służbie wojskowej. Nasuwała się okazya. Rząd pruski, pragnąc nadać W. Księstwu instytucye narodowe, jak tego wymagał traktat wiedeński, powziął myśl utworzyć w Poznańskiem wojsko polskie: brygadę piechoty i brygadę jazdy. Namiestnik królewski, ks. Radziwiłł, ofiarował Chłapowskiemu dowództwo pułku kawaleryi. Ale Chłapowski nie wierzył, aby rząd wytrwał długo w tych intencyach; niejasną mu się wydawała sytuacya w polskim mundurze z pruską kokardą; przytem żal mu było porzucać majątek ojcowski: zawszeć to spory kawał ziemi polskiej, którą ratować warto; gdy jej zabraknie, cóż nam zostanie!... Odmówił ofiarowanej mu komendy i postanowił osiąść na wsi, pracować i raz jeszcze rozpatrzył się w rachunkach gospodarskich. Obaczył, że dwa majątki, Turwia i Rąbin, przynoszą w zbożu 66,270 zł., owczarnia 18,000 obora i trzody 7000, propinacya 4000, młyny i las 1400, razem 99,530 zł. dochodu brutto. Wydatki zaś były takie: podatki, expensa gospodarskie, pensye oficyalistów i czeladzi 35,808 zł.; przydawszy do nich 50,000 bieżących prowizyj i 6000 zawarowanej pensyi, wynosiły sumę 91,808 zł., czyli że zostawało nadwyżki około 8000 zł., którremi przez lat kilka wypadało umarzać zaległe procenta. — Rezultat nieświetny zaiste, przekonał Chłapowskiego, że objąwszy dobra, nie wziął właściwie nic. Zwołał tedy wierzycieli i proponował im, iżby któryś z nich przyjął majątek z obowiązkiem spłacenia wszystkich ciężarów, albo, jeśli tego nie chcą, powierzyli mu i nadal swoje wierzytel-

ności, a on przyrzeka im uiszczać się regularnie z procentów i każdego roku, wedle możności, upłacać coś z kapitału. Zgodzono się na tę drugą alternatę; zaczem Chłapowski jął się pracy całą duszą, postawiwszy sobie za jedno z najgłówniejszych zadań: *oczyścić majątek z długów*. — Zaczął od tego, od czego każdy roztropny gospodarz zaczyna, że wydatki niekonieczne usunął, służbę zbyteczną odprawił, w życie codzienne ścisłą oszczędność wprowadził, festynów i kosztownych przyjęć zaprzestał, cały dochód z dóbr na wkłady gospodarskie i na wierzycieli przeznaczył; dla siebie nie zostawił nic, przestając na pensyi baronowskiej, którą od rządu francuskiego pobierał; jedynym zbytkiem, którego sobie pozwolił, była para dobrych wierzchowców do codziennej jazdy. A znakiem tych odmian i zapowiedzią nowego porządku domowego było to, że tarczę herbowną, zawieszoną u głównych drzwi pałacu, uprzątnął, a w jej miejsce duży zegar wstawić kazał. Zbyteczna ostrzegać, że szlachectwa swego wyrzekać się przez to nie myślał, tylko jakby mówił, że dziś, kiedy ojczyzna w grobie, nie czas na dawnych przestawać klejnotach, trzeba na nowe zarabiać. Wszystkie te zmiany zbyt przeciwne były ówczesnym pojęciom i nawyknieniom, aby się mogły podobać; ściągnęły też na niego żarty i przezwiska dziwaka i jakobina; dziwactwo jego było tem większe, że o sądy ludzkie mało się troszczył.

Kto chce ratować swój majątek, od oszczędności musi zacząć, choć się o tem dość często zapomina. Wszelako oszczędność i rządność w domu, jakkolwiek konieczne, początkiem są tylko; pozostaje ulepszyć gospodarstwo i zwiększyć produkcyą; a Chłapowski, jak wspomniałem, na gospodarstwie się nie znał. „Przez rok cały, mówi on, przypatrywałem się robotom w polu i na podwórzu; wypytywałem o wszystkie szczegóły i zawsze tęższamą otrzymywałem odpowiedź: tak jest dobrze, tak doświadczenie uczy, dawniej zawsze tak robili. Za najlepszego gospodarza w tej okolicy uchodził p. Chłapowski z Czerwonej wsi, a i ten na moje pytania odpowiadał: już mi wierz, tak być powinno; tak robię i mam się dobrze.“ Nie zaspo-

kajało to Dezyderego. Sprowadził sobie dzieła niemieckie o gospodarstwie: Thaera, Blocka, Koppego; lecz spostrzegł, że ci autorowie albo książki angielskie tłómaczą, albo się do nich odwołują. Kupił więc i te, a mianowicie: Browna, Sinclaira i Artiura Younga. W ciągu zimy przeczytał wszystkie i nabrał przekonania, że aby dobrze zrozumieć ich naukę, trzeba ją widzieć w praktyce. Spodziewał się to zobaczyć w Möglinie, u Thaera, który w Prusiech najwyższą był gospodarską powagą; ten mu wyznał szczerze, że wszystkiego nauczył się od Anglików, lecz zbyt krótko u nich bawił, aby wszystko od nich przejąć; bo rząd pruski dał mu tylko 300 talarów na podróż; radził więc Chłapowskiemu pojechać do Anglii. Rada była dobra; wiedząc, jak się u nas odbywają roboty, mógł teraz łatwiej rozpoznać, co ztamtąd da się przenieść i zastosować w kraju.

W lecie, 1818 r., wyjechał do Londynu i tyle tylko w tem mieście zabawił, ile było potrzeba, aby się wywiedzieć o najlepszych rolników i otrzymać do nich listy z poleceniem. Mówiono, że najpierwszym agronomem w Anglii jest p. Cook, który później nosił tytuł księcia Leicester, mieszkający w hrabstwie Norfolk; do niego się więc udał. P. Cook zamłodu podróżował wiele, znał Polskę, był i na Ukrainie, a Napoleona gorącym był zwolennikiem. Skoro więc posłyszał, że ma przed sobą pułkownika starej gwardyi, który pełnił obowiązki adjutanta przy Cesarzu, przyjął go najserdeczniej, obwoził go po folwarkach i wszystkie roboty gospodarskie, jednę po drugiej pokazywał. Chłapowski nie przestawał na obejrzeniu; kiedy go rzecz jaka uderzyła, chciał się z nią praktycznie obeznać. Uczył się jak orać pługiem szkockim, który mu się najlepszym wydał, jak stogi układać, jak bydło w oborze opatrywać, jak doglądać chowu koni. Zdziwiło to Anglika. Patrząc, że ten młody pułkownik napoleoński, ten g e n t l e m a n polski o wykwintnych manierach, nie wahał się zabrudzić rąk i pracować zawzięcie, jak najprostszy robotnik folwarczny; że nocy nie dośpi, wstaje do dnia, zje co mu podadzą i zmęczenia nie zna, jakby był ze stali; że umie pytać i słuchać, i choć tyle widział, nigdy

się nie przechwala, o sobie nie gada i, co najrzadsze między ludźmi, nie wstydzi się przyznać, kiedy czego nie wie, — powziął dla niego cześć i serdeczną życzliwość. „Zostań tu z nami, rzecze, tu się czegoś dorobisz, tam nie zrobisz nic. Znam ja Polaków, mili są i gościnni, ale pracować nie umieją; lubią bawić się i błyszczeć. Ścisłości i dokładności nie ma u was za grosz; u mężczyzn tak dobrze, jak u kobiet; i to was gubi i to sprawia, że obcym nie potraficie się obronić. Zostań z nami!“ Chłapowski tej rady nie usłuchał; nie przeczył, że Polacy mają wielkie wady; ale mogą się poprawić, dodawał, a poprawny Polak więcej wart od obcego.

Od p. Cooka pojechał do Szkocyi i w tym kraju najdłużej zabawił, i różne folwarki rozpatrywał, i jeszcze pilniej we wszystko wglądał; raz dlatego, że Szkoci wydali mu się lepszymi od Anglików rolnikami, powtóre, że ich klimat podobniejszy do naszego, więcej od nich przyjąć pozwala. Tam dopiero, jak mówi, zrozumiał on płodozmian i dokładnie się go wyuczył; kupował pługi i maszyny i upatrzył sobie maszynistę szkockiego, który z nim do Turwi pojechał i na Polaka się przerobił. — Poznał także akademią rolniczą w Edymburgu; rad był wiedzieć, jak się Anglicy uczą gospodarstwa. W Anglii i w Szkocyi właściciele wielcy rzadko sami gospodarują, bo zajęci sprawami publicznemi, czasu na to nie mają. Jest tam osobna, nader liczna klasa dzierżawców, ludzi gruntownie w swem rzemiośle wyćwiczonych, w której syn po ojcu dzierżawy pilnuje; i to stanowi jeden z głównych warunków bogactwa tego kraju. Młody człowiek, syn dzierżawcy, ukończywszy szkoły, nie oddaje się, jak u nas, prawu albo medycynie, ale jedzie na dwa lub trzy lata do akademii edymburskiej i uczy się fizyki, chemii, mineralogii, botaniki, a także matematyki i mechaniki. Złożywszy examina, idzie na służbę do któregoś ze znanych rolników, gdzie ojciec przez dwa albo trzy lata płaci za jego wyżywienie. W pierwszym roku ćwiczy się praktycznie we wszystkich robotach, przez dwa następne dozoruje nad niemi, przechodząc od jednej do drugiej. Już wtedy młody agronom ma od 25 do 30 lat i ojciec szuka dla niego dzierżawy albo

5

mu swoję oddaje. W Anglii prawie wszystka ziemia należy do arystokracyi i to jest przyczyną, że dzierżawcy nie rwą się do kupna dóbr z małym kapitałem, na czem tracą najczęściej; wykształceni i zamożni, mogą oni być rzetelnymi, właścicieli nie zawodzą, a sami się bogacą. Który naród nie ma takich umiejętnych i sumiennych dzierżawców, ten z trudnością ziemię w swem ręku utrzyma; obcy ludzie muszą ją powoli w swe ręce przejmować. -- I to także Chłapowskiego uderzyło, że w Anglii i Szkocyi nie znalazł istotnych szkół rolniczych, jakich Niemcy tak wiele u siebie założyli, a i my za nimi, naśladując ich zbyt wiernie. Jest wprawdzie pod Londynem szkoła agronomiczna, ale to spekulacya na cudzoziemców; można tam się nauczyć języka angielskiego, lecz nie rolnictwa. Anglicy utrzymują, że szkoły agronomiczne do niczego nie prowadzą i najczęściej fałszywe pojęcia dają uczniom. Folwark urządzony na szkolę, stoi zwykle na osobnej dotacyi i nie może być tak prowadzony, jak majątek prywatny, dla którego koniecznością jest mieć więcej dochodu niż wydatków. Robią tam próby i doświadczenia dla pokazania uczniom, które wymagają nakładu i którychby pewno zwyczajny gospodarz u siebie nie czynił; uczone gospodarstwa mogą posuwać naprzód wiedzę teoretyczną, ale intraty nie przynoszą. Zdaniem Anglików, jedna jest tylko droga do wykształcenia rolnika: gruntowna nauka przygotowawcza, a następnie kilkoletnia praktyka u dobrego gospodarza [1]. Tę metodę przyjął od nich Chłapowski i jak później obaczymy, zastosował ją u siebie z niemałą korzyścią dla kraju.

---

[1] *O Rolnictwie*, przez Dezyderego Chłapowskiego. Wydanie czwarte. Poznań 1845, str. 257.

§ 7.

Naprawa gospodarstwa.

Przebywszy ośmnaście miesięcy w Anglii i Szkocyi, z bogatym plonem nauki i doświadczenia Chłapowski powrócił do swego majątku i wziął w swoje ręce gospodarstwo. Tu zaczęła się dla niego prawdziwie herkulesowa praca: tu musiał on wojnę prowadzić nie z zewnętrznym nieprzyjacielem, ale z wieloma domowymi: z naszym nieporządkiem, z naszem lenistwem, ze staremi nawyknieniami, które na każdym kroku stawiają nam opór; tu, jak pięknie powiedziano, zaczęło się nowe jego życie, „które przez lat pięćdziesiąt miało być wzorem i szkołą dla całej Polski“ [1]. Chłapowski gwałtownym reformatorem nie był wcale; roztropny i praktyczny, robił rzeczy powoli, stopniowo, z dobrze obmyślanym planem, nie wywołując naraz zbyt wielu trudności. W Turwi postanowił odrazu na sposób angielski zaprowadzić płodozmian; w Rąbinie miał starego, ale pilnego gospodarza. Nazywał się Rymkiewicz, dawny żandarm, człowiek prawy i energiczny; przez wzgląd więc na niego wolał rzeczy do czasu zostawić po dawnemu, pilnując tylko sumiennej uprawy roli i racyonalnego chowu inwentarza, „bo jak mówił, metoda mniej dobra, lecz wykonana należycie więcej warta od najlepszej, wykonanej niedbale.“ I słusznie

---

[1]) Paweł Popiel, *Nekrolog* w „*Czasie*“ 3 maja 1879.

5*

tak postąpił, bo i w Turwi samej spotkał się z niewypowiedzianym oporem. — Warto przypatrzyć się bliżej tej walce: wszak niejednemu z nas się wydaje, że przez takie trudności, jakich on doświadcza, nikt jeszcze nie przechodził. Słudzy jego i urzędnicy nie mogli pojąć, po co nanowo dzielić pola, kopać i prostować rowy, wywozić kamienie, skoro dotąd nikt tego nie robił; nie mogli oswoić się z nowemi narzędziami i jeden po drugim dziękowali mu za służbę. Nawet fornale dworscy nie chcieli się chwytać szkockich pługów; musiał Chłapowski z majątku, który po matce w Krakowskiem odziedziczył, a który ojciec dożywociem zatrzymał, ściągać fornali; i dopiero gdy ci pługami szkockiemi orać poczęli, przekonali się turewscy, że i z tem można sobie dać radę. Jak mało ułatwienia na każdym kroku znajdował, wnieść można choćby z tego, że chcąc obsiać swe pola białą koniczyną, musiał z Anglii kilka cetnarów ziarna na rok wprzódy zapisać, i gdy przyszło do Berlina, wyprawiał po nią, o mil 30, własnego stangreta, bo innej komunikacyi z Berlinem jeszcze wówczas nie było. Wielkie zdziwienie wywołało u sąsiadów, że w Turwi sieją trawy, koniczynę zamiast zboża, że pola ogradzają żywemi płotami, że na nieużytkach sadzą drzewa; nic podobnego w Polsce nie widziano, mówiono tedy, że „pułkownik zwaryował“ i starano się wpłynąć na Starostę, by syna przywiódł do upamiętania i zapobiegł jego ruinie. — Chłapowski na to nie zważał. Widział jasno, że tylko przez ulepszenie rolnictwa i podniesienie ludu wiejskiego można jeszcze naród ocalić; a ta myśl, że pracując w ten sposób na grzędzie ojcowskiej, służy najlepiej krajowi, dodawała mu zachęty i sił do zniesienia wszystkiego. „Bóg widzi, pisał on później do jednego z swych synów, że nie chęć zbogacenia się, ale uratowanie tego kawałka ziemi polskiej ciągnęło mnie do pracy; a jeżeli później domięszało się pragnienie zapewnienia wam bytu niepodległego, to dopiero kiedy Pan Bóg mi was dał.“ Żołnierzem był całą duszą i to usposobienie wlał w gospodarstwo swoje. Jak na wojnie sam rozstawiał placówki i do każdej zajrzał wedety, tak i na wsi wszędzie był, wszystkiego sam doglądał.

Zdarzało się, że podczas żniwa, kiedy o zmroku ostatni wóz zjeżdżał z pola, on dawał polecenie, by wozy o świcie wracały, a sam położył się na snopku, jakby w kampanii, i tak się przespał aż do wschodu słońca. „Rolnictwo i wojna, mawiał on, mają do siebie coś podobnego; jak na wojnie musisz patrzeć, co robią kolumny nieprzyjaciela i według tego swoje urządzać, tak i na wsi baczyć trzeba, jak pługi chodzą i czego rola wymaga, by ją spulchnić i użyźnić; tam się uważa, jakim szykiem postępuje nieprzyjaciel, tu jak chmury idą i podług tego na polu robić.“ — Nawykły do żołnierskiej komendy, miał sposób rozkazywania krótki, dobitny, stanowczy; nie krzyczał nigdy, ale mówił mocno, a miał coś w swoim głosie, co odrazu zmuszało do posłuszeństwa. „Kiedy nasz pan daje rozkaz, to człeka aż ciarki przechodzą,“ mówili jego słudzy. — Zaprzeczał temu, by Polacy trudni byli do posłuszeństwa, tylko twierdził, że mało jest takich między nimi, coby umieli rozkazywać, że to jest główną przyczyną naszego nierządu. Zazwyczaj dają rozkazy niejasne, wątpliwe; nie tak rozkazują jak radzą podwładnemu, zostawując mu pole do samowolności, temsamem do niedopełnienia tego, co zlecone. Kiedy Francuz powie służącemu co najwięcej: *„fermez la porte, s'il vous plait,“* u nas się mówi: „zamknij drzwi, bo w i e j e,“ motywując swój rozkaz; służący odpowiada, że nie wieje; zaczyna się dyskusya i — polecenie niespełnione! — Źle jest także, kiedy się daje rozkazy gwałtownie, z fukiem, a podwładny mniemać może, że pan o nich zapomni, gdy ochłonie; jeszcze gorzej, kiedy rozkazujący sam nie jest pewny, czego chce i kiedy zmienia łatwo swe postanowienia; to jedno wystarczy, by rozprządz wszelką służbę. „Chciałbym ci, mój synu, cytujemy jego słowa, wlać moje doświadczenie, byś nie potrzebował jak ja odbyć siedmiu kampanij i dojść do pół wieku, zanimbyś się uspokoił... Wierzaj mi, że dla karności i porządku domowego konieczną jest rzeczą n i g d y s i ę n i e g n i e w a ć; przynajmniej na zewnątrz tego nie okazywać, lubo z czasem i to w sobie wyrobisz, że się i w e w n ą t r z g n i e w a ć p r z e s t a n i e s z; rzeczy niezawsze mogą iść po naszej myśli i

wszystko zawsze udać się nie może. Ważną jest rzeczą, by poznać dobrze każdego człowieka i użyć go według zdolności. Jednego użyć można tylko jako maszyny i temu nie należy wiele tłómaczyć, tylko jasno i kilkoma słowy rozkazać; innemu nie zaszkodzi więcej odrazu polecić, bo niema obawy, by mu się w głowie pomięszało; nareszcie są i tacy, i więcej niż przypuszczamy, których samych puścić można; rozłożą się właściwie i z chęcią robić będą. Ale zawsze potrzebnym jest dozór, inaczej wszyscy mimowolnie się zaniedbają. Ten zaś dozór jest najlepszy, kiedy ludzie są przekonani, iż pan wie o tem, co każdy ma do roboty i że co kilka dni kontrolować ich będzie; wtedy rąk nie opuszczą i robota prędzej pójdzie.“

Reformę gospodarstwa, jak widzimy, zakładał głównie na tem, by przyuczyć ludzi do sumiennej i dokładnej pracy; byłato więc naprawa i ekonomiczna i moralna zarazem, bo o jednej próżno myśleć bez drugiej. — Aby swój majątek ocalić i ulepszyć, trzeba wprzód swoję służbę poprawić, a pierwej jeszcze samego siebie wielu rzeczy oduczyć; inaczej, trud to będzie daremny. Nierząd ekonomiczny bywa najczęściej dowodem i skutkiem jakiegoś nieporządku w duszy. Kiedy się nową budowę ze staremi wadami zaczyna, to się stawia — zamki na lodzie, a z takich zamków zostaje tylko jeszcze większa niż była kałuża!... „Nie odmieni się nasz chłop, mawiał Staszyc, dopóki się szlachcic nie odmieni“; tem bardziej nie odmieni się gospodarstwo. — Równo z umiejętną uprawą roli szło w Turwi ulepszenie wszelkiego rodzaju inwentarza: koni, które z wielkiem upodobaniem chodował, krzyżując rasę domową z ogierami arabskiemi; bydła, do którego poprawy rasy szwyckiej używał; owiec, które rasą hiszpańską, sprowadzoną z Malmaison, wzmocnił i ulepszył. Był on jednym z pierwszych w Wielkopolsce, który porządne gospodarstwo do lasów zaprowadził i zwierzynę leśną troskliwą otoczył opieką. — Wszakże prostując i naprawiając każdą gałąź gospodarczą i zasilając rolnictwo domowym przemysłem: gorzelnią, browarem, cukrownią, olearnią, w jednym tylko kierunku wcale się nie spieszył i to w tym

właśnie, od którego niedoświadczeni gospodarze zwykle zaczynają. Był niezmiernie oszczędny w budynkach gospodarskich. Przez lat blisko dwadzieścia utrzymywał jakie zastał, ratując je tylko i podpierając, a zboże, które w starych nie mieściło się stodołach, kazał ustawiać w stogi na sposób angielski. Lat temu trzydzieści, gość z innej prowincyi, sam także zawołany gospodarz, gdy z Chłapowskim oglądał jeden z turewskich folwarków, ujrzał obok pięknych budynków, pochylony chlew drewniany pod strzechą. Spostrzegł jego zdziwienie Chłapowski. „Dziwisz się, rzecze, tej pustce; ale moja zasada trzymać budynek, póki tylko może być użyteczny; a dopiero, kiedy koniecznie potrzeba, — stawiać nowy, fundamentalny.“ „Złotemi literami, dodaje ów przejezdny, zapisać trzeba dla każdego ziemianina te słowa, które były częścią owych zasad pełnych rozsądku i doświadczenia, co stanowiły skarb jego mądrości.“ I tę mądrość wyniósł także od Anglików, a jej przykład tem potrzebniejszy był dla Wielkopolski, że u wielu właścicieli zapanowała wówczas, na wzór Niemców, prawdziwa mania stawiania kosztownych budowli, które ogromne zmarnowały sumy, ze szkodą narodowego bogactwa.

Powiedziano o nim, że choć pisał o rolnictwie, o chowie inwentarza i produkcyi nawozów, był w pewnej mierze poetą. I w istocie, Turwia, w tej postaci, w jakiej pojawiła się po latach pracy, — to poemat, to spełniony ideał jego i znaczny obszar ziemi polskiej, który o wiele prześcignął miejscową cywilizacyą, — a nadto jest ona wzorem, czemby mogła stać się każda wieś polska, gdyby jej oddał się, z taką miłością, rządny, energiczny i swemu zadaniu wierny właściciel. Adam Potocki, jeden z najszlachetniejszych ludzi naszego czasu, którego gorącą duszę porywało odrazu wszystko, co zacne i pożyteczne dla kraju, powiedział, że jak każdy muzułmanin przynajmniej raz w życiu do Mekki, tak każdy ziemianin polski powinien odbyć do Turwi pielgrzymkę; a mówiąc o niej w Towarzystwie rolniczem w Warszawie, przytoczył te piękne słowa Chłapowskiego: „Kiedy kto kocha swój kraj, to nietylko o tem myśli, aby z niego ciągnąć zysk, ale i o

tem, jak go podnieść, upiększyć, ozdobić. Kraj nasz płaski jest i pozbawiony pięknych widoków; starajmyż się to nagrodzić, ozdabiając go roślinnością.“ I tak się stało w majątku Chłapowskiego; cała okolica zieleni się od krzewów i drzew. Pola pokrajane w czworoboki od 30 do 50 morgów magd., od zachodu i południa odgraniczone żywym płotem z zajęczego głogu; od wschodu i północy obsadzone gęstemi świerkami i jodłami; wszystkie zaś krzewizny i nieużytki, które przy takim rozdziale pól odpadły, zagajone brzeziną, dębiną i innemi liściastemi drzewami. Drogi poprostowane, gdzie można, ładnie zagięte, jak w parku, a tworzące się ztąd wklęśnięcia starannie zadrzewione. Służyło to ku ozdobie, lecz i ku pożytkowi; kolczaste płoty nie dopuszczały bydła na obsiane pole; gaiki zaś drzewne zasłaniały od zimnych wiatrów i dostarczały potrzebnego materyału, nie przeszkadzając w niczem uprawie roli. „A nadto, dodawał Chłapowski, kozaki nie lubią gaików, kraj gęsto zadrzewiony staje się obronniejszy“ i cytował za przykład Wandcę, w której ludność wiejska mogła bronić się długo od regularnego żołnierza.

Chłapowski nie robił nic na połowę; czego się tknął, w to wkładał wszystek swój czas, całą duszę i nie pozwalał sobie żadnych wyjątków, przy których zwykle reguła ustaje. Nadewszystko dbał o swój czas, o co u nas najmniej dbają. Każda godzina w ciągu dnia miała u niego zajęcie oznaczone z góry; sam to w liście do jednego z synów opowiada. „Rano bardzo wstawałem i wychodziłem zaraz na podwórze, przypatrując się spokojnie czyszczeniu i paszeniu koni; kiedy się jest często przy tej robocie, rzadko potrzeba coś powiedzieć, a tem bardziej czemuś przyganić, bo wszystko robią według rozkazu. Ruszałem w pole, kiedy pługi wyjechały; konno gdy pole było odległe; pieszo gdy bliskie, i zazwyczaj wszystkie cztery folwarki objechałem do 8mej przed śniadaniem. Czytałem rozdział z *Naśladowania*, a potem przespałem z godzinkę na kanapie, bo zmęczony nie mogłem zaraz brać się do roboty. Po spoczynku zapisywałem co wypadało i z godzinę lub więcej czytałem jakieś historyczne dzieło.

O 11tej wyjeżdżałem w pole lub na który folwark; o 1szej wracałem na obiad. Potem na pół godziny wychodziłem na podwórze, patrząc jak wyjeżdżali w pole i wracałem do siebie czytać albo uczyć się do 4tej; dalej, aż do wieczerzy jeździłem konno po polach i folwarkach. Po wieczerzy latem chodziłem z godzinę, zimą czytałem, a o 9tej szedłem do kancelaryi dla dawania dyspozycyi i zapisywania, co było potrzebne. Oprócz podróży odbytej do Anglii w r. 1818 (i do Berlina, na początku 1823), nie ruszałem się przez ten czas z domu, wyjąwszy w sobotę. Tego dnia zapisywania i wypłaty robotnikom załatwiałem rychło, żeby za dnia mogli zdążyć jeszcze do domów, i wdzięczni mi za to byli i nieraz więcej zrobili, choć praca trwała krócej. Pod wieczór wyjeżdżałem konno do Poznania i około 10tej bywałem na herbacie u książąt Radziwiłłów; przepędziwszy u nich niedzielę, o północy wracałem do domu i stawałem nad ranem w poniedziałek, mając już spisane wszystkie dyspozycye. Przy życiu regularnem i pracy systematycznej anim się spostrzegł, jak czas prędko mijał. Tak przeszło lat ośm, a myślę, że z pożytkiem dla wszystkich ludzi w tych dobrach, bo bez hałasu przyzwyczaili się do pracy i porządku.“ — Prócz Radziwiłłów, odwiedzał także p. Chłapowskiego z Czerwonej wsi, a szczególniej referendarza Morawskiego, z którym ścisła wiązała go przyjaźń; a byłyto bardzo osobliwe wizyty. Z Turwi do Oporowa trzy mile; jednak o 6tej zrana bywał już u pp. Referendarstwa, którzy o tym czasie pili śniadanie. Posiedział z nimi chwilę, wypił filiżankę kawy i wracając konno, upalił w ten sposób sześć mil do 9tej zrana. Zresztą, zajęty pracą, mało się komu udzielał. Gdy gość nadjechał w porze obiadowej, przyjmował go mile i do stołu zapraszał, lecz jeśli przybył o innej porze, nie miał zwyczaju traktować, bo nie chciał psuć porządku w domu. W karty nie grywał nigdy, twierdząc, że karty dobre są dla tych, co myśleć nie umieją. Rozmowę lubił, jeśli miała podstawę poważną. Polakom zarzucał w ogólności, że mało się uczyli i mało czytają, przeto w towarzystwie o tem zazwyczaj mówią, o czem mówić nie warto. Zawsze spokojny

i panujący nad sobą, nie umiał jednak ukryć pewnej niecierpliwości, kiedy mu gadano o rzeczach pustych, zajmując czas bez potrzeby. Pojąć łatwo, że to wielu ludzi do niego zrażało, u nas zwłaszcza, gdzie niemal każdy miał tyle godzin do zbytku i każdy szukał okazyi, jak czas zabić na gawędzie, przy kartach lub kieliszku. Później dopiero oswojono się z takiemi dziwacznemi jak mawiano, zwyczajami; niejeden wkońcu przyznał, że nie były złe i poszedł za jego przykładem.

Przy pracy ciągłej i starannym dozorze rosło gospodarstwo. Skutkiem zaprowadzonego płodozmianu, osuszenia pól, naprawy łąk, ulepszonego chowu bydła i owiec, podwoiły się i potroiły w ciągu lat kilku dochody. Tak np. dochód owczarni, ze sprzedaży owiec i wełny podniósł się z 18 do 40 kilku tysięcy zł.; dochód obory, ze sprzedaży masła i sera urósł od 7 także do 40 tysięcy, podobnie i w innych gałęziach. Wprawdzie i nakłady powiększyły się znacznie, lecz ostateczny rachunek okazywał się nader świetnie. A że, pomimo wzrostu majątku i percepty, Chłapowski nie odstępował w niczem od swego sposobu życia i wszelkich niekoniecznych zabraniał sobie wydatków, że do kąpiel nie jeździł, balów i obiadów nie wyprawiał i w operacye giełdowe nie wdawał się nigdy, przenigdy, — mógł przeto wierzycielom nietylko z procentów regularnie się uiszczać, ale i z kapitałów niebawem coś upłacać. — Mieliśmy w ręku wykaz jego długów z owej epoki i mniemamy, że nie będzie rzeczą zbyteczną, dla uzupełnienia tego obrazu, przytoczyć choćby jeden rachunek z wierzycielką, której w r. 1817 był winien 126,000 kapitału i około 7,000 zaległych procentów. Już w dwa lata później oddał procent zaległy; a w cztery lata od objęcia gospodarstwa zaczął spłacać na kapitał, zrazu po 4, po 6 tysięcy, później kilka razy po 20,000, aż nakoniec 15 lipca 1829 r. zapłacił resztę w sumie 21,940 i napisał, z niemałą zapewne dla siebie pociechą, w rubryce tego długu wielkie 0. Takieżsamo zero znalazło się wcześniej lub później, lecz w tej jeszcze epoce jego życia, przy nazwisku innych wierzycieli, tak że przed rokiem 1830, z wyjątkiem nieznacznych

kościelnych wierzytelności, któremi dobra wieczyście były obciążone, wszystkie długi, wynoszące około miliona, zostały spłacone co do grosza. Majątek pozostał czysty, wybornie zagospodarowany, upiększony, z podwojoną wartością i więcej niż z podwojonym dochodem. Trzeba było na to dziesięciu lat pracy, dziesięciu lat wytrwałej woli, i dziś i jutro chcącej niezmiennie jednego, aby dojść do takiego rezultatu, któregoby najrządniejszy Francuz lub Anglik mógł pozazdrościć; i choćby Chłapowski nic innego nie był zrobił w tej epoce, jak tylko, że tak znaczne dobra z długów oczyścił, że w ręku polskiem je ubezpieczył i w nich znalazł dla siebie silną podstawę do dalszego działania, i że przezto dał wzór nam wszystkim tak potrzebny, jużby się był krajowi dobrze zasłużył. Obaczymy zaraz, że nie na tem tylko polu zamknęły się, nawet w tym peryodzie, jego obywatelskie usługi.

---

§ 8.

Stosunek z ludem wiejskim. Pani Antonina Chłapowska.

W r. 1822 Rząd pruski powziął zamiar przystąpić do urządzenia stosunku ludności włościańskiej do właścicieli dóbr. W tym celu zwołał do Berlina (29 grudnia) reprezentantów wszystkich prowincyj, aby wzięli udział w dyskusyi Rady Stanu nad tą ważną sprawą. Z Poznańskiego zaproszono, oprócz namiestnika ks. Radziwiłła, biskupa Wolickiego, b. referendarza Józefa Morawskiego, Dezyd. Chłapowskiego, Malinowskiego i hr. Skórzewskiego, oraz kilku reprezentantów miast i ludu wiejskiego, którzy już byli przyszli do posiadania ziemi. Narady trwały kilka miesięcy. Chłapowski zamieszkał w Berlinie u ks. Radziwiłła, u którego zbierali się dla porozumienia Połacy. Przychodzili tam również dwaj synowie królewscy, Następca tronu, późniejszy Fr. Wilhelm IV i obecny Cesarz Wilhelm I; ci ostatni, wówczas jeszcze młodzi a niedawni oficerowie z ostatnich wojen, z wielkiem byli uszanowaniem dla Chłapowskiego, jako dla napoleońskiego adjutanta. W kwestyi separacyi gruntów i zniesienia pańszczyzny, zdania były mocno podzielone; obawiali się tych zmian szczególnie mieszczanie i chłopi. Następca tronu, lubo uznawał potrzebę zniesienia pańszczyzny w monarchii, żądał dla Księstwa i dla Pomorza wyjątku, twierdząc, że obie prowincye były jeszcze niedojrzałe, że reforma była dla

nich o lat 50 zbyt wczesną. Chłapowski przeciwnie, najmocniej był przekonany, że w Polsce oddawna należało znieść pańszczyznę, że zbyt długie jej zatrzymanie stało się jedną z głównych przyczyn upadku Rzpltej, bo przy niej szlachta rozpróżniaczyła się, lud był zgnębiony a produkcya rolnicza upadła, kraj moralnie i materyalnie zubożał. Zbijał tedy twierdzenia Następcy tronu mocnemi argumentami, opartemi na znajomości polskiego ludu i na gospodarskiem doświadczeniu. Sprawa ważyła się; sam Namiestnik był niepewny, na którą przechylić się stronę. Nareszcie, ostatniego dnia, w którym miano przystąpić do głosowania, Chłapowski wybierając się na sesyą z Radziwiłłem, przypomniał mu raz jeszcze wszystkie racye, które poprzednio był rozwinął i zaklął go w imię miłości Ojczyzny, iżby nie czynił tej krzywdy honorowi narodowemu, żeby prowincya polska wyłączona być miała z pod prawa, które dla całej monarchii zapaść miało. Dał się przekonać Radziwiłł i przyrzekł, że po jego myśli głosować będzie. Projekt został przyjęty, pańszczyzna w Poznańskiem zniesiona większością dwu głosów. Za zniesieniem wotowali wszyscy reprezentanci szlachty polskiej jej utrzymania domagały się miasta i wsie.

Prędko doszła wiadomość do kraju o tem energicznem wystąpieniu Chłapowskiego i wywołała w pewnych sferach mocne rozdrażnienie tak przeciw niemu, jak przeciw wszystkim, z których udziałem prawo nowe uchwalone zostało. Kilku młodszych obywateli, których nie chcę wymieniać, a którzy później wielkiej popularności dosłużyli się w obozie liberalnym, zwołali zjazd do Wrocławia, żądając od nich, aby się usprawiedliwili ze swego postępku. Oczywiście żaden z nich nie przyjechał; zebrali się studenci wrocławscy. Podniesiono myśl na tem burszowskiem zebraniu, aby Polaków, twórców tej ustawy, za tak ciężkie przeciw Ojczyznie przekroczenie, wyjąć *„z pod prawa“;* nie wiemy, czy taka uchwała zapadła albo nie, bo nikt się o nią nie troszczył.

Przyznać potrzeba, że prawo o zniesieniu pańszczyzny w Poznańskiem wydanem zostało w uczciwym zamiarze, na sprawiedliwych zasadach, bez ukrytej chęci poważnienia klas

społecznych między sobą, jakto póżniej w innych widziano krajach. Ustawa ogłoszona 8 kwietnia 1823 r., przyjmowała *status quo* posiadania, nakazywała oszacowanie chałup, gruntu, robocizny itd., a procent od ich wartości miał być czynszem wieczystym. Ten czynsz nie był wcale wysoki; jednak chłopi zrazu mocno się go obawiali. Skoro Chłapowski powrócił z Berlina, nie zwlekając, naprzód w Rąbinie, a potem w Turwi zaproponował włościanom dobrowolną umowę. Odpowiadali: „a zkądże weźmiemy tyle pieniędzy, aby i czynsz i podatki zapłacić?“ Uspokajał ich Chłapowski, zaręczając, że ktorykolwiek zażąda pracy za zapłatę, zawsze ją znajdzie we dworze, i to trafiło do ich przekonania. Korzystali z podanej im łatwości i przez długie lata wielu gospodarzy wiejskich posyłało do dworu czeladź i dzieci na robotę, albo sami zwozili siano, odstawiali zboże do miasta i tym sposobem zarabiali na czynsz. — Przypomnijmy, że w r. 1848 czynsze ustały, przemienione na listy rentowe, umarzalne w ciągu 46 lat, któremi właścicieli ziemi wynagrodzono. W ogólności, ta najważniejsza ze wszystkich dla naszego kraju reforma, przeszła w Poznańskiem dość łatwo i spokojnie. O ile wiemy, w jednej tylko okolicy trzeba było przyzwać pomocy wojska, aby złamać opór przeciw komasacyi, ale być może, że i tam zbyt się pospieszono z żądaniem siły zbrojnej.

Chłapowski uszczęśliwiony był z tej reformy; na niej wiele dla przyszłości kraju budował i nie zawiódł się. Kochał lud wiejski, cenił wysoko jego zdrowy rozsądek i jego głębokie przywiązanie do wiary i do ojczystego zwyczaju; lubił i umiał z nim obcować, a choć przestał być panem swych poddanych, nie przestał być ich ojcem i dobrym sąsiadem. Był przekonany, że trwała pomyślność dworu jest związana z pomyślnością ludu wiejskiego i że Bóg nie może błogosławić takiemu właścicielowi wsi, który nie dba o swoich włościan. Przy komasacyi gruntów w Rąbinie i Turwi oddał chłopom najlepsze kawałki, a gdy go namawiano, aby im i piaski przynajmniej w równej mierze wydzielił, odpowiedział: „ja sobie i z piaskami dam radę, oni nie potrafią.“

Ta odpowiedź świadczy, jakato była nawskróś chrześcijańska dusza, jakie w nim tkwiły uczucia dla chłopów, dla czeladzi, których za swych młodszych braci, za swoje dzieci istotnie uważał. — Chłop polski, jakkolwiek nie wolny jest od uprzedzeń i nieraz przy nich twardo stoi, niemniej jednak ulega wpływowi, który od dworu doń przychodzi, tak dobrze pod moralnym jak i ekonomicznym względem. Przygląda się ostrożnie wszelkim zmianom gospodarskim we dworze, nie ufa im zrazu; lecz skoro ujrzy, że pan na nich nie traci, że owszem gospodarstwo się ulepsza, że majątek się wzmaga, i on pójdzie powoli za tym przykładem. A kiedy przytem doznaje ludzkiego obejścia i znajduje we dworze mądrą radę i roztropną pomoc, to pana swego szanuje, przywiązuje się doń szczerze i nic ważniejszego bez jego zdania nie poczyna. Właściciel dóbr, który obok ludu swego żyje i z nim po chrześcijańsku się obchodzi, nie potrzebuje się lękać socyalistycznej propagandy; ona dla tych tylko, i słusznie, jest straszna, którzy chłopa swego nigdy nie widują i o nim nic wiedzieć nie chcą. — Przyjezdni z innych prowincyj, którzy Turwią zwiedzali, uderzeni byli wielekrotnie tym stosunkiem dworu z czeladzią i z włościanami, pełnym powagi i wzajemnej ufności; a podobno nie powiemy zawiele, że i pod tym względem Chłapowski niejednemu sąsiadowi w swej prowincyi dał dobry przykład. W takich warunkach, z taką mądrością i miłością dokonana reforma włościańska i przy pomocy szczerze pobożnego duchowieństwa, nic dziwnego, że w Wielkopolsce zrobiła cuda. Chłop wielkopolski stał się potęgą i chwałą tej ziemi; takiego chłopa niema w całej Polsce, w całej Europie go niema! Sprawa Kościoła i sprawa narodu, która przed pół wiekiem stała głównie, jeżeli nie wyłącznie na szlachcie, dzisiaj w setkach i setkach tysięcy znajduje obrońców niezłomnych, i dziś, patrząc na niejednę wieś w Wielkopolsce, trudno sobie nie przypomnieć słów polskiego Psalmisty:

Jedno tylko jest zbawienie,
Jeden tylko, jeden cud,

Z szlachtą polską polski lud,
Jak dwa chóry, jedno pienie;...

chociaż ten cud nie objawił się jeszcze w całej pełni, ani te chóry nie wydały jeszcze ostatniego pienia. — W Turwi, pewien chłop, imieniem Bartek, począł stawiać figurę Matki Boskiej, lecz czy umarł, czy podupadł, dość że nie skończył. Zrobił to za niego Chłapowski i na figurze kazał położyć napis: *Bartłomiej zaczął, Dezydery dokończył.* — Kiedyś, gdy Bogu spodoba się spełnić miarę naszych cierpień i uznać karę naszę za dostateczną, będziemy mogli i my postawić figurę, a na niej wyryć napis: *szlachcic zaczął, chłop dokończył...*

Chłapowski nie sądził, aby wolno było obywatelowi polskiemu usuwać się od spraw publicznych. Jak czynny wziął udział w uregulowaniu stosunków włościańskich, tak później należał do sejmów prowincyonalnych Księstwa, w r. 1830 był wicemarszałkiem sejmowym; przez wiele lat zasiadał w Radzie Towarzystwa kredytowego, był dyrektorem Towarzystwa ubezpieczeń od ognia. Do wszystkich tych spraw brał się nader poważnie, uczył się ich sumiennie, czytywał dzieła specyalne, robił wypisy; widzieliśmy cały stos papierów napisanych jego ręką dla własnej nauki, w kwestyach, które na sejmach były rozbierane. Ale te rzeczy pomijamy, spiesząc do ważniejszych, a przynajmniej mogących bardziej obchodzić mych słuchaczy; wprzód jednak musimy na chwilę wstąpić do jego progów domowych.

Tu ważna zaszła zmiana. W r. 1821 Chłapowski ożenił się z panną Antoniną Grudzińską. Rodzice jej rozwiedli się; ojciec i matka weszli w nowe związki. Zły przykład był dany z góry; atoli matka starała się go naprawić, powierzając wychowanie trzech swych córek przewodnictwu kapłana francuskiego, emigranta, człowieka wyższych przymiotów i wielkiej pobożności, a oraz ochmistrzyni angielskiej, osobie zacnej i roztropnej. — Wychowanie cudzoziemskie, ogólnie

mówiąc, wykrzywia nasz charakter narodowy (o wychowaniu tu mówię, nie o wykształceniu); niemieckie nadyma młodych zarozumiałością i pychą i jakby mgłą nieprzejrzystą oddziela ich od kraju; francuskie zaś wyciska na nich piętno powierzchowności i kosmopolityzmu, tworzy z nich zazwyczaj istoty lekkie, bardziej do zabawy niż do obowiązku sposobne. Który Polak chce z dzieci swoich mieć ludzi poważnych i krajowi pożytecznych, ten naprzód starać się będzie o ich wychowanie religijne, lecz zarazem i o narodowe; jedno od drugiego oddzielić się u nas nie da. — Patryotyzm jeżeli nie jest oparty na Bogu, nie wzmocniony wiernością Kościołowi, może mieć piękne strony, szlachetne uniesienia, zdumiewającą ofiarność, ale może okazać się bardzo zawodny i zadać wkońcu ciężkie szkody krajowi; jak z drugiej strony, uczucie religijne, w zwykłych życia stosunkach, jeżeli nie jest związane z pracą dla kraju, może mieć wiele zewnętrznych zalet, ale także więcej pozoru niż treści, może utonąć w drobiazgach i skończyć na trosce — o własnych wygodach. Jak w życiu, tak w wychowaniu, obie te potężne dźwignie powinny działać razem, oba kierunki powinny zlewać się we wspólny tor.

Z dwóch rodzajów wychowania, o których wspomniałem, niemieckiego i francuskiego, to ostatnie mniej się wydaje dla Polaków szkodliwe, bo jeśli jest szczerze pobożne, jeśli zaszczepi w dzieciach uczucie obowiązku i nawyknienie do pracy, to wychowanek lub wychowanica, zamieszkawszy później pośród swoich, prędko się na swych niedostatkach spostrzeże i usilną pracą dorobi, czego im pod względem polskim brakuje. — Antonina przyjęła od kapłana francuskiego uczucie głęboko religijne, od Angielki życie obowiązkowe, rozsądek i powagę, a czego jej niedostawało, dopełniło pożycie z mężem i długie w polskiej wsi zamieszkanie;— i stworzyło z niej skończony typ żony, matki, pani domu i obywatelki, a nad to wszystko i w tem wszystkiem, przykładnej chrześcijanki. Czem była dla męża, to świadczy jego słowo wyrzeczone w późnej starości: „ona przez lat trzydzieści i sześć dodawała mi odwagi do życia“; czem była dla bliźnich, świadczy inne słowo powiedziane przez czło-

wieka dalekiego od wiary: „gdyby wszyscy tak pojmowali i wypełniali życie katolickie, jak pani Chłapowska, któżby śmiał nie być katolikiem praktykującym?“ Ich życie w tak doskonałą splotło się jedność, że ktoby chciał opowiadać dalsze sprawy męża, musiałby i jego żonę zbliska przedstawić. Z żalem wyznaję, że to zadanie przechodzi moje siły. Jenerała Chłapowskiego widywałem nieraz, jego żony nie znałem nigdy. Czynności mężczyzny można opisać z większą lub mniejszą dokładnością, bo są widne zdaleka, dotykalne, pod sąd publiczny oddane; ale cichy żywot chrześcijańskiej niewiasty tylko Bogu i Jego aniołom może być wiadomy i nawet, by go zgrubsza naszkicować, trzeba się jej zbliska przypatrzyć. Na szczęście, lepsi odemnie dopełnili tego zadania: poważny jej obraz dał x. biskup Janiszewski, prześliczną rzeźbę wykonał O. Kajsiewicz, który sam o swojem dziele tak się do słuchaczów odzywa: „Jako rzeźbiarz obraca wkoło, przed ciekawym widzem, posąg swój na ruchomej podstawie osadzony, mówiąc ze spokojnem zadowoleniem: patrzcie, że cały i zewsząd piękny, tak i ja wam przedstawiam posągową prawdziwie postać tej mężnej niewiasty i z piersi waszych wyrwę to chętne wyznanie, że życie jej całe piękne, czyste, uczące i budujące [1].“ Co więc wspomnę o niej w dalszym ciągu opowiadania, to przyjdzie mi chyba wyjąć z tego arcydzieła polskiego krasomowstwa.

Starsza siostra Antoniny, Joanna, wyszła, jak wiadomo, za w. ks. Konstantego. Byłato wielka ofiara z jej strony, wywołana nadzieją, że brata cesarskiego do kraju przywiąże i na wiarę katolicką nawróci. Obie siostry kochały się bardzo, ale to wysokie małżeństwo utrudniło ich stosunek. Chłapowski znając dzikie zapędy szwagra, unikał bliższego z nim zetknięcia. Bywał u niego, kiedy to z konieczności wypadało, ale trzymał się zawsze w pewnem oddaleniu, które Księcia zmuszało do rezerwy i do panowania nad sobą. Pewnego razu, Konstanty przysłał jego żonie piękne futro sobolowe;

---

[1]) *Mowa pogrzebowa* ogłoszona w II tomie *Pism x. Kajsiewicza.* Berlin, 1870.

Chłapowski kazał je odesłać, tłómacząc się, że podarków tak kosztownych przyjmować nie może. Co większa, aby w żadnej nie być zależności od W. Księcia, sprzedał dobra swoje Chmielniki, leżące w Królestwie, które po matce był odziedziczył, jenerałowi Tańskiemu za 300,000 zł., przystając na to, że Tański tylko połowę tej sumy wypłacił jego siostrze, pani Franciszkowej Mycielskiej, resztę zaś dużo później miał mu odesłać. Przydajmy, że do tej ostrożności zmuszało Chłapowskiego nietylko pragnienie, być zupełnie swobodnym od W. Księcia, ale i niechęć do Rosyan wrodzona.

III.

WOJNA W KRÓLESTWIE

(1831).

§ 9.

Chłopicki.

Przechodzę do wypadków roku 1831. Opowiadać dziejów wojennych tej epoki nie będę, tem bardziej, że udział Chłapowskiego w pierwszej jej połowie był mało znaczny; wolę zamieścić kilka uwag politycznych, które mi się nasuwają. Opisów wojennych powstania mamy dosyć; na jego historyą polityczną jeszcześmy się nie zdobyli, choć ta dla nas byłaby najpotrzebniejsza, bo z niej w każdym czasie i w każdej sytuacyi skorzystać można.

„Panie szwagrze, jeśli konspirujesz przeciw mnie, każę cię wsadzić do kozy,“ rzekł W. Książę do Chłapowskiego w jednej z tych rzadkich wizyt, które mu tenże oddawał. „Mości Książę, odpowiedział Chłapowski, nigdym nie konspirował przeciw Waszej Cesarzewiczowskiej Mości i konspirować nie będę, ale bić się — to co innego, do tegom gotów.“

Nie w smak była ta odpowiedź W. Księciu, lecz że ją sam wywołał, musiał ją ścierpieć. Chłapowski dotrzymał słowa. Do żadnego spisku ani pierwej ani wówczas nie należał, bo z tym trafnym zmysłem, który go odznaczał, mówił on: „to rzecz niegodna rozsądnego człowieka przysięgać na posłuszeństwo niewiedzieć komu i niewiedzieć na co,“ a taką jest zazwyczaj przysięga konspiracyjna. Skoro powstanie wybuchło i utworzył się rząd narodowy, pospieszył natychmiast

do Warszawy stawić się jako żołnierz pod rozkazy. Umknąwszy szczęśliwie przed czujnością władz pruskich, które gęstemi patrolami okrążały Turwią, dnia 10 grudnia był w Warszawie. — Pięcioma dniami pierwiej, Chłopicki objął dyktaturę. „Dobrze go znałem, pisze Chłapowski, z wojen hiszpańskich, moskiewskiej i saskiej; poszedłem tedy wprost do niego. Bardzo serdecznie mnie przyjął i kazał stanąć u siebie. Rad był, że może pomówić otwarcie z dawnym znajomym, któremu, jak się wyraził, jeszcze nie zawróciło się w głowie i zaraz zaczął od tego: „Nie możemy bić się z Moskwą, nie poradzimy; ale otrzymamy od Cesarza warunki, które nam podadzą na przyszłość możność korzystania z pierwszej sposobności. Cesarz jest w takiem położeniu, że przystać musi na moje propozycye, z któremi Lubecki i Jezierski pojechali do Petersburga.“ I tu opowiedział, że żąda poręczenia konstytucyi, nie samą tylko przysięgą, lecz pozwoleniem na formowanie rezerw na wzór pruski, któreby podniosły siłę zbrojną do 100,000, a nadto na przechowanie 500,000 karabinów i 500 dział w arsenale, co wszystko w ciągu trzech lat być może; a wtedy, gdy rewolucya dojrzeje, będzie można dokonać tego, co dziś jest niepodobne.“

Chłopicki był dzielnym żołnierzem, ale trzeba było bardzo naiwnym być politykiem, iżby przypuszczać, że Cesarz rosyjski na coś podobnego przystanie. Oddawna, w Petersburgu, nie o tem przemyśliwano, jak rozszerzyć swobody Polaków i dać im lepsze ubezpieczenie, lecz o tem, jak skorzystać z pierwszej okazyi, aby je ścieśnić lub całkowicie usunąć, a Królestwo wcielić do Cesarstwa. W r. 1829, kiedy Zamoyski, prezes Senatu, przedstawiał nader gorąco Benkendorfowi i Nesselrodemu, iż koniecznem jest zapobiedz nadużyciom W. Księcia, które głębokie i powszechne w narodzie wywołują rozdrażnienie, że złe nie cierpi zwłoki, że jeszcze trochę, a może być zapóźno, — Nesselrode odpowiedział mu z flegmą: „czy nie myślisz, panie hrabio, że już jest zapóźno?“ — Coś podobnego usłyszał Metternich, już po wybuchu powstania, od posła rosyjskiego Tatyszczewa w Wiedniu: „Ktokolwiek jest życzliwy naszemu cesarstwu, odezwał

się ten ostatni, ten cieszyć się powinien z polskiej rewolucyi, bo ona położy koniec tej anomalii, jaka się wylęgła w niedowarzonej głowie Aleksandra I.“ Obie te odpowiedzi wskazują jasno, że rząd petersburski za Mikołaja dobrze przewidywał wybuch powstania i że mu nie chciał zbytecznie przeszkadzać, chociaż go w tej chwili może nie spodziewał się.—Chłapowski nie mógł być wtajemniczony w zamiary rządu rosyjskiego, lecz prosty rozsądek go ostrzegal, że Dyktator się łudzi, że plan iego jest podwójnie fałszywy, bo nie bierze w rachubę ani polityki rosyjskiej, ani charakteru polskiego. Że Chłopicki potępiał powstanie, że uważał je za ciężki błąd, to zrozumieć można i w tem miał racyą; ale że je chciał zatrzymać i stłumić, jakby nic nie zaszło, w chwili, gdy kraj cały je uznał i poparł, to znowu z jego strony było ciężkim błędem. Narodowi, który jest w gorączce, niepodobna kazać stać na miejscu i czekać bezczynnie. Takie rzeczy mogą udać się u narodów zimnych, rachujących, wytrwałych, jak Anglicy, Szwajcarzy, Holendrzy, ale nie u narodów zapalnych, jak Polacy. U Polaków zapał tworzy cuda; na zimno wloką się jak żółwie. „Ty jesteś jak lew, mówi poeta, umiesz tylko bić się albo spać!“ Należało korzystać z niesłychanego, jaki panował, zapału; ten zapał ująć, skrystalizować w potężnej armii, a mając w ten sposób materyalne i moralne poparcie, być gotowym — czy do wojny czy do układów. Ale chcieć posiąść zaufanie kraju, a nie iść w tym kierunku, którego on pragnie gorąco i niezmiennie, jak z drugiej strony, chcieć wytargować na przeciwniku korzystne warunki, a wlasnych sił, skoro można, nie powiększać, — to są kombinacye, które zdrowy rozsądek odrzucić musi.

„Jakby mnie wodą zimną był oblał (pisze Chłapowski); zaraz mu odpowiedziałem, że Cesarz układać się nie będzie, a w każdym razie o takich warunkach słyszeć nie zechce. Ale kiedy Jenerał sądzisz, że 100,000 wojska dostatecznem jest do rozpoczęcia wojny, to je mieć możesz; a Moskale, po dwóch kampaniach tureckich i po cholerze, więcej nie wystawią. — „Co mi ty gadasz, zawołał, przymaszeruje ich „300,000. A wiesz co, gdybyśmy mieli trzykroć, a oni tylko

„sto, jeszcze nas pobiją. A wiesz dlaczego? Oto, że mają „Cesarza, a my nie!“ — Uderzyły mnie te słowa; zrozumiałem jego myśl, że monarcha jest zjednoczeniem sił narodowych, zabezpieczeniem ładu i posłuszeństwa, a tego się u nas nie spodziewał. — Rozmowy takie powtarzały się często dni następnych, a brały czasem taki obrót, iż zdawał się nabierać takiego przekonania, że go wszyscy słuchać będą, a ze zwycięstwem znajdzie się i król.“

Tem ośmielony, podał mu swe myśli na piśmie i w nich przedstawiał, że negocyacye mogą co najwięcej posłużyć do zyskania czasu, ale że jak najprędzej przyspieszać trzeba organizacyą wojska. Ta zaś w jego przekonaniu zasadzała się na tem, iżby każdy pułk wysłać miał do miast wojewódzkich kadry, potrzebne do sformowania brygady i powołać do ich zapełnienia rekrutów wraz z żołnierzami dymisyonowanymi. Z kampanij napoleońskich wyniósł Chłapowski doświadczenie, jak prędko nasz ochotnik wyrabia się na doskonałego żołnierza, liczył przeto, że armia do miesiąca lutego, w którymto czasie wojna prawdopodobnie rozpocznie się, dałaby się potroić i przysposobić do boju, a uniknęłoby się w ten sposób podziału wojska na stare i nowe formacye, bo w każdym pułku byliby starzy oficerowie i część starych żołnierzy [1]. Radził nadto sformować ośm korpusów partyzanckich, po 800 do 1000 ludzi, ze strzelców, jazdy i artyleryi złożonych, któreby z początkiem lutego, pod komendą przedsiębiorczych oficerów, należało wysłać na granice Królestwa, dla przyciągania ochotników z Litwy i Wołynia. W razie zaś, gdyby Rosyanie weszli pierwej do Królestwa, pragnął przerzucić te korpusy na Litwę, by tam szerzyć powstanie i nieprzyjaciela z tyłu niepokoić.

Chłopickiemu nie podobało się takie raptowne pomnażanie pułków. Młodemu żołnierzowi on nie ufał, bo miał zawsze ze starym tylko do czynienia; przytem nie wierząc

[1]) Według tego planu byłoby przy rozpoczęciu kampanii 198 szwadronów, 78 batalionów i 14 bateryj, wszyscy jednego regulaminu.

w możność zwycięstwa, nie pojmował, na co zwiększać armią. „Byle nie skończyć po neapolitańsku, mówił, padnie kilkanaście tysięcy trupa, to dosyć, dla honoru; na to licznej armii nie potrzeba, tem bardziej ruchawki.“ Co do korpusów partyzanckich, przyznawał, że byłyby pożyteczne, ale u nas są niepodobne, bo armia nie posiada oficerów, umiejących działać zosobna, na własną rękę. Wyćwiczeni pod W. Księciem, doskonali do musztry, bić się będą odważnie, z poświęceniem, pod okiem wodza; ale gdy się ich samym sobie zostawi, stracą głowę, nie dadzą sobie rady. Nie przypuszczał zaś, żeby wojna miała trwać tak długo, żeby nowi jenerałowie mogli się wyrobić, a starzy, w których W. Książę wszelką umiejętność sztuki wojennej zagwoździł, błędy po błędach popełniać będą. Z takimi oficerami wojny prowadzić niepodobna; trzeba się układać, powtarzał.

Pomimo tej różnicy zdań, Chłopicki cenił wysoko charakter Chłapowskiego, jego odwagę i doświadczenie wojenne i rad go do pomocy używał: „Nie bierz munduru, powiedział mu, boś pruski poddany, ale jeżeli do wojny przyjdzie, w cywilnym stroju będziesz służył przy mnie.“ Ten zakaz był Chłapowskiemu w wysokim stopniu nieprzyjemny, i w istocie, pociągnął on wiele złych następstw za sobą. Najmniejszem złem w jego oczach było to, że przez wcześniejsze zapisanie się do służby, wielu młodszych wyprzedziło go w starszeństwie. O stopnie on nie dbał; przypomnijmy, że z tąsamą rangą podpułkownika starej gwardyi, którą w r. 1811 otrzymał i z nią odbył dwie kampanie, rosyjską i saską, wziął dymisyą ze służby napoleońskiej; w tejsamej, to jest jako pułkownik liniowy, wszedł on później do armii polskiej. — Bardziej bolała go owa niejasność położenia, do której go Chłopicki przymuszał. Przyjechał bić się, wojny pragnął całą duszą i do niej wszystkiemi siły popychał. Tymczasem w Warszawie widziano go, że się nosił po cywilnemu, że u Dyktatora całemi dniami przesiadywał; a że się o nim nie odzywał wcale, wnoszono, że jego opinie podziela i do układów namawia; dodać trzeba, że jego bliskie z W. Księciem powinowactwo na podobne domysły niejednego doprowadzić mo-

gło. — Kazał mu Chłopicki iść do konsula pruskiego, aby się dowiedzieć o zamiarach jego rządu. Konsul niewiele o tem wiedział; wyraził tylko osobiste zdanie, że Polacy nie będą mieli na teraz innego nieprzyjaciela, prócz Rosyi, ani innego, prócz siebie, sprzymierzeńca. Ale zarazem uwiadomił Chłapowskiego, że otrzymał rozkaz skłonić go do powrotu; ostrzega więc, że jeżeli usłucha, Król przebaczy mu przyjazd do Warszawy, w przeciwnym razie majątek jego ulegnie konfiskacie. Chłapowski ani na chwilę nie dał się powstrzymać tą groźbą.

Powstanie dziwny przedstawiało widok. Oprócz małej liczby indywiduów, których bądź wyjątkowe polityczne stanowisko, bądź interesa osobiste wiązały z dawnym rządem; oprócz niewielu starszych oficerów, którzy spodziewali się, że pod W. Księciem spokojnie doczekają się emerytury, — wszystko, co żyło w narodzie, jednym tchnęło duchem: zbroić się, zbroić czemprędzej! Bez rozkazu, często bez dyrekcyi, tworzyły się szwadrony i bataliony, wracali do szeregu dymisyonowani żołnierze i oficerowie, spieszyła młodzież z Poznańskiego i z Galicyi. Kraj, stolica i wojsko z zapałem, z ufnością bez granic, powitały dyktaturę Chłopickiego; młodzież akademicka gotowa była rozsiekać każdego, coby śmiał przeciw niemu buntować się. A ten Dyktator, nadzieja narodu, o wojnie nie myślał i na tę powszechną chęć zbrojenia się patrzał z nieufnością, z niechęcią. „Po co to wszystko, zapytywał. Jeżeli Cesarz nie przyjmie moich propozycyj i zechce nas z orężem w ręku przymusić do poddania się, broni mu nie złożę, ale umrzemy z honorem. Czekać będę jego wojsk tutaj, przymaszerują pod Pragę. Połowa będzie musiała przeprawiać się przez Wisłę, będę więc z połową tylko miał do czynienia. Wystawię kilka twierdz polowych na pół wystrzału od miasta i między wałami a twierdzami stać będę. Gdy się Moskale zmordują dobywaniem twierdz, wypadnę z całem wojskiem na jednym punkcie i dam im dobrego kułaka.“ I oto wszystko, i na tem koniec, dalej nic nie przewidywał, prócz układów!...

Jak zrozumieć tę ciasnotę pojęć u człowieka takiej miary, tę niezdolność przejęcia się duchem narodu u żołnierza takiej odwagi i poświęcenia? Zapewne, wiele wytłómaczyć może charakter uparty, absolutny, wiele rutyna nawykłego do służby regularnej oficera; ale czy nie przyczynił się do tego i sposób życia, jaki Chłopicki od lat wielu prowadził? Poróżniwszy się w r. 1818 z W. Księciem o drobnostki służbowe, wziął dymisyą z pensyą odpowiednią jego stopniowi i żył z tej pensyi i z dotacyi napoleońskiej bez żadnego zgoła zajęcia. Lubił stół wykwintny, grał w karty dużo i namiętnie, nierzadko z jenerałami rosyjskimi, dzieł wojskowych żadnych nie czytywał i tak bądź w kraju, bądź u wód, pędził życie próżniacze. A czy ta sytość, ta martwa proza wygodnego życia nie przypruszyła jego inteligencyi, nie ostudziła jego serca, nie obniżyła poziomu jego ducha? Został mu honor wojskowy, to prawda, i wrodzona prawość; ale iskra geniuszu, którą go Bóg obdarzył, przygasła. Nie podtrzymywało jej życie religijne, bo go nie miał, jak większa część z czasów Księstwa warszawskiego. U innych narodów jakoś łatwiej takie zaniedbania uchodzą, u nas nie; my z siebie mało możemy, kiedy nas z góry pomoc nie dochodzi!... Chłopicki niezaprzeczenie był człowiekiem wielkich rozmiarów, ależ — i sam Napoleon, gdyby przez lat kilkanaście grał tylko w karty i wiódł życie wygodne, byłby zmalał i stracił tę bystrość oka, która mu odrazu wskazywała, co w danej chwili robić potrzeba. — Czasami jednak i w duszy Chłopickiego zapalała się jakaś myśl szersza i gorętsza. Wtedy z jenerałem Klickim, w którym pokładał najwięcej ufności, zasiadał do mapy, tworzył, dyskutował plany, przypuszczał możność zaczepnego działania; i wtedy można było mieć nadzieję, że w nim zbudzi się groźny lew, który i dla wroga groźnym będzie, zbudzi się zbawca narodu, „wóz Izraela i woźnica jego,“ któremu nie brakowało ani siły, ani woli, ani zdolności rozkazywania, — miał ich więcej niż ktobądź, — brakowało tylko jasnego zrozumienia sytuacyi i wniknięcia w ducha narodowego. Ale te chwile przebudzenia się nie trwały długo, wnet powracał do swego zdania, że

wojny nie będzie, wojny być nie może, i że niepotrzebnemi formacyami nie należy utrudniać układów.

Nareszcie, w połowie stycznia nadeszła długo wyglądana z Petersburga odpowiedź. Cesarz przysyłał rozkaz, aby wojsko polskie pomaszerowało na Płock, a w liście ręką Grabowskiego pisanym, dziękował Chłopickiemu za porządek, który w jego Królestwie utrzymuje, i wyraził nadzieję, że go i nadal aż do wyjścia armii utrzyma. „Na ten list, opowiada Chłapowski, tak się Dyktator rozgniewał, że go rzucił na ziemię zę złością, mówiąc: „Co on sobie myśli, że ja dla niego, a nie dla kraju porządek utrzymuję? Żartuję ja sobie z Cesarza“; podniósł list i wrzucił go w ogień. Widząc go tak rozgniewanym, powzięliśmy nadzieję, że zaraz ostro się weźmie do zorganizowania armii na wojnę, przekonawszy się w końcu, że układy niepodobne. Niedługo jednak wytrwał w tem usposobieniu. Nie wiadomo mi, czy sam z siebie, czy też za radą ludzi,. z którymi miał zażyłość, zwołał sejm powtórnie i dyktaturę złożył (19 stycznia); do mnie tylko powiedział: „Nie poprowadzę ja mego narodu na rzeź, ale jako żołnierz wezmę karabin w ręce, bić się będę jak każą; inny odpowiedzialność dowództwa niech weźmie na siebie.“

Skoro przyszła wiadomość, że Dybicz przekroczył granice Królestwa (1 lutego), przywołano Chłapowskiego do ks. Radziwiłła, oddano mu pod komendę dwa pułki kawaleryi i kazano udać się do Siedlec pod rozkazy jenerała Żymirskiego. „Wychodząc z głównej kwatery (pisze Chłapowski), wstąpiłem do jenerała Chłopickiego, by go pożegnać. „Bywaj „zdrów, odrzekł, tyś szczęśliwy, z ręki zginiesz moskiewskiej, „a mnie tu na bruku lud ukamienuje. Ale darmo, sumienie „mi nie pozwala prowadzić moich na rzeź.“ Takie było jego przekonanie (dodaje Chłapowski), i to jest dowodem jego prawego a nieugiętego charakteru. Widział, że wszyscy są na niego oburzeni, wystawiał sobie śmierć przykrą, bo z rąk swoich, a jednak tylko sumienia swego słuchał.“

Nazajutrz Chłapowski był w Siedlcach, gdzie nie dwa ale trzy pułki konne oddano mu pod komendę. Przez dwa tygodnie je musztrował i do obrotów wojenych zaprawiał, a

gdy odwrót został nakazany, polecono mu trzymać straż tylną korpusu. Cofano się aż pod Pragę, gdzie Chłopicki plac spotkania wyznaczył. Zwoławszy wszystkich dowódzców dywizyj i brygad, objechał z nimi całą przestrzeń od Saskiej Kępy aż do Ząbków i rzekł im: „Tutaj ścieśniona pozycya, mniej nas, ale nas nie oskrzydlą; tu niech się rzecz decyduje.“ I tutaj, w d. 25 lutego, zaszła owa pamiętna bitwa, co choć przegrana, pozostanie chwałą polskiego oręża. Skrzynecki z niezrównaną piechotą cudów męstwa w olszynce dokazuje; Chłopickiego sama obecność wywoluje w żołnierzach zapał nieopisany. Od 9tej zrana do 2giej, wojsko odpiera zwycięzko trzykroć silniejszego nieprzyjaciela; nareszcie, około 2giej, Chłopicki spostrzegłszy, że nieprzyjaciel wolnieje w swym ataku, osądził, że nadeszła pora przejść do zaczepnego działania. Sam staje na czele rezerwy, rusza naprzód i zapowiada zwycięstwo. Ci, co go widzieli w tej chwili, świadczą, jak on był do siebie całkiem niepodobnym, jakiś ogień pałał z jego oczu, twarz rozpromieniona, jakby natchniona, postawa pełna imponującej siły. Spokojnie spogląda na szeregi walczących; żołnierz czuje nad sobą oko wodza i odpowiada głośnym okrzykiem radości i zapału. *„Naprzód, naprzód,“* wołają wszyscy. Wtem granat pęka pod koniem wodza, zwala go na ziemię, rani w obie nogi. Dźwigają go, jeszcze woła: *„rezerwa naprzód, jazda naprzód,“* ale już dowodzić nie jest w stanie; odnoszą go do Warszawy. — Gdy jego zabrakło, pułki stanęły. Spostrzegł to nieprzyjaciel, rzuca całą masę jazdy, która nie miała oprzeć się aż w Warszawie. Atak nieprzyjacielski chybił, to prawda, odparto go dzielnie, ale już nie było po naszej stronie komendy, każdy robił jak uważał za najlepsze. Dowódzcy pułków i dywizyj, nie mogąc się doczekać rozkazu ani poparcia, cofali się jeden za drugim. Żołnierz ustępuje powoli, niechętnie, mocno przekonany, że gdyby znalazł się ktoś, coby całą armią ujął w swe ręce, jeszczeby nieprzyjacielowi wsiadła na kark. Tymczasem odwrót ogólny; nieprzyjaciel na placu bitwy zostaje. — I tak się skończyła, a raczej przerwała, ta pamiętna walka. Chłapowski mały w niej miał udział. Raz tylko Skrzy-

necki wezwał go, aby spędził chmurę tyralierów, którzy mu mocno dokuczali. Chłapowski z dwoma szwadronami, które miał przy sobie, wysunął się naprzód i ściągnął ogień baterыi nieprzyjacielskiej na siebie. Nie wyszło dziesięć minut, a stracił pułkownika i przeszło stu ułanów, ale dał czas Skrzyneckiemu odmienić front i odzyskać utraconą pozycyą. Reszta jego brygady użytą była w asekuracyi dział. Można powiedzieć, że cała zasługa bitwy grochowskiej była po stronie piechoty i artyleryi polskiej; dla jazdy nie wiele było pola do działania, bo grunt był grzązki, nie dość zamarznięty; chyba w ostatniej chwili, podczas wielkiego ataku kirasyerów rosyjskich. I tych piechota i rakietnicy odparli; jazda nasza stała nieczynnie, nikt nie dał rozkazu, aby ruszyła naprzód. Było w historyi wiele przykładów bitew pod złą komendą stoczonych, ale bitwa grochowska przedstawia jedyny wypadek walki, w której nikt nie dowodził. Czegóż to wojsko nie byłoby dokazało, gdyby od początku do końca bitwy miało jednego wodza na czele!...

Późno wieczorem, Chłapowski, skoro odprowadził swoich ludzi na wskazane miejsce, pod Łazienki, pojechał do Chłopickiego na Krakowskie przedmieście. „Zastałem go, pisze, w łóżku bardzo cierpiącego na rany w obu nogach, na których i dawnych ran było już dosyć. Jeszcze miał przekonanie o wielkich siłach moskiewskich i przypuszczał, że przejdą Wisłę na Solcu i wezmą Warszawę nazajutrz, ale powtórzył mi kilka razy: „Nie miałem dosyć zaufania w wojsku naszem; tak szli na bagnety, że można było wszystko pobić, gdyby był przyszedł Krukowiecki ze starym moim Małachowskim. Nie miałem wyobrażenia, żeby żołnierze, którzy jeszcze nie byli na wojnie, tak szli naprzód jak nasi. A widziałeś ty regiment 20ty, chłopi z kosami stali w ogniu jak stara armia francuska (prawda, że nimi dowodził dawny oficer Podczaski, a miał z połowę starych oficerów). Szkoda, że już nie mogę; gdybym się na nogach potrafił utrzymać, z całą piechotą, która teraz musi być na Pradze, wypadłbym na nich, jak się będą przeprawiali.“ Tu się podniósł na łóżku, jakby chciał próbować, ale zaraz opadł. „Darmo, zawołał,

trzeba mi umykać, nie chcę, żeby i ciało moje do nich się dostało.“

Dopiero teraz przejrzał Chłopicki! Trzeba było ognia z trzystu dział przez dzień cały i potoków krwi przelanej, aby w nim odezwało się coś więcej nad honor wojskowy i rutynę francuskiego jenerała; trzeba mu było zetknięcia się z naszymi wiarusami na polu bitwy, aby w nim rozbudził się uśpiony duch polskiego wodza, aby się zapaliła ta iskra geniuszu, którą Bóg w nim złożył, a która przygasła. Ale już było dlań zapóźno! Takie chwile nie przychodzą na zawołanie. Na taką chwilę decydującą, i ludzie i narody przez długie lata wprzódy zarabiać muszą... W późnej starości, kiedy Chłopicki zamieszkał w ulubionym sobie Krakowie, spojrzawszy raz na mogiłę Kościuszki, rzekł: „i ja mogłem mieć podobną!“ Bezwątpienia, byłby miał i większą i jeszcze bardziej zasłużoną, gdyby odrazu był tem, czem być mógł i czem go naród mieć chciał.

---

§ 10.

Skrzynecki i jego niezawisłość od Rządu.

Atak na Warszawę, którego się Chłopicki nazajutrz spodziewał, nie przyszedł do skutku. Dybicz, uderzony bohatyrskim oporem armii polskiej, nie śmiał ryzykować nowej bitwy pod murami stolicy. Wnet potem Wisła puściła; wczesne roztopy zmusiły go do nieczynności. Powstanie zyskało czas zebrać nanowo i rozwinąć swoje siły. W miesiąc później, jakże wszystko zmienione! W dwóch bitwach, pod Wawrem i Dębem Wielkim, korpus Rosena nieledwie zniesiony; broń, działa, sztandary i 16,000 niewolnika dostaje się w moc zwycięzcy. Nigdy jeszcze Warszawa z taką radością nie obchodziła świąt wielkanocnych; zdawało się, że z dniem Zmartwychwstania Pańskiego, i dla Polski godzina zmartwychwstania wybiła. W dziesięć dni później jeszcze jedno zwycięstwo, pod Iganiami. Dybicz cofa się z pod Warszawy; jego wojsko osłabione, upadłe na duchu, do tego cholerą trapione, przymuszone czekać na posiłki. Przeciwnie, armia polska prawie wszędzie zwycięska, urosła z 30 do 80 tysięcy, z których przynajmniej 60 tysięcy wódz miał pod ręką, mogąc pchnąć je do boju każdego czasu. Tego boju żołnierz pragnął, wyglądał jak szczęścia dla siebie. — Czemuż do niego nie przyszło; czemuż przez dwa z górą miesiące wódz polski nie zrobił nic, tracąc czas, puszczając najszczęśliwsze okazye, — a były takie, w których nieprzyjaciela przewyższał

znacznie siłami? Czemuż przypisać te jego zwłoki, to zabójcze kunktatorstwo? Czyniono mu mnóstwo zarzutów, w większej części słusznych, które jednak wszystkiego nie wyjaśniają, nie odkrywają istoty rzeczy. Bezwątpienia, Skrzynecki nie miał geniuszu wojennego, ale też i po stronie przeciwnej geniuszów nie było; odważnym był i zaciętym w boju, jak mało kto, i tego wielokrotnie dowiódł, ale przyciśnięty ogromną odpowiedzialnością, sam decydować nie śmiał, a nie było nad nim nikogo, coby tę decyzyą mógł wziąć na siebie. I oto główna przyczyna jego nieczynności, a zarazem nieszczęść naszych; musimy ją bliżej określić.

Zdrowy instynkt narodu ostrzegał na początku powstania, że trzeba wszystką władzę oddać w ręce jednego i to żołnierza; ale, gdy w osobie Chłopickiego zawiodła dyktatura, stracono do niej ufność i przerzucono się w drugą ostateczność. Sejm zatrzymując przy sobie moc prawodawczą i dozorującą, powierzył władzę wykonawczą rządowi złożonemu z pięciu członków. Machina to zbyt ciężka do działania, dla nas najmniej stosowna; ludzie, którzy nie umieją rozkazywać, tem mniej będą umieli, gdy są w kilku zebrani. A cóż dopiero mówić o rządzie wielogłównym podczas wojny! Lecz nie dość na tem. Zdawało się Sejmowi, że najskuteczniej zapewni rządowi ogólne poparcie, jeżeli z niego zrobi reprezentacyą wszystkich opinij panujących w kraju; wybrał więc do rządu dwóch ludzi z obozu konserwatywnego, dwóch z opozycyi kaliskiej, jednego z partyi rewolucyjnej. Jakiżto skład potworny! Rząd przecież nie jest Radą, ale organem działającym, a do działania potrzebna jedność przekonań. Jakże mogło rządzić takie *mixtum compositum*? To też nie rządziło naprawdę, ale radziło, w ciągłych dla siebie nawzajem ustępstwach, w ciągłem oglądaniu się, jeden błąd popełniając po drugim. W stolicy, pod bokiem nieprzyjaciela, zostawiono wolność druku, wolność klubów, wolność demonstracyj; tego było dosyć i zanadto, aby najsilniejszą nawet machinę rządową rozsadzić. Po bitwie grochowskiej należało wielu wyższych jenerałów oddać pod sąd i ukarać, jak tego domagała się od rządu wielka liczba najdzielniej-

szych oficerów. Nie zrobiono tego, bo jak powiedziano, „naród polski brzydzi się terroryzmem.“ Jakbyto wymiar sprawiedliwości nie był obowiązkiem rządu, jakby posłuszeństwo gdziekolwiekbądź było możliwe bez kary! Co gorsza, aby nikogo nie drażnić, aby wszystkich głaskać, niby przyciągać, pozostawiono jawnych winowajców na swym stopniu, innych, jak Krukowieckiego, posunięto o stopień wyżej. A potrzeba było tak zrobić, bo każdy z tych winowajców miał swego obrońcę w rządzie wielogłównym! Lecz idźmy dalej.

Sejm był zwołany, jak wiadomo, dlatego, aby nadać sankcyą powstaniu, sankcyą zbyteczną doprawdy, wobec ogólnej adhezyi narodu. Wszelako skoro raz był już zebrany, Sejm miał trzy rzeczy do zrobienia: uznać powstanie, utworzyć rząd i rozejść się. Niełatwo ciało zbiorowe skłonić do wyrzeczenia się władzy; posłowie zasiadłszy na ławach sejmowych, postanowili radzić i — rządzić. Nie było to naśladowaniem konwentu francuskiego, bynajmniej: raczej, byłato dziedziczna nasza choroba sejmikowania i swady. Jak dawniej sejmy polskie wycieńczały systematycznie władzę królewską, tak że w końcu pozostał tylko cień króla, fikcya niezdolna obronić państwa, tak i Sejm z r. 1831, w teżsame idąc tropy, skąpą ręką udzielał władzy rządowi. Jak w czasie Sejmu czteroletniego wyjęto wojsko z pod władzy Króla, tak i Sejm z r. 1831 sobie samemu zastrzegł prawo mianowania i odwoływania wodza naczelnego, temsamem pozbawił rząd wszelkiej kontroli nad wodzem i nad wojną. Błąd niesłychany, bo jakże wydobyć naród z niebezpieczeństwa, jeśli się rządowi odmawia siły? „Zamiast rządu, rzekł z niesmakiem ks. Czartoryski, zrobiono jakąś komisyą prowiancką!“ Błąd tem większy, że Sejm w żaden sposób nie mógł wykonywać tych atrybucyj, które rządowi był ujął. Bo jakże ciało zbiorowe może odwołać wodza naczelnego i to jeszcze w czasie wojny? Przecież musi pod rozbiór wziąć jego czynności, zasięgać zdania biegłych, przywoływać podkomendnych, jednem słowem, stawiać pod krytykę mniej-więcej jawną tego, który powinien być otoczony najwyższem zaufaniem. Jakże to zrobić bez zburzenia karności wojskowej?... Sejm

spostrzegł później, że to niepodobna, że się pomylił, to też upoważnił rząd do mianowania wodza; ale już było zapóźno; już następstwa fałszywej zasady nie dały się naprawić, tem bardziej, że rząd choć wodza zamianował, odwołać go nie mógł. Następstwa zaś były takie, że wódz naczelny, Skrzynecki, czując się niezawisłym od rządu, gdy i Sejm nad nim nie mógł wywierać kontroli, był w rzeczywistości od nikogo niezawisłym. Ta niezawisłość przechodziła jego siły. Czuł on, że w położeniu, jakie mu utworzono, losy narodu nie w Sejmie, ani w rządzie, ale w jego złożone były ręku. Kiedy go nakłaniano do wydania bitwy, odpowiadał: „Bitwę wydać łatwo, ale któż mi zaręczy wygraną? Jak stracę te 60,000, które mam, zkąd naród weźmie drugą armią?“ Straszna odpowiedzialność gniotła jego zacną duszę, i on, co tyle razy życie swoje po bohatyrsku narażał, armii narazić nie śmiał, mając to ciągle na myśli, że dopóki jest wodzem, on, a nie kto inny, za los armii, za los narodu odpowiada. Prezes rządu dokładnie o wszystkiem zawiadomiony, przedstawiał mu konieczność wydania bitwy, naglił, prosił, ale napróżno; Skrzynecki albo zbywał go milczeniem, albo niewłaściwemi odpowiadał żartami. „Winszuję Księciu, pisał on, że z polityka i dyplomaty stałeś się wojskowym i strategikiem i starego żołnierza sztuki wojskowej uczyć zamierzyłeś.“ Sądził on, że powinnością jego było nic nie ryzykować, dochować armią w całości aż do zimy, dać czas mocarstwom życzliwym do wdania się za nami. I kiedy ks. Czartoryski, do którego sprawy zagraniczne należały, układał listy i memoryały do wodza naczelnego, aby go wyrwać z nieczynności, Skrzynecki wysyłał agentów do Paryża, korespondował z Sebastianim, ministrem spraw zagranicznych francuskim, szukając u niego, a nie u swego rządu, do działania wskazówek. Takieto potworne niekonsekwencye płodziła zasada postawiona przez Sejm! Gdyby wódz naczelny, będąc zależnym od rządu, mógł był i własne sumienie uspokoić i przed narodem zasłonić się rozkazem odebranym z góry, byłby niezawodnie śmielszym w działaniu i niejednę klęskę byłby zadał nieprzyjacielowi. Opowiada Chłapowski, że gdy mu Skrzynecki zro-

bił propozycyą wyprawy na Litwę, rzekł do niego: „Kiedy mnie Jenerał wysyłasz tak daleko od siebie, proszę, aby mi wolno było postawić jedno pytanie. — Mów. — Dlaczego Jenerał po zwycięstwach pod Wawrem i W. Dębem nie uderzyłeś wprawo na Dybicza? — Brała mnie wielka chętka, odpowiedział, ale tylu emisaryuszów przybyło do mnie z Francyi, prosząc mnie i zaklinając, żebym walnej bitwy nie wydawał, żebym się starał przedłużyć walkę tylko o kilka miesięcy, gdyż negocyacye są już tak posunięte, iż bylem utrzymał armią bez znacznej straty, byt Polski zapewniony będzie przez dyplomacyą, że tym namowom uległem i muszę do tego jeszcze i teraz się stósować." — Była wówczas możność pobicia Dybicza, jak później nasuwała się sposobność zgniecenia lub zabrania w niewolę gwardyj rosyjskich. I kiedy choć z oporem dał się do tej wyprawy nakłonić, w ostatniej chwili, dognawszy nieprzyjaciela, zawahał się, rozkazów do bitwy dać nie chciał, a zawsze dlatego, aby armii nie narazić. Straciwszy w ten sposób najświetniejsze zwycięstwo, wystawił się zaraz potem na fatalną klęskę ostrołęcką, po której jeszcze mniej zdolnym był do wszelkiej decyzyi.

Jakże inaczej postępowano po stronie przeciwnej! Pod koniec czerwca, Mikołaj widząc, że wojna trwająca od pięciu miesięcy, kompromituje go w oczach Europy i mocarstwa zachodnie do podniesienia głosu za Polską ośmiela, gdy pora jesienna nie była już daleką, chciał bądź cobądź położyć jej koniec. W tym celu dał rozkaz Paskiewiczowi przeprawić się z całą armią na lewy brzeg Wisły, przez co powstanie straciłoby znaczną część kraju, komunikacyą z Zachodem, a nadto obronę Wisły i Pragi. Ale ten ruch był wielce niebezpieczny: narażał armią na odcięcie dowozów z Petersburga, a pierwej jeszcze na marsz flankowy wobec całego wojska polskiego. Paskiewicz wiedział, że połowę armii stracić może, ale wahać się nie mógł; rozkaz był stanowczy. I wykonał go szczęśliwie. „Moskale, mówi jeden z historyków tej wojny, przeszedłszy rzekę z taką trwogą, że płazami musiano poganiać żołnierza, padli na kolana i uroczystem nabożeństwem oddali cześć Bogu." Skrzynecki i w tym razie

nie śmiał wyjść ze swej nieruchomej oględności, a tem ciągłem wahaniem się i wyczekiwaniem zadał sprawie większą klęskę, niżby ją przyniosła przegrana batalia. Wojsko straciwszy ufność do wodza, nie miało chęci do boju. Wodza w Sejmie odwołać było trudno, zastąpić w armii jeszcze trudniej. Wcisnęło się rozprzężenie i bezkarność, nad czem zresztą nieprzerwanie pracowali klubiści. Wojsko bez bitwy zostało rozbite. — Miał racyą Chłopicki, kiedy mówił: „Choćbyśmy mieli trzykroć, a oni sto tysięcy, jeszcze nas pobiją, bo mają Cesarza,“ a my rządu naprawdę nie mieliśmy...

---

§ 11.

Korespondencya z żoną.

Nie chciałbym zamykać dzisiejszego opowiadania tą bolesną uwagą; wolę jeszcze wrócić na chwilę do Chłapowskiego. Przy reorganizacyi armii, jaka nastąpiła po bitwie grochowskiej, oddzielono go do korpusu Umińskiego. Korpus ten otrzymał przeznaczenie obserwować Sackena, który traktem od Ostrołęki posuwał się ku Warszawie, ale za nadejściem wojsk polskich prędko się cofnął, zaczem i Umiński zatrzymał się na pół drogi od stolicy, stojąc z tej strony na straży. Z początkiem kwietnia, gdy Skrzynecki powziął myśl opanować Siedlce i przeciąć Dybiczowi komunikacye z Brześciem litewskim, polecono Umińskiemu tworzyć lewe skrzydło głównej armii. Przez Okuniew i Stanisławów ruszył aż do Liwu; lecz i tu, podobnie jak w wyprawie na Sackena, do ciężkiej akcyi nie przyszło. W obu tych expedycyach Chłapowski odbył kilka szczęśliwych potyczek i rekonesansów, w których zabrał wiele niewolnika.

W połowie kwietnia zjawił się w Warszawie emisaryusz Feliks Wrotnowski, przysłany od powstań litewskich, które domagały się instruktorów i oficerów do komendy. Skrzynecki nie mógł na takie żądanie być głuchym, lecz misya była bardzo trudna, wymagała od dowódzcy wielkiej energii, bystrości i wojennego doświadczenia. Wódz naczelny przywołał Chłapowskiego i zapytał go, czy przyjmie tę komendę?

„Służę w wojsku od dzieciństwa, odpowiedział, i nigdym dla siebie nic nie wybierał; każdy rozkaz będę się starał wypełnić.“ „Nie taję ci, rzecze Skrzynecki, że wyprawa jest niebezpieczna, lecz czyż mogę im odmówić instruktorów, o których proszą.“ „Na wojnie, odparł Chłapowski, niebezpieczeństwo jest wszędzie jednakie, i nic gorszego nie może się przydarzyć człowiekowi nad śmierć, a na tę wszyscy jesteśmy przygotowani.“ „Zgoda więc, jedź do Warszawy, weź instrukcye od Rządu.“ — Za powrotem ze stolicy, Chłapowski przyłączył się ze swym oddziałem do głównej armii, która w połowie maja wyruszyła na gwardye. W drodze przyszło do spotkania pod Długosiodłem, w której Chłapowski dzielną wykonał szarżę, poczem Skrzynecki przywołał go do siebie i rzekł: „Teraz pora dla ciebie, gwardye się cofają, masz wolne pole na Litwę; innych instrukcyj ci nie daję, jak tylko: zaprowadź Litwinom instruktorów i formuj z nich wojsko regularne.“ W Księżopolu, 18go maja, odłączył się od głównej armii i szybkim marszem przez Andrzejów i Czyżewo, niespostrzeżony od nieprzyjaciela, wszedł na Litwę.

Wyprawa ta, która tyle miała rozgłosu i która tyle chwały, a później tak ciężkie krzyże przyniosła Chłapowskiemu, zasługuje na to, byśmy się jej zbliska przyjrzeli. Nim jednak w tamte puścimy się strony, dziś jeszcze na chwilę słuchaczów moich chcę zatrzymać. Mam w ręku kilkanaście listów Chłapowskiego, pisanych do żony w epoce, którą dopiero co opowiedzieliśmy, i nie mogę się oprzeć pokusie, bym z nich nie podał kilka wyjątków. Pisane dorywczo, nieraz na świstkach, pod namiotem, nie miały innego celu, jak dać spieszną wiadomość ukochanej żonie. Próżnoby w nich szukać piękności stylu albo dokładności w szczegółach; ale właśnie dlatego mają one wartość rzeczywistą, bo dają wierny obraz usposobienia piszącego i lepiej niż cobądź dozwalają zajrzeć w głąb tej duszy, która niełatwo otwierała się przed drugimi. Wszak nie piszę historyi, tylko krótki szkic biograficzny; więc i te zwierzenia czysto poufne mogą tu się znaleść na właściwem miejscu.

Kiedy Chłapowski opuszczał Turwią, żona jego była przy nadziei, bliską rozwiązania; nie zatrzymywało go to wcale, i owszem, dzielna niewiasta gotową była pomódz mężowi do ucieczki w razie, gdyby władze pruskie zatrzymywały go w domu. Pierwsze wrażenia z pobytu jego w Warszawie były bardzo przygnębiające. Widział w narodzie wielki zapał i gotowość do poświęceń i ufność bez granic w Chłopickim, kiedy ten ostatni wcale wojny nie przypuszczał i kiedy niemało ludzi w wyższych sferach towarzyskich i na wyższych stopniach wojskowych, ku temu jedynie dążyło pocichu, by rzeczy wróciły do dawnego stanu. Przewidywał, że to się źle skończy, że opinia wywiedziona z błędu obróci się gwałtownie przeciw Chłopickiemu; a choć i jego wliczano pomiędzy stronników rosyjskich, nie zrobił nic, by zdjąć z siebie to krzywdzące podejrzenie, tylko członków Rady Najwyższej, ks. Czartoryskiego i Niemojewskiego, poufnie zawiadomił, jakie było istotne usposobienie Dyktatora. Zresztą milczał i szukał pociechy i pokrzepienia w Bogu. „Dziś (pisze on do żony), skończyłem pokutę z ostatniej spowiedzi. Dziękuję Bogu, że mnie zachował od wszelkiej Jego obrazy i że nie dopuścił w mem sercu niechęci do ludzi, pomimo przykrości, których od nich doświadczam. Nieszczęśliwy naród; wszak tyle zrobiono, aby go rozdrażnić i uczynić podejrzliwym.“ — Kiedy konsul pruski zagroził mu konfiskatą majątku, nie zawahał się wcale; napisał tylko do żony: „Skoro dobra zabiorą, przyszlij mi zaraz urzędowy dokument konfiskaty. Wtedy nie będę już obywatelem żadnego kraju i wdzieję mundur, nie kompromitując Królestwa wobec Rządu pruskiego. Powiadają mi, że z mocy wspólności majątkowej połowę będziesz mogła zachować. To nam wystarczy. Nie trać przeto ufności, moja droga. Jakże Bóg dobry, że twoję duszę z moją połączył. Ty mnie krzepisz, podnosisz i we wszystkich przygodach życia dajesz mi szczęście. A skoro Bóg tak dobry, jakże ja nie mam spełnić mego obowiązku! Jestem najspokojniejszy o siebie.“ — Ta obojętność o własny majątek godna uwagi. Prawda, że wielu w owej epoce poświęcało dla Ojczyzny większe jeszcze fortuny. Ale je odziedzi-

czyli po rodzicach; on swoję odzyskał własną pracą, — a jaką pracą, to widzieliśmy.

W połowie stycznia umarła mu córeczka nowonarodzona, o czem jednak żona nie zaraz mu doniosła. „Będziesz zapewne wolała dowiedzieć się, że już wiem o naszem nieszczęściu. Bogu je ofiaruję, a cierpię bardziej jeszcze za ciebie, bo dziecina w tym wieku droższa jest dla matki. Boże, zsyłaj na nas wszystkie boleści osobiste, a miej litość nad sprawą publiczną; daj jedność naszym!“ I zaraz przechodzi do rzeczy publicznych, a byłoto właśnie po usunięciu się Dyktatora. „Już też czas był, aby to wstrząśnienie nastąpiło, a cokolwiek się zdarzy, mogą być z niego dobre skutki. Europa przekona się, że naród zdecydowany jest albo umrzeć, albo wydobyć się z pod berła rosyjskiego, skoro wodza, w którym miał ufność, wolał pozbyć się, jak tylko przekonał się, że on chce oddać nas pod rządy Cesarza... O Zabałkańskim mamy wiadomości, że zgromadził już 60,000; przybędzie mu jeszcze około 90,000, oprócz mnóstwa dział. Lecz jeśli duch armii może jej szczupłość zastąpić, to powinniśmy mieć dobrą otuchę. U niego mnóstwo chorych, u nas szpitale wojskowe są puste. Nowy rodzaj życia, i fizycznie i moralnie, naszym żołnierzom doskonale odpowiada.“ — Skoro go posłano do korpusu Żymirskiego pod Siedlce, pisze: „Mam przy sobie Stasia (Chłapowskiego), Gustawa Potworowskiego, Skórzewskiego i Ksaw. Bojanowskiego, którzy mi służą za adjutantów; widzą oni, że wojna trochę inaczej wygląda, niż sobie wyobrażali. Dotąd widzieliśmy tylko kozaków, a ty wiesz, że ja lubię mieć z nimi do czynienia. W życiu bywają zawsze wypadki, ale o ile podobna ich uniknąć, to ja do tego, wzrok mam dobry, jestem przytomny, zręczny na koniu i z dobrą szablą w ręku dam sobie radę. A zresztą ufam naszej sprawie; nigdy nie położę się spać, bym Boga nie przyzwał na pomoc i nie polecił mu gorąco nieszczęśliwej naszej Ojczyzny.“

Wieczorem, po bitwie grochowskiej, znalazł czas, aby żonie przesłać kilka wierszy: „Stało się, co musiało stać się, przegraliśmy dziś bitwę pod Pragą. Rosyan było trzech na

jednego, dział bez końca i dużego kalibru; wieczorem cofnęliśmy się w porządku. Mam nadzieję, że ten bilecik cię dojdzie i że cię uspokoi. Rzecz była nie do uniknięcia, ale rezultat pozostanie na zawsze: *dzielna* protestacya przeciw zlaniu się z Rosyą, *dzielna* w całem znaczeniu tego słowa.“ W tydzień później dodaje: „Rzeczy się układają, Skrzynecki wodzem naczelnym. Człowiek stały, pobożny, wszystko odmieni na lepsze; skutki są już widoczne. Jest nie do pojęcia, że armii nie rozbito i nie zniszczono odrazu; doprawdy nikt nie dowodził. Chłopicki szedł w pierwszej linii, dać się zabić; Radziwiłł mniej niż nic. Najlepszy dowód, jaka była we wszystkich ochota, skoro w takich warunkach można było stoczyć bitwę, i jakie miłosierdzie Opatrzności, że wszystko nie skończyło się pod Pragą. Nigdy Polska od czasów Zygmuntowskich nie miała piękniejszej chwili, bo nigdy tyle dobrej woli, czystej woli, nie było w Polakach, z wyjątkiem tych, którzy znikczemnieli pod rządem rosyjskim.“ — Z miesiąca marca niema listu, ale 9go kwietnia, w tydzień po pierwszych zwycięstwach, pisze znowu: „Słówko tylko, moja droga, abyś miała o mnie wiadomość. Dzięki, dzięki Przedwiecznemu! Szczegółowo ci donoszę; doprawdy, upoić się można nimi z radości. Moje zdrowie wyborne i moich towarzyszy. Wznoszę serce do Boga; dziękuję, dziękuję, ale i błagam, abyśmy szczęście równie jak i nieszczęście umieli wytrzymać!“

Po bitwie pod Iganiami wkradła się do naszych cholera od jeńców, którzy ją przynieśli. Chłapowskiemu bardzo o to chodziło, aby żonę pod tym względem uspokoić; wraca do przedmiotu kilka razy. „Zapewne posłyszysz, że cholera jest u nas. Nie przeczę, jest. Rzecz szczególna, do jakiego stopnia usposobienie człowieka wpływa na tę chorobę. Spostrzeżono, że ci jej właśnie ulegli, którzy się jej obawiali; otóż, nasze wojsko i nasza ludność wcale się jej nie boją. Żydów pada coniemiara, mrą także Niemcy, którzy rachują, przewidują. Jestem przekonany, że jeśli się do ich kraju dostanie, uczyni ogromne spustoszenia. Najlepszem od niej ubezpieczeniem jest odwaga, wesołość i życie wstrzemięźliwe; a

że tego u nas nie brakuje, więc się nie trwoż, moja najdroższa.“ W parę dni później pisze znów: „Cholera odzywa się od czasu do czasu u tych, co sobie nią głowę nabili, ale nie chwyta się żołnierzy, co noszą czapkę na bakier. Ani jeden oficer dotąd nie umarł; tych co zapadli, opium wyleczyło. Prawda, nie można nigdy powiedzieć: *jam bezpieczny*, bo Bóg inaczej może rozporządzić; ale po ludzku mówiąc, czuję i jestem przekonany, że mi nic z tej strony nie grozi.“

Od końca kwietnia myśl jego zajęta wyprawą na Litwę. „Możesz sobie wyobrazić, jaki jest stan mojej duszy, gdy wszystkie moje marzenia ziszczą się może niezadługo, jeżeli Bóg i nadal nie odmówi nam swej opieki. Ale, nie wyrokujmy naprzód; prośmy Go o jedność! Boli mnie tylko, że nie będziemy mieli o sobie wiadomości, i to zapewne, parę miesięcy. O mnie się nie bój; wiesz, żem dużo podróżował, znam kraj, jestto misya, która mi się najbardziej podoba.“ Jeszcze raz, przed samem wejściem do Litwy, rzucił słówko do żony, a potem w istocie, jak zapowiedział, milczenie przez długie miesiące! — Szedł na Litwę z radością, szedł z mocnem przekonaniem, że tam będzie walczył, gdzie się rozgrywa wielka sprawa między Polską a Rosyą. O sobie nie myślał; wszak powiedział Skrzyneckiemu: „cóż mnie tam gorszego spotkać może nad śmierć, a na tę wszyscy jesteśmy gotowi.“ Szedł nadewszystko z mocną wiarą w Boga, a choć nie spełniły się jego nadzieje, Bóg go nie zawiódł, bo mu dał pole okazania wielkiej dzielności rycerza, a potem wielkiej rezygnacyi chrześcijanina.

IV.

WYPRAWA NA LITWĘ.

(1831).

§ 12.

Pierwsze powodzenia Chłapowskiego.

Z jednym pułkiem ułanów, z oddziałem stu instruktorów, oficerów i podoficerów, tyluż strzelców pieszych i dwoma działami, szedł Chłapowski na Litwę. Żołnierz był wyborowy, ale garstka nieliczna, mało co więcej nad 700 ludzi licząca. Zapytać się godzi, co chciano zrobić z taką drobną siłą; jaki cel miała ta wyprawa, w kraju od głównych działań oddalonym, a gęsto obsadzonym nieprzyjacielskiemi korpusami? „Innych instrukcyj ci nie daję, rzekł do niego Skrzynecki przy rozstaniu, jak tylko — zaprowadź Litwinom instruktorów i formuj z nich wojsko regularne.“ W kwaterze głównej miano wiadomość, że w okolicach Lidy znajdowały się znaczne massy powstańców; że w powiecie trockim, wileńskim i na Żmudzi, liczba ich wynosi 30 do 40 tysięcy. Byle więc dostać się do Lidy, a pierwsze trudności będą złamane! — Zapytał Chłapowski, czy ma objąć nad powstańcami dowództwo, bo tam są starsi jenerałowie, np. Tyszkiewicz? Odrzekł Prądzyński: „Zapewne poszlemy tam za jenerałem dywizyą; więc będzie i starszy jenerał.“

Chłapowski nie był człowiekiem, któryby się cofał przed trudnościami. Powiedziano o nim, że w przedsięwzięciach był śmiałym aż do zuchwalstwa, jakby żadnych niebezpieczeństw nie widział, a w wykonaniu ostrożnym, jakby wszystko mógł przewidzieć i nic przypadkowi zostawić nie

chciał; dwa przymioty napozór sprzeczne, a jednak doskonale się uzupełniają i dostrzedz ich można niemal we wszystkich znakomitszych wodzach. By korpus swój uczynić lotniejszym, wszystkich instruktorów i strzelców powsadzał na konie, i przemknąwszy się niespostrzeżony między gwardyami rosyjskiemi i armią Dybicza, wszedł do Litwy pod Mieniem, 21 maja. Świadek naoczny tej wyprawy, tak pierwsze jej dnie na ziemi litewskiej opowiada. „Bohatyrski nasz żołnierz szedł ze zwykłą sobie, niedbałą na nic uwagą, większa część oficerów nie mierzyła swego poświęcenia żadną rachubą; ale znaleźli się i tacy, co nie wierząc w całą sprawę, bardziej niż kiedykolwick widzieli powód do utyskiwania nad sobą; szczupłość sił nareszcie w nikim nie mogła wzbudzić otuchy. Wszystkich oczy zwracały się na Jenerała, który wziął na siebie ster hazardownego przedsięwzięcia. W nim była teraz cała nadzieja; on też potrafił pozyskać ufność, a miał do tego wiele rzeczywistych przymiotów. Czynny i przezorny wódz, dawny i surowy żołnierz, wprawną ręką objął nową władzę, zaprowadził porządek; z siebie dawał przykład czujności i wytrwania: ostatni szukał spoczynku, pierwszy prawie opuszczał twarde posłanie ze słomy; w niebezpieczniejszych razach widziano go u każdej placówki, u każdej widety. Przechodząc tuż po za ustępującym nieprzyjacielem, niełatwo było o żywność i o pewną drogę; on jeden troszczył się o to, wyprawiał furażerów, zbierał wiadomości, wybadywał miejscowych, obmyślał kierunek każdodziennych marszów; nie radził się nikogo, dawał tylko rozkazy; chciał, aby wszystko było narzędziem posłusznem jego woli; trzymał podwładnych w ostrym rygorze. Uśmiechała mu się zrazu fortuna, stał się duszą, bożyszczem swego korpusu; władał nim absolutnie [1]".

Tego samego dnia, kiedy przekroczył granicę, doniesiono mu, że w Bielsku stoi tysiąc żołnierzy, rekonwalescentów, z różnych pułków piechoty, którzy złączeni w batalion marszowy, dniówkę tam odbywają. Deszcz padał ulewny,

[1]) Wrotnowski. Pamiętniki o powstaniu Litwy. Paryż, 1833.

grzmiały pioruny. Jenerał z całym swym korpusem, z trębaczami na przedzie, wpadł do miasteczka. Wszystko osłupiało na tak niespodziane zjawisko, poddało się bez wystrzału. Kilku oficerów przyłączyło się do swoich z radością; resztę żołnierzy wypadało rozpuścić, kazano im tylko złożyć przyrzeczenie, że w tej wojnie służyć nie będą. Broń i prochy złożono na wozy i puszczono się dalej. W tym samym czasie patrol, wysłany do Brańska, schwytał oddział stojący na straży magazynów rosyjskich. „Uśmiałem się, mówi Jenerał, na widok magazyniera, który w pełnym uniformie przyszedł mi zdać raport, jakby swemu dowódzcy, o stanie magazynu.“ Były tam znaczne zapasy ziarna i sukna. Brać z sobą nie było podobna, a szkoda niszczyć, bo była nadzieja, że korpus Łubieńskiego, stojący nieopodal granicy, będzie mógł z nich korzystać; dał tedy rozkaz magazynierowi, aby pilnował tych zapasów dla armii polskiej, która nadchodzi. — Nazajutrz, w Berezowie, dowiedział się, że o milę ztąd, w Hajnowszczyznie, na samym wstępie do puszczy białowieskiej, stoi obozem batalion rosyjski, ze szwadronem ułanów i dwoma działami, którzy pod dowództwem jenerała Lindena czatowali na powstańców w puszczy. Nieprzyjaciel był silniejszy, i tylko napadając niespodzianie, można było go schwycić. Dońcy zoczyli Polaków, dali znak. Uformowali się Rosyanie w czworobok; Chłapowski wysławszy bokiem swoich strzelców, jednemu szwadronowi kazał z frontu na piechotę szarżować. Przywitany rzęsistemi wystrzałami szwadron cofnął się; zatrzymuje go Jenerał i rzecze: „Żołnierze, jeśli nie rozbijecie tej piechoty, to zsiadajcie z koni i poddajcie się, bo Moskale przed nami, ale i za nami. Niemasz ratunku, tylko naprzód: marsz, marsz.“ Trafiło to do ich przekonania, poszli i rozbili, a właśnie w tej chwili uderzali już strzelcy. Batalion rosyjski w las, zatrzymywany powózkami, które naprzód co tchu umykały. Chłapowski każe rzucić kilka granatów między powózki, aby w nich zrobić zamięszanie i utrudnić ucieczkę. Rozproszyli się Rosyanie, rzucali broń, poddawali się, a tymczasem, na czele drugiego, szwadronu, Mielżyński Maciej rozbija ułanów. Zabrano kilkaset

niewolnika, jedynastu oficerów, wielką ilość broni. Żołnierzom zdjęto mundury, dano po rublu i puszczono wolno; oficerów zatrzymano. Karabiny wpakowano na wozy i wraz ze zdobytem działem oddano pod straż Karolowi Kaczanowskiemu oficerowi artyleryi.

Zwycięstwo było świetne, otworzyło drogę do puszczy i do połączenia się z powstańcami, którzy tam się chronili. Ale było ich niewielu, mały oddział Ronkego i nieco większy Szröttera, z 200 strzelców złożony. Połowę z nich wcielił do nowych formacyj, które już rozpoczął, Szröttera ze stoma ludźmi zostawił w lesie, a sam trzeciego dnia, wyszedł z puszczy pod Hrynkami. Trzeba było się spieszyć; nieprzyjaciel ostrzeżony dwoma potyczkami, mógł zamknąć mu drogę. W Białymstoku stały gwardye w. ks. Michała, w Mereczu Kuruta z 7-tysięczną dywizyą, w Słonimie z takąże siłą w. ks. Konstanty. Była obawa, że jeżeli ten ostatni posunie się na zachód, Chłapowski, mimo całego pośpiechu, nie będzie mógł przerżnąć się do Lidy. Traf posłużył mu szczęśliwie. Patrol schwycił kuryera jadącego do w. księcia; przyprowadzono go w chwili, gdy adjutanci zdawali jenerałowi raporta; wszedł i Czetwertyński, komendant artyleryi, odziany szarfą adjutanta naczelnego wodza; wszystko to zrobiło na oficerze rosyjskim wrażenie, że jest wpośród znacznej armii. Chłapowski napisał do księżnej Łowickiej, że ma rozkaz atakować w. księcia, że byłoby mu przykro spotkać się z nim, że wolałby, aby w. książę się oddalił; z tym listem puścił wolno kuryera, wysławszy za nim mocne patrole, jakby już w tym kierunku armia ruszyła. List ten przyniósł skutek pożądany; w. książę z przestrachem odczytał list. Zżymali się oficerowie rosyjscy, że jenerał buntowników śmie tak odzywać się do brata cesarskiego, ale w. książę nie zważając na to, nakazał spieszny odwrót do Mińska, Chłapowski tymczasem przechodzi Niemen pod Zelwianami i dąży do Lidy.

Powstańców nie było; zgłaszali się pojedynczo lub drobnemi oddziałami, ale wielkich mass, które zapowiadano, nigdzie nie zastał. Bylić oni tu wprawdzie, przed miesiącem

w początkach kwietnia; zebrani w mocne oddziały myśleli o pochwyceniu Wilna, ale pobici w kilku utarczkach rozproszyli się prędko; część przedarła się na Żmudź, reszta chroniła się jak mogła. Kraj był zgnębiony, wystawiony na srogą zemstę nieprzyjaciela, który nietylko broń, ale wszelkie żelazo z miast i wiosek odbierał. Widocznem było, że pomoc przychodziła zapóźno; wyprawa przedsięwzięta o sześć tygodni wcześniej, byłaby tłumy porywała za sobą. — Obecnie, mieszkańcy nawet wierzyć nie chcieli, że to Polacy przychodzą, i dopiero gdy się przekonali, że to w istocie wojsko polskie mieli przed oczyma, okazywali radość niewysłowioną. Żywności i furażu dostarczali obficie i nie chcieli brać pieniędzy; musiał ich zmuszać do tego Chłapowski, tłómacząc się, że ma rozkaz płacić za wszystko. „W pewnej wiosce, opowiada on, gdzieśmy stanęli dla popasu koni, pani domu wraz z córkami nie dała się przekonać, żeśmy Polacy; mówiły one, że wiedzą dowodnie, iż w. książę kazał narobić mundurów polskich i w nie ubrać żołnierzy rosyjskich, aby zwieść i wyłapać powstańców; boć i obu jej synów ujęto i zawieziono do Moskwy.“ Oficerów polskich z korpusu litewskiego odesłano do batalionów rezerwowych w odległych guberniach. Nadto, skoro Dybicz przybył do głównej armii, ogłoszono, że wszyscy oficerowie polscy, którzy nie chcą bić się z rodakami, mogą się zgłosić i będą puszczeni wolno do domów. Zgłosiło się ich 1,100; zaraz ich aresztowano i pod eskortą odprowadzono o tysiąc przeszło wiorst. „Gdyby Bóg, dodaje jenerał, nie był pomącił w głowie Chłopickiemu, ci wszyscy byliby z nami, bobyśmy przed Dybiczem stanęli na Litwie.“

Z jeńców polskich wziętych w Bielsku i pod Hajnowszczyzną, a także z ochotników, którzy przybywali, Chłapowski począł tworzyć pułk piechoty, pod dowództwem Maciewicza, pułk strzelców konnych pod komendą Grabowskiego, i nareszcie nowy pułk ułanów pod Gedrojciem; a gdy przyjechał Sołtan, dawny pułkownik armii napoleońskiej, oddał mu tę brygadę nowej jazdy. Broni i prochu było podostat-

kiem, wieziono je na stu powózkach za oddziałem. Ćwiczono w mustrze i obrotach nowych żołnierzy, o ile tylko czas pozwalał przy tak szybkim pochodzie.

Dnia 30 maja Chłapowski stanął w Orlance, o dwie mile od Lidy i dowiedział się, że w tem mieście stoi batalion rosyjski. Atakować go w murach, mając tylko stu strzelców i piechotę jeszcze niewyrobioną, nie było bezpiecznie; wysłał więc pod miasto z boku 300 ludzi nad ranem, na postrach, a sam z jazdą podsunął się bliżej. Komendant rosyjski nie chcąc zapewne być odciętym od Wilna, opuścił Lidę. Tego też pragnął Chłapowski; kłusem przebiega przez miasto i dogania nieprzyjaciela o 1500 kroków. Rosyanie na widok ułanów formują czworobok i walą z dział; odpowiada im celnie Czetwertyński, a tymczasem dwa szwadrony, jeden pod Krajewskim, drugi pod Mielżyńskim, uderzają w czworobok. Obaj dowódzcy dostali się w środek, za nimi ułany. Rosyanie rzucają broń, major ucieka w las; schwytany, inni oficerowie poddają się. Nie było między nimi Polaka, ale żołnierzy polskich znajdowało się wielu i ci zaraz przystali do naszych; kapelan x. Loga odbiera od nich przysięgę. Zdobyto dwa działa z jaszczykami i zapasem amunicyi, kilkaset broni, chorągiew i mundury. Czetwertyński zajął się natychmiast organizacyą bateryi i tegoż samego dnia miał już 5 dział z jaszczykami i potrzebną liczbą kanonierów.

Natarcie było tak gwałtowne i wszystko tak doskonale obmyślane, że z całego batalionu umknął tylko jeden porucznik artyleryi i dostał się do Wilna. Ten zdał raport gubernatorowi Wilna, że silny korpus polski napadł na Lidę i że całą załogę wziął w niewolę. Gubernator miał do obrony stolicy 3000 piechoty, prócz wielkiej ilości dział, ale usłyszawszy tak groźny raport, w przestrachu już się zabierał do opuszczenia miasta, kiedy nadeszło tajemne doniesienie z Lidy, donoszące szczegółowo o siłach nieprzyjaciela. „Przekonaliśmy się, mówi relacya rosyjska, że to nie był żaden znaczny korpus, ale tylko śmiały aż do zuchwalstwa oddział partyzancki, złożony z jednego pułku ułanów, 200 strzelców

i jednej bateryi [1])." Nie było powodu obawiać się i gubernator pozostał w mieście.

O uderzeniu na Wilno, którego bronił nieprzyjaciel trzykroć silniejszy, jenerał myśleć nie mógł. Dążył w Trockie, a że droga na wprost była zamknięta, puścił się na Orany i Kitowiszki. Tu, dnia 5 czerwca, spotkał ks. Gabryela Ogińskiego, który mu przyprowadził 250 chłopów i 150 akademików wileńskich, pod dowództwem prof. Gronostajskiego; nazajutrz w Gabryelowie przyłączył się Matuszewic z 250 strzelcami. Od wejścia na Litwę, Chłapowski wysyłał był ludzi na zwiady i z rozkazem do powstańców, aby się z nim łączyli, lecz tu dopiero po raz pierwszy znaczniejsza znalazła się siła. Z obu stron wielka była radość. Bracia z Korony i z Litwy, po czterdziestu latach niewoli, schodzili się znów z sobą. Chroniąc się przed ciągłą pogonią, młodzież wileńska, upadała już na duchu; pokrzepił ich jenerał krótkiem, jędrnem słowem; odpowiedzieli mu okrzykami najwyższego zapału. „Chwili tej opowiadać nie chcę, aby jej piórem nieudolnem nie popsuć," mówi Mielżyński zwykle tak spokojny i w słowach tak oszczędny; a Chłapowski dodaje: „tej nocy nikt z nas nie spał; cieszyliśmy się jedni drugimi, rzewnie i serdecznie; niejeden zapłakał ze szczęścia." Natychmiast zajął się jenerał uorganizowaniem nowej siły. Akademików oddał pod komendę dzielnego oficera, Stryjeńskiego, chłopów wcielił do pułku Maciewicza, któremu dał za adjutanta głośnego później na obu półkulach świata Domejkę; nadto począł formować nowy pułk piechoty pod dowództwem Radziszewskiego; wzmocnił oba nowe pułki jazdy, a widząc, że Matuszewic doskonale się do partyzantki nadaje, zostawił mu jego strzelców i rozkazał działać osobno.

Rzućmy okiem na ten krótki peryod, który upłynął od początku tej wyprawy. W ciągu dwu tygodni uszedł on bli-

---

[1]) Relacya oficera rosyjskiego ogłoszona u Mielżyńskiego: *„Bemerkungen zu den Werken des Hrn O. Spazier: Dembiński's Feldzug und Geschichte des Aufstandes* etc." Strasburg 1837, s. 59.

sko sto mil, spotkał się trzy razy z nieprzyjacielem i za każdą razą go pobił; zdobył trzy działa, chorągiew, 2000 karabinów, wziął w niewolę 2000 żołnierzy i 20 oficerów, to jest trzy razy więcej niż miał ludzi pod sobą. Powodzenie było świetne. Ułatwiała mu je, to prawda, wielka życzliwość mieszkańców, którzy mu o każdem poruszeniu nieprzyjaciela skwapliwie donosili i wszystkie potrzeby jego ochoczo zaopatrywali, podczas gdy Rosyanie w tym samym czasie, musieli z Prus sprowadzać chleb dla swego wojska. Niemniej jednak, coraz bardziej stawało się widoczne, że powstanie już stłumione, ludność zastraszona okrutną represyą, wiele bowiem wsi, gdzie się znaleźli powstańcy, Rosyanie puścili z dymem, a w Oszmianie kobiety i dzieci wyrżnęli. Dźwignienia się większych mass chyba w takim wypadku możnaby się było spodziewać, gdyby kraj przez czas dłuższy silnym korpusem mógł być zasłonięty. Jeżeli hufiec Chłapowskiego nie został dotąd otoczony lub rozproszony, należało to przypisać niepospolitej czujności wodza i niezwykłej szybkości, z jaką swe marsze odbywał; Rosyanie słysząc o nim to tu, to owdzie, nie wiedzieli gdzie go ścigać. Wprawdzie, po złączeniu się z Ogińskim i z Matuszewicem, korpusik podniósł się do 3000, ale większą połowę składała w nim teraz niewyćwiczona piechota. Z takim oddziałem nie było już podobna równie szybko jak dotąd maszerować, ale i stać na miejscu nie było bezpiecznie, tem bardziej też narażać się na spotkanie ze znaczniejszą siłą. Nastręczało się tedy pytanie, co dalej?

„Wiedziałem, pisze Chłapowski, że znaczne siły rosyjskie nadchodziły z okolic Witebska pod Tołstojem, że podobneż zbierał Pahlen w Inflanciech. Wiedziałem także, że tak zwana gwardya litewska pod Kurutą szła od Merecza i że wszystkie te korpusy staną w pobliżu siebie, mniej-więcej za dziesięć dni. Zrobiłem przeto projekt ściągnąć co jeszcze zostało powstańców na Żmudzi, sformować z nich osobne oddziały, każdemu dodać instruktorów i trochę jazdy i rozlokować je w różnych stronach kraju, aby nieprzyjaciela zarywały; sam zaś, wziąwszy z sobą uformowaną jazdę, chciałem obejść Wilno, dostać się do Mozyra i do Mińska, i sto-

sownie do okoliczności i do stanowisk nieprzyjaciela, z jednej lub z drugiej strony Prypeci, zbliżyć się do Bugu.“ Jednem słowem, chciał on odżywić powstanie, wzmocnić je i utrwalić w całym kraju aż do chwili, w którejby armia zwycięska z nad Bugu przeniosła się na Litwę. W tej myśli posunął się naprzód i stanął 8 czerwca pod Zożlami, kiedy go doszedł rozkaz Giełguda, aby natychmiast przybywał do Kiejdan. Ten rozkaz zmienił całą postać rzeczy; musimy przenieść się do głównej kwatery nowego dowódzcy na Litwie.

---

§ 13.

Giełgud. Atak na Wilno.

Będąc jeszcze w Oranach, dowiedział się Chłapowski od obywatela, który z Augustowskiego wracał do siebie, że wojsko polskie maszeruje z Łomży do Kowna. „Na zapytanie moje, ile tego wojska i kto niem dowodzi, nie umiał mi odpowiedzieć. Uprosiłem go, aby natychmiast tą samą drogą pojechał najspieszniej, przeprzęgając konie u obywateli. Podjął się chętnie, rozumiejąc, jak wiele nam zależy na tem skomunikowaniu się. Myślałem, że to była owa dywizya, o której mi mówił Prądzyński na pożegnaniu. Napisałem do jenerała dowodzącego, nie wiedząc kto nim był, że w Wilnie stoi tylko 3000 piechoty i że tam jest złożonych 60,000 karabinów i 80 dział, które tam Moskale odprowadzili, bo im konie padły; że za mną idzie Kuruta z dywizyą gwardyjską w 7000 ludzi, a Tołstoj od Dynaburga, obaj na obronę Wilna; ale że jeżeli jenerał z szosy kowieńskiej zwróci się w prawo, przeprawi się przez Niemen i w prostym kierunku maszerować będzie na Wilno, dokąd i ja jako przednia straż się zwrócę, to jeszcze na czas ich ubiegniemy i Wilno weźmiemy. Obywatel ów, którego nazwiska nie wymieniam, bo może mieszka dotąd na Litwie, prędko i gorliwie się sprawił i przywiózł mi odpowiedź od jenerała. Był nim Dębiński; odpisał mi, że nie on dowodzi ale Giełgud; że plan mój pochwala, ale go wykonać nie może, bo ma rozkaz od

Giełguda, który ruszył do Giełgudyszek, aby tam również podążył.“ Zkądże się wziął ten nowy komendant na Litwie?

Giełgud, byłto żołnierz w boju odważny, Polak szczerze do Ojczyzny przywiązany, w pożyciu towarzyskiem bardzo miły, o wojskowości umiejący rozprawiać obszernie i wymownie, ale do komendy najzupełniej niezdolny, na nic zdecydować się nie umiał, zdanie drugiego z łatwością przyjmował i jeszcze łatwiej je porzucał, nic w tem złego nie widząc. Niezmiernie próżny, o zewnętrzne atrybucye władzy wielce dbający, wygodniś i ociężały, w ruchach swoich bardzo powolny, wszystko bez końca odkładał. W wyprawie na gwardye, swoją opieszałością Sackena z rąk wypuścił, czem tak Dembińskiego oburzył, że tenże do kwatery wodza naczelnego przyjechał, prosząc na żywy Bóg, aby go wyjęto z pod tak niezdarnej komendy. Skrzynecki miał do Giełguda słabość, Prądzyński również go oszczędzał; i tak kiedy dywizya jego odciętą została od głównej armii po bitwie ostrołęckiej, nietylko nie pozbawiono go komendy, pomimo tylu ciężkich błędów, ale i owszem, przeznaczono go na Litwę, a Dembińskiego uproszono, aby dla miłości Ojczyzny z nim się pogodził i nadal pod jego rozkazami służył.

Chłapowski, otrzymawszy odpowiedź od Dembińskiego, napisał do Giełguda, że skoro dopełni rozkazów naczelnego wodza, by powstańców w Trockiem zaopatrzyć w instruktorów, odda się pod jego rozkazy; że jednak już teraz radzi, aby jenerał ze wszystkiemi siłami ruszył bezzwłocznie na Wilno, którego nieprzyjaciel w tej chwili obronić nie może. Na tento list, jak wyżej wspomnieliśmy, odebrał rozkaz od Giełguda, aby zostawiwszy swój oddział na północ Wilii, pod Znajmami, natychmiast do Kejdan przybywał dla obmyślenia dalszego planu działania. Chłapowski wziąwszy z sobą Mielżyńskiego, przybył do Kejdan 9 czerwca. Był tam i Dembiński; razem tedy we trzech odbyli naradę. Dembiński chciał na Żmudzi utworzyć siedlisko operacyj wojennych. Giełgud pokazał instrukcyą n. wodza, aby iść na Połągę, dokąd broń z Francyi przybyć miała. Chłapowski przedstawiał, że Połąga jest portem od piasku zasypanym, do któ-

rego większe statki w żaden sposób dopłynąć nie mogą, i że nadto, trzebaby osobliwszego trafu, aby korpus równo ze statkami znalazł się w Połądze; widocznie, instrukcya naczelnego wodza na fałszywej zasadzała się informacyi. Przedstawiał natomiast wielkie korzyści z zajęcia Wilna. Żałował, że czasu już trochę stracono, bo Sacken z Malinowskim w sile około 4000 muszą już być w bliskości tego miasta; ale że Kuruta z gwardyami ledwo za tydzień tam dojdzie, Tolstoj potrzebować będzie więcej niż 10 dni, a Savoini, który nadchodzi od Witebska, najmniej piętnastu. Że siły polskie, Giełguda i Dembińskiego do 10,000 wynoszą, Chłapowskiego z powstańcami 3000; złączywszy z niemi oddziały Matuszewica, Zaliwskiego, Staniewicza i innych żmudzkich powstańców, utworzyłoby to korpus 18,000; a że z Kejdan do Wilna jest cztery dni drogi, jeszczeby więc na czas stanęła tam armia atakująca. Że opanowanie Wilna tak pod wojennym jak politycznym względem, przedstawia korzyści niezmierne, powstanie zyskałoby wielki zapas broni i dział, a nadto pomoc rzemieślników dla zaopatrzenia armii we wszystkie potrzeby. Wrażenie moralne podniosłoby ducha w całym kraju, a w Europie naprawiłoby sowicie klęskę ostrołęcką. Najważniejszem zaś następstwem zdobycia Wilna, nastawał Chłapowski, byłoby zajęcie środkowego punktu między wszystkiemi korpusami rosyjskiemi dążącemi do niego. Należałoby nasamprzód utworzyć z ludności wileńskiej kilkutysięczny oddział, któryby w danym razie ubezpieczył na krótką chwilę obronę miasta, a mając tę podporę, możnaby armią naszę liczącą 18,000, to w jednę, to w drugą przerzucać stronę, w miarę jak się korpusy nieprzyjacielskie przybliżać będą i jeden po drugim, starać się je rozbić; to zaś rozbicie byłoby bardzo prawdopodobne, skoroby się miało za każdą razą przeważającą siłę. Wszystkoby tu zależało od pośpiechu i energii dowódzcy. Korpusy rosyjskie tem łatwiej mogłyby być zgniecione, że połączyć się i na pomoc sobie iść, przez Wilią, nie byłyby w możności. Pierwszy padłby ofiarą Kuruta, bo był z tej strony Wilii i ujśćby nie mógł; a Tołstoj, jeżeliby nie chciał doznać podobnego losu, mu-

siałby spiesznie cofać się, zkąd przyszedł, to jest do Dynaburga; zaczem armia polska miałaby wszelki czas wzmocnić się, organizować i całą oczyścić Litwę. Jeżeliby zaś dla jej powstrzymania, Rosyanie chcieli część swoich sił z armii Dybicza oddzielić, to już tem samem, na głównym placu boju, to jest w Królestwie, rezultat ogromny byłby otrzymany.

Plan obmyślany był głęboko. Czuć w nim oficera, który się pod bokiem Napoleona wielkiej wojny wyuczył. „Przeciwnie, dodawał wkońcu Chłapowski, jeżeli Wilna nie weźmiemy, klęska niechybna nas czeka.“ — Wobec tych racyj, zamilkł Dembiński, a Giełgud zgodził się na nie. Wprawdzie, dla dopełnienia instrukcyj naczelnego wodza, posłano już Szymanowskiego z 2000 ludźmi ku Połądze, i tego Chłapowski mocno żałował; ale jednak, to co zostawało, dostatecznem było, aby na Wilno z pomyślnym skutkiem uderzyć. Giełgud dał rozkaz Chłapowskiemu iść do Wilna lewym, Dembińskiemu prawym brzegiem Wilii, a sam przyrzekł, że o jeden dzień później za nimi z resztą korpusu wyruszy.

Narada trwała godzinę. Giełgud opuszczając, jak przyrzekał, Kejdany, 10 czerwca, mógł być 13go pod Wilnem, był więc czas uprzedzić nieprzyjaciela. Chłapowski odjechał natychmiast do swego oddziału w Zejmach i tego samego wieczoru puścił się z nim do Janowa. Tu, 10 czerwca, ludzi swoich na promach przez Wilią przeprawił i na rzece Świętej postawił most dla Dembińskiego, który traktem wilkomirskim ku Wilnu miał zmierzać. Dnia 12 czerwca nad ranem był w Czabiszkach, gdzie do niego przyjechał Dembiński. Opowiedział mu, że zaraz po odjeździe Chłapowskiego, Giełgud zachwiał się w swem postanowieniu. „A co będzie, zapytał, jeśli nieprzyjaciel nie cofnie się z Wilna przed nami?“ „Wprawdzie nie byłem za marszem na Wilno, odrzekł Dembiński, ale skoro rzecz zdecydowana, trzeba będzie uderzyć.“ Narzekał tedy na jego niezdolność, mówiąc, że z takiej komendy najgorszych klęsk spodziewać się trzeba, i zaproponował Chłapowskiemu, aby Giełguda zrucił, a sam się ogło-

sił naczelnym dowódzcą na Litwie [1]). Zdumiał się Chłapowski, słysząc te słowa. Że one z ust Dembińskiego wyszły, to można zrozumieć. Rzutki, przedsiębiorczy, partyzantem był wybornym, ale służby regularnej nie znał; niespokojny z natury, nie był wcale skorym do posłuszeństwa, wszystko robił po swojemu. Ale Chłapowski w szkole napoleońskiej wychowany, od dzieciństwa do karności nawykły, porządku i posłuszeństwa u swych podwładnych nadewszystko przestrzegający, ani przypuszczał, by krok taki mógł się pogodzić z honorem i obowiązkiem żołnierza. Giełguda w owej chwili jeszcze nie znał, a zresztą, jakimkolwiek był ten wódz, zrucenie jego, w chwili rozpoczętej przeciw nieprzyjacielowi akcyi, byłoby plamą dla wojska polskiego i cięższą dla sprawy klęską, niż wszelka inna, jakaby zdarzyć się mogła. — Jeśli, jak mówi Pismo, posłuszeństwo lepsze jest od ofiary, to w naszym narodzie, który upadł niekarnością swych obywateli, ta cnota jest najwyższym patryotyzmem. „Nie masz dla Polski przyszłości, powiedział pod koniec swego życia Mochnacki, dopóki Polacy swego patryotyzmu nie przetłómaczą na posłuszeństwo." — Chłapowski sucho odprawił Dembińskiego. Jakikolwiek był tego ostatniego zamiar: czy w istocie chciał on poddać się komendzie młodszego jenerała, czy też, co prawdopodobniejsza, spodziewał się, że ten uzna jego starszeństwo i nawzajem mu swoję pomoc i uległość przyrzecze, — to pewna, że odmową Chłapowskiego czuł się on głęboko dotknięty i powziął do niego niechęć, której potem aż nadto głośny dał wyraz [2]).

---

[1]) Opowiadamy tę rozmowę, jak ją podaje Dembiński, choć o niej ani Mielżyński, ani Chłapowski w swoich pamiętnikach nie wspominają.

[2]) Ciekawą wzmiankę z owego czasu znajdujemy w pamiętniku hr. Kaz. Krasickiego. „Jenerał Chłapowski przywołał mnie do siebie; z kwaśną miną powiedział mi, że źle. Dlaczego, zapytałem; jest nas przecie więcej, to łatwiej pójdzie z Wilnem. „Ba, żebyto zgoda była, lecz z tymi dwoma trudno dojść do końca. Jeden jak wahadło, nie wie czego chce; a drugi zdaje się mieć w zanadrzu myśl opanowania dowództwa, bo chociaż w randze starszy, mnie to pro-

Chłapowski nie bawiąc ruszył dalej, dnia 13 czerwca stanął obozem w Rykontach i natychmiast pchnął przednią straż, traktem kowieńskim do Waki, by opanować most nad rzeczką tegoż imienia; oddział polski, spędziwszy forpoczty rosyjskie, silnie się przed mostem usadowił. Ztąd było już tylko niecałe dwie mile do Wilna. Nagłe zjawienie się wojska polskiego przeraziło Rosyan; byli pewni, że cały korpus Giełguda już nadciągnął; nie przypuszczali, aby słaby hufiec śmiał tak daleko posunąć się. „Zaczęto zatem, mówi cytowana powyżej relacya rosyjska, przygotowywać się do opuszczenia miasta i do zniszczenia składów broni i amunicyi, przewidując, że nazajutrz powstańcy uderzą.“ Ale gdy dzień 14 czerwca upłynął spokojnie, Rosyanie ochłonąwszy z przestrachu, postanowili odebrać most na Wace; uderzyli nazajutrz równo ze świtem, napróżno; ponowili atak dnia następnego, ale również bezskutecznie. Dali więc pokój atakom, a wszystkich sił użyli na sypanie okopów na Ponarach, które gęsto artyleryą obsadzili.

Chłapowski wiedział o wszystkiem, co się działo w Wilnie. Codzień i kilka razy na dzień, przedzierali się do niego z największem niebezpieczeństwem emisaryusze, donosząc o przygotowaniach nieprzyjacielskich do obrony i przyrzekali, że w razie, gdyby gubernator, opuszczając stolicę, chciał poniszczyć broń i prochy, znajdzie się kilkuset ludzi, by temu przeszkodzić. Wszystkie te wiadomości posyłał każdego dnia Giełgudowi, błagając, zaklinając o pośpiech. Byłato już ostatnia chwila do opanowania stolicy. Na takiem czekaniu upłynęło sześć dni! Co się działo w duszy Chłapowskiego, łatwo zrozumieć. W ciągu tych dni prawie wcale nie spał, wyjeżdżał za obóz, patrzał czy korpus nie nadchodzi i chociaż położył się do snu, zdawało mu się, że słyszy tentent koni i turkot wozów; zrywał się, znowu wyjeżdżał naprzeciw, —

---

ponował. Lecz moja wojskowa dusza nie dopuściłaby się takiego śmiertelnego grzechu przeciw subordynacyi.“ *Zbiór pamiętników do historyi powstania polskiego 1830 i 1831*, wyd. Rajskiego. Lwów, 1882, s. 425.

ale Giełgud nie przychodził! Chłapowski przez te sześć dni posiwiał!... Jednego dnia wysłał do Giełguda Marcinkowskiego, który równie był znakomitym lekarzem, jak dzielnym oficerem; i ten wróciwszy, opowiedział mu, że w głównym korpusie panuje między oficerami wielkie przeciw Giełgudowi rozdrażnienie, że go mają za niedołęgę, że chcą zrucić go i wybrać wodzem Chłapowskiego, i że już z tem wybiera się do Rykont deputacya oficerów. Chłapowski odpowiedział surowo, że się na to nigdy nie zgodzi, że jeżeli ci oficerowie stawią się przed nim, każe ich aresztować i oddać pod sąd. — Czy dobrze zrobił, dając tak twardą odpowiedź? Oto, jak sam się tłómaczy. „Ani na chwilę nie przypuszczałem, bym mógł odebrać komendę mojemu starszemu; było to tak sprzeczne z mojemi pojęciami, że ani wówczas ani później, ta myśl nie przyszła mi do głowy. Bo i po wojnie, kiedym rozważał wszystkie okoliczności, których poprzednio nie znałem, że Giełgud nie był przeznaczony pierwiastkowo na Litwę, że dopiero, gdy był odcięty, kazano mu maszerować, i kiedym się przekonał o jego zupełnej nieudolności, postawiłem sobie pytanie: czy nie należało wówczas jemu odebrać, a wziąć samemu dowództwo. Musiałem sobie stawić to pytanie, skoro wielu mi je zadawało. Ale i wtedy, byłem w mojem sumieniu zupełnie zaspokojony; nie było podobnem to objęcie komendy. Tylko w tym wypadku mogło ono się udać, gdyby całe wojsko było razem zebrane i gdyby zruciwszy jednego, w tej samej chwili okrzyknęli drugiego dowódzcę; jedyny to sposób, iżby do zamięszania nie przyszło. Ale korpusy nasze były rozdzielone: Szymanowski w Szawlach, Dembiński w Wilkomierzu, jeden garnizon w Kownie [1]). Oficerowie tych oddziałów ze służby regularnej byliby się oburzyli na taki czyn niesubordynacyi, któryby wykonanym być nie mógł, a stałby się przyczyną większego jeszcze nieładu i w dodatku zostawiłby pamiątkę przykrą naszej wojskowości.“ — To mówi w swych pamiętnikach Chłapowski, a skoro tak sądził

---

[1]) Dodajmy, że przy Giełgudzie był Roland, jenerał starszy od Chłapowskiego.

po wojnie, tem bardziej podczas kampanii nie mógł przyjmować tej propozycyi; jedynie, na usilne żądanie Marcinkowskiego przyzwolił, aby wspomnieni z korpusu Giełguda oficerowie wybrali z pomiędzy siebie jednego, któryby w ich imieniu pojechał do Warszawy i zdał raport rządowi i naczelnemu wodzowi o tem, co się na Litwie dzieje. I tak też zrobiono; posłano dokładny raport do Warszawy, posłyszymy później jego echo; tymczasem obaczmy, co było powodem owej nieszczęsnej zwłoki Giełguda.

Przybył on do Janowa; za nim podążyło wielu obywateli. Ci nadjechawszy z okolic przez wojska rosyjskie nie zajętych, upewniali, że Moskali nigdzie niema, że zatem niema potrzeby tak bardzo się spieszyć. Uwierzył im Giełgud; a że właśnie nadchodziła rocznica jego urodzin, wyprawiono suty traktament i przy huku moździerzy i przy fajerwerkach spełniano toasty na cześć „zbawcy Litwy i oswobodziciela milionów.“ Zaczem jenerał wziął się do utworzenia rządu centralnego dla Litwy. Poco ten rząd, którego władza nie sięgała po za ostatnie polskie placówki, trudno zrozumieć; to gorsza, że wybór osób, złożenie biór i dykasteryów i nieuniknione ztąd festyny, zabrały pięć dni. Bawiono się i urzędowano z lekkomyślnością godną saskich czasów. W ciągu tych pięciu dni można było stać się panem Wilna, a tam dopiero byłoby właściwsze miejsce na zamianowanie rządu. Powstanie byłoby w ten sposób zyskało dwa mocne ogniska, w Warszawie i w Wilnie, a jeśli Rosyanie mieli tyle trudności, by jedno z nich zagasić, o ileżby więcej przybyło im z drugiem! Losy, jeśli nie narodu, to przynajmniej losy tej kampanii, zależały od zużytkowania owych drogich chwil, które tak bezmyślnie marnowano. Nareszcie d. 18 czerwca oficerowie dywizyi Giełguda, oburzeni jego postępowaniem, zebrali się w liczbie przeszło 300 i udawszy się do kwatery Giełguda, wyrzucali mu jego niezdatność i nieczynność, i domagali się, aby złożył komendę i oddał ją Chłapowskiemu. To go otrzeźwiło; kazał przejść przez Wilią i 19 czerwca stanął w Rykontach.

Już było zapóźno. Rosyanie, jak mówiliśmy, od 14 czerwca wyglądali z trwogą uderzenia. „Jakżeśmy się dzi-

wili, mówi cytowany oficer rosyjski, że ani 17 ani 18 z żadnej strony nie byliśmy przez powstańców zaatakowani. Teraz Wilno było ocalone. Przez te dnie zajmowano się ciągle wzmocnieniem pozycyi na Ponarach, obsadzono wzgórza działami, któreśmy naprędce opatrzyli zaprzęgami. Również i dywizya gwardyi (Kuruty) przyszła na czas, a pierwsza dywizya rezerwy (Tołstoja) zbliżyła się jednocześnie od strony północnej. Gdyśmy więc 19 czerwca zostali zaatakowani, byliśmy pewni sił naszych. Nie ulega jednak wątpliwości, że trzema dniami przedtem nie byliśmy w stanie ich utrzymać. Wilno byłoby natychmiast przez powstańców wzięte wraz ze znacznemi materyałami wojennemi, a my od dywizyi gwardyi odcięci. Jeśli więc kiedykolwiek powstańcy mieli sposobność zyskania przewagi na Litwie, to tylko wtenczas; gdyż nie da się zaprzeczyć, że wzięcie Wilna wywarłoby ogromny wpływ moralny, a następstwa ztąd byłyby nie do obliczenia.“

Posłuchajmyż rozmowy, jaka się odbyła 19 czerwca w Rykontach. „Giełgud przybywszy (pisze Chłapowski), wszedł ze mną do karczmy, w której miałem kwaterę; wszedł z nim tylko Potulicki, podszef sztabu. Jakeśmy weszli do izby, uważałem sobie za obowiązek opowiedzieć mu stan rzeczy. Temu dni dziesięć, było w Wilnie tylko 3000 piechoty, dziś pewnie będzie około 15,000, pozycya doskonale okopana, uzbrojona 60 działami; czy jenerał dasz rozkaz do ataku? — Na to Giełgud: „Nastawałeś na mnie jenerale, ażebym przyszedł atakować Wilno, a teraz, kiedym przyszedł, chcesz mnie zastraszyć. Chcesz zapewne mnie zgubić w opinii wojska, ażeby ci oddało komendę. Już mnie o tem przestrzeżono; nie będzie nic z tego!“ — „Jenerale, odparł Chłapowski, nigdy nie myślałem odbierać ci dowództwa; nigdybym od podwładnych nie był go przyjął. Cokolwiek się stało, przysięgam ci posłuszeństwo i będę cię słuchał jak prosty żołnierz.“

Dano więc rozkaz do ataku. Giełgud, który się łudził jeszcze możnością zwycięstwa, nie chciał, aby ztąd chwała spłynęła na Chłapowskiego i trzymał go umyślnie w odda-

leniu. Sam stał, to prawda, w najtęższym ogniu, ale komenderował najgorzej. Jedna część piechoty po dwakroć odparta, straciła 1,500 ludzi; druga, która miała ją wesprzeć z boku, pod dowództwem nieudolnego Rolanda, zgubiła się wśród zakrętów Wilii, nie doszła na czas, jeden batalion dostał się do niewoli, wiele dział zdemontowanych. O 2giej z południa Giełgud zrozumiał, że miasta nie weźmie i nadjechawszy do Chłapowskiego, rzekł: „Dałem rozkaz do odwrotu; jenerał z ułanami, z jazdą kaliską i bateryą Czetwertyńskiego zasłonisz nasze cofanie." — By to wykonać, Chłapowski upatrzył naprzeciw okopom ścieśnioną między laskami pozycyą, tak że go jazda nieprzyjacielska dużo liczniejsza, oskrzydlić nie mogła i czekał. „Wyszło z pół godziny, mówi on, zanim ułani moskiewscy, jeden szwadron po drugim, wychodzić zaczęli. Stałem spokojnie w kolumnie szwadronowej; pierwszy posunięty o 300 kroków przed drugimi, tak że był zupełnie na środku pola. Skoro pierwsze dwa szwadrony moskiewskie się ukazały i zaczęły formować, kazałem Hemplowi z pierwszym szwadronem na nie uderzyć. Hempel tak dobrze to wykonał, że oba rozbił. Dwa ich nowe puściły się na boki Hempla, ale i moje dwa także, 2gi i 3ci, już na jego bokach były i tamte powstrzymały. Tymczasem, drugi ich pułk hułanów z tyłu się formował, przypuścił szarżę na moje trzy szwadrony, ale z tak daleka, iż widziałem że się rozlatują; dopiero jak niektórzy byli o sto kroków, zakomenderowałem: marsz, marsz; Moskale krugom wtył i w nogi. — Dopiero trzeci ich pułk orenburski przypuścił dobrą szarżę i zbliska. Nie czekałem na nich, ale gdy się już zbliżali, zakomenderowałem ze stępa: marsz, marsz. Orenburczyki tym razem dotrzymali, pomięszaliśmy się jak groch z kapustą. Na polu piaszczystem, po suchej pogodzie, wzniosła się kurzawa, tak że trudno się było poznać o trzy kroki. Mięszanina z Orenburczykami trwała około pół godziny; harc lanca na lance, a między tem, strzały z pistoletów, które słabo było słychać w hałasie. Nareszcie zręczność naszych, krótsze i dobrze okute lance wzięły górę; spadło tyle Orenburczyków, że drudzy uciekli. Podczas zmięszania z nami, Moskale rozwinęli

bateryą; ich ułani uciekając na nią wpadli, a nasi tuż za nimi, pomiędzy działa i kłuli kanonierów. Za bateryą wyszła i piechota moskiewska z okopów i dała ognia do swoich uciekających i do naszych. Zabili nam tutaj 18 i kilkudziesięciu ranili. Wtedy z pomiędzy dział nieprzyjacielskich nasi cofać się zaczęli, uprowadzając i zasłaniając rannych. Już dawno byłem kazał zatrąbić, ale jak zwykle, zanadto się zapędzili i wyszło z 10 minut, nim się zebrali. Zgromadziwszy wszystko i odesławszy 43 rannych, cofnąłem się na moje dawne stanowisko, z którego trzy razy nam się poszczęściło, ale ujrzałem, że i działa i piechota już się za okopy cofnęły i już żadnego ułana widać nie było, tylko kozaki wychylały się pojedynczo.“ — Wysunąwszy naprzód jazdę kaliską, kazał teraz ułanom zsiąść z koni i czekał tak do 8mej wieczorem, czy też nieprzyjaciel nie zechce raz jeszcze próbować szczęścia. Ale dzielność ułanów zaimponowała Rosyanom i odebrała im chęć ścigania przeciwnika. — Oto jak te harce dopiero co opowiedziane, przedstawia ze swej strony znajomy nam oficer rosyjski. „Spostrzegłszy, mówi on, wszczynający się nieporządek w szeregach powstańców, puściliśmy naszę kawaleryą. Konnica ich jednak tak wyborne i zręczne szarże wykonywać umiała, że każdej chwili, kiedy ich przednią linią myśleliśmy otoczyć, świeże lub nowo zebrane szwadrony potrafiły ją uwolnić. Trzeba oddać sprawiedliwość męstwu ich konnicy i talentowi tego, co chwile tak stanowcze umiał wybierać. Kilku jeńców, którzy dostali się w nasze ręce, mówiło nam, że to jen. Chłapowski szarże te prowadził. Im winna piechota swoje ocalenie, gdyż przez nie miała czas skupić się i cofnąć.“ — Nieprzyjaciel w zupełności więc, jak widzimy, potwierdza opowiadanie jenerała, a nadto wykazuje jego zasługę, o której on sam w swym opisie zamilcza.

§ 14.

Odwrót na Żmudź. Wejście do Prus.

O północy, doszedł Chłapowskiego rozkaz, aby maszerował do Jewia, gdzie nań Giełgud czeka. Noc była piękna; mógł więc jadąc rozmyślać nad tem, co zaszło. Byłto najboleśniejszy dzień, jaki dotąd przeżył. Widzieć się tak blisko wielkiej zdobyczy, robić wszystko z swej strony, aby ją osiągnąć, a potem patrzeć na zmarnowanie wszystkiego, byłto cios nad jego siły! On, który się nigdy nad sobą nie użalał, mówił później: „Zdawało mi się, że mi coś w głowie pękło; pamięć odtąd straciłem." Jednakże męskim i jasnym umysłem patrzał przed siebie, i kiedy Giełgud go zapytał co dalej czynić, Chłapowski żadnych nie robiąc mu wymówek, tak odpowiedział: „Wszystkie siły ściągnąć do Alexoty, pod Kownem, tam okopać się i postawić kilka mostów na Niemnie. Będzie do tego dość czasu, zanim nieprzyjaciel nadciągnie; i gdy zechce nas obejść, jednej nocy wyjść z obozu, w różne strony. Rozdzielimy się na sześć oddziałów: dwa na Żmudź, dwa w okolice Wilna, ostatnie dwa ku Witebskowi i w Mińskie. Nim Moskale zdecydują się co robić, my tymczasem rozlejemy się po całej Litwie i Żmudzi. Jak przed dwoma tygodniami, kiedy nieprzyjaciel był rozdzielony, należało nam skupić się i bić jego pojedyncze korpusy, tak teraz, kiedy on je ściągnął, my się rozproszyć musimy. Jeżeli zechcemy być razem i pójdziemy na Żmudź i do Połągi, nie

unikniemy katastrofy; przeciwnie, rozsypując się, dotrzemy wszędzie, wszędzie ożywimy powstanie, i rozpoczniemy wojnę bardzo trudną dla Moskali, dla nas najłatwiejszą, bo u siebie. Kraj przerżnięty lasami, wzgórzami, jeziorami, do takiej wojny najsposobniejszy. Marsze wśród ludności nam oddanej będą dla nas łatwe; każdy mieszkaniec nam służy, nas ostrzega, nam dostarcza wszystkiego, nieprzyjaciela durzy jak może. Nawet Żydzi będą nam nieraz pomocni [1]). — Plan ten, powtórzony na piśmie, zrazu zdawał się podobać Giełgudowi, ale gdy go udzielił powstańcom, ci się przerazili. Niejednemu nie chciało się opuszczać własnych okolic, inny bał się służby regularnej w pułku; wszyscy mówili, że przejście Niemna wyda się jako znak odwrotu i że duch w kraju upadnie. Giełgud uległ ich zdaniu i kazał Chłapowskiemu maszerować do Kowna, gdzie mu wskaże co robić ma [2]).

Nie mamy serca opowiadać szczegółowo dalszych dziejów tej wyprawy; rzecz to i dla słuchaczów i dla mówiącego zbyt bolesna, a dla wierności obrazu mniej potrzebna. Sił z polskiej strony było jeszcze dosyć i nie brakowało ochoty do boju, ale wszyscy czuli, że Giełgud nie dorósł do swego zadania, stracili ufność do niego. Spostrzegł to Giełgud i zamianował Chłapowskiego szefem sztabu (25 czerwca). Za-

---

[1]) Chłapowski w ciągu tej wojny doświadczył kilka razy niemałej przychylności ze strony Żydów. Wysyłając pewnego razu Żyda, przez obóz rosyjski, z bilecikiem do obozu powstańczego, obiecał mu 10 dukatów, skoro przyniesie odpowiedź. Wrócił i przyniósł, i gdy adjutant liczył dukaty, Żyd przyjąć ich nie chciał. „I ja też, rzecze, chcę służyć jak mogę. Za to com zrobił, pieniądzmi się nie płaci, bo dusza była na ramieniu.“

[2]) O tym planie Chłapowskiego tak się wyraża w swoich pamiętnikach (dotąd niedrukowanych) jenerał Kołaczkowski: „Tym jednym środkiem dałoby się przedłużyć wojnę (na Litwie) i dywersyą sprawić potężną na korzyść naszej głównej armii, zatrudniając na Litwie przeszło 40,000 wojsk, spodziewanych przez jenerałów rosyjskich w Królestwie. Lecz Giełgud nie chcąc dowództwa z rąk wypuszczać i zniżyć się do roli partyzanta, projekt ten jedynie zbawienny odrzucił.“

rzucają temu ostatniemu, że obowiązków szefa sztabu podjął się niechętnie, że zamiast prowadzić Giełguda, a przez niego całą armią, trzymał się raczej biernie i że zwątpiwszy o sprawie, pilnował ściśle wykonania rozkazów. Chłapowski był surowym żołnierzem. Wiadomo, jak porządku i posłuszeństwa przestrzegał. Kierować swoim kierownikiem, mieć go za nic, a jego powagą się zasłaniać, to ani do pojęć jego, ani do nawyknień nie przystawało. Trudno wymagać od człowieka, co nie leży w jego charakterze; dodajmy, że z Giełgudem, i to nawet na nicby się nie przydało. Już z tego cośmy dotąd powiedzieli, każdy mógł poznać, że, niezdolny coś ważniejszego sam przez się przedsięwziąć, Giełgud przystępny był każdej radzie, takim zaś szczególniej, które jego próżności schlebiały; do Chłapowskiego zaś miał wyraźną niechęć, właśnie dlatego, że go wszyscy wyżej stawiali. Bywało, i nieraz, że decyzya powzięta, rozkazy popisane, expedyowane i Chłapowski dla ich wykonania odjeżdżał, a potem, gdy powrócił, usłyszał, że wszystko zmienione; dlaczego, „bo tak wielu radziło“ albo „że się komuś rozkaz nie podobał.“ Z takim wodzem cóż poradzi i najlepszy szef sztabu; wina spada na tych, co człowieka bez głowy dowódzcą wyprawy zrobili!

Skoro wojsko odstąpiło od Wilna, Rosyanie puścili się za niem trzema oddziałami, zapędzając je, jak Chłapowski przewidział, w kąt ciasny i ściskając je żelazną obręczą. Zdarzały się wszakże okazye, w których można było, zebrawszy raźnie siły, wpaść na jeden z nieprzyjacielskich oddziałów, zgnieść go i wydobyć się z zamknięcia. Tak, kiedy rozbiwszy pułkow. Kiekiernickiego, Rosyanie posuwali się jednym korpusem od Kowna, Chłapowski podał plan, aby ściągnąwszy wszystkie siły, nim nieprzyjaciel się skupi, uderzyć na ten korpus, który tworzył lewe jego skrzydło. Giełgud się zgodził i szybkim zwrotem ruszył ku Kejdanom, a Dembińskiemu posłał rozkaz, iżby się z nim na lewem skrzydle połączył w marszu na Kowno. Dembiński odpisał, że ma zamiar maszerować do Kurlandyi, że zatem połączyć się nie może i w istocie cofnął się do Poniewieża; zatem i Gieł-

gud wobec silniejszego nieprzyjaciela cofać się musiał. — Podobny fakt zaszedł kilka dni później w Cytowianach. Proponował Chłapowski, aby się zwrócić i uderzyć na awangardę rosyjską, daleko od swoich głównych sił wysuniętą. Giełgud plan przyjął, kazał Chłapowskiemu zająć się jego wykonaniem, i gdy tenże w tym celu do tylnej straży odjechał, przybył do Giełguda Szymanowski i namówił go do atakowania Szawel. Napróżno Chłapowski przestrzegał, że „dziś jest ostatni dzień, w którym możemy wydobyć się z zamknięcia; że jeżeli dalej ku północy posuwać się będziemy, czeka nas haniebna niewola u Moskali lub Prusaków.“ Pomaszerowano na Szawle. Atak był źle pomyślany, wykonany jeszcze gorzej, a choć Chłapowski nie miał w nim żadnej komendy, robił co mógł, aby się powiódł. Szedł do szturmu z pojedynczemi batalionami, dwa razy do środka miasta dotarł; niepoparty ani przez Rolanda, ani przez Dembińskiego, którzy to mieli zlecone, cofnąć się musiał. Porażka była dotkliwa, nieprzyjaciel dużo słabszy, pozostał panem miasta; nikogo z naszych nie pociągnięto za to do odpowiedzialności.

Pojąć łatwo, jaką mękę w takiej służbie Chłapowski wycierpieć musiał, patrząc na nieład i rozprzężenie rosnące w wojsku, na zaniedbania i nieposłuszeństwa uchodzące bez kary. Byli tacy, co mu radzili odłączyć się od Giełguda i na swoję działać rękę, i w tym wypadku przyrzekali mu swą pomoc i poddanie się bez granic. Chłapowski nie sądził, aby mu godziło się taki przykład z siebie dawać; więc trwał w tej służbie nieszczęsnej; ze zgryzoty, z udręczenia więdniał, tracił siły, wpadł w chorobę, ale z konia nie zsiadł, spieszył w ogień, zazdrościł tym, których kule nieprzyjacielskie trafiały, a zresztą szedł za swym niezdarnym wodzem, dzieląc wspólny wszystkim los! — Powiedzą mi: „Więc czemuż nie podał się do dymisyi ze szefostwa sztabu, aby przynajmniej zrucić z siebie odpowiedzialność?“ O, zapewne, podać się do dymisyi, to rzecz najłatwiejsza, to każdy potrafi; lecz to tylko dowodzi, że się więcej kocha siebie czy swoje imię, niż sprawę, której się służy! Ale trwać na sta-

nowisku, choćby bez zaszczytu, choćby z rozdartą duszą, to rzecz bardzo trudna, bardzo wysoka, arcychrześcijańska! *Non omnis capit hoc verbum;* nie każdy zrozumie to słowo...

Dnia 8 lipca, po owym niefortunnym na Szawle ataku, Giełgud kazał wszystkim oddziałom ściągnąć do Kurszan i zwołał na dzień następny radę wojenną. Zebrało się jeszcze 12,000 wojska, ale w wielkim nieładzie; mnóstwo bagażów na wozach i powózkach zalegalo przestrzeń na dwie wiorsty kwadratowe. Czterech jenerałów i pięciu wyższych oficerów znajdowało się na radzie. Zaczęto od wzajemnych wymówek. Dembiński oskarżał Giełguda, że swą nieumiejętnością gubi sprawę; Giełgud zarzucał Dembińskiemu, że nie słucha rozkazów, że swem nieposłuszeństwem pozbawił armią wielu korzyści. Z jednej i z drugiej strony zarzuty były słuszne, ale nie na czasie. Rzekł Chłapowski, że należałoby zaprzestać tych obwiniań, a przystąpić do rzeczy. Dopiero teraz wzięto pod uwagę plan jego podany Giełgudowi po odstąpieniu od Wilna: rozdzielić wojsko na sześć oddziałów; atoli, gdy niewielu było takich, coby się chcieli podjąć dowództwa, zdecydowano podział na trzy korpusiki, którym Giełgud wyznaczył kierunek. Dembiński miał iść na północ, w stronę Kurlandyi; Roland z Giełgudem w stronę Połągi; Chłapowski do Jurborga, na południe. Każdemu pozostawiono te pułki, z któremi przyszedł na Litwę; Chłapowskiemu, wbrew jego woli, dodano tysiąc strzelców. Było umówione, że każdy z dowódzców ma działać niezawiśle, lecz w razie zetknięcia z Giełgudem, przejdzie pod jego komendę.

Giełgud z Rolandem i Szymanowskim, wyruszyli pierwsi, maszerując na Telsze. Chłapowski pozostał w Kurszanach do wieczora, aby swój hufiec uporządkować. Wielka radość objawiła się u jego podkomendnych, gdy się dowiedzieli, że znów będą sami, ze swoim wodzem na czele. Nazajutrz, 10 lipca, wyruszono drogą ku Łuknikom, a potem na lewo ku Worniom. Kierunek wytknięty temu oddziałowi był bardzo trudny: od zachodu granica pruska, od wschodu stał w Rosieniach korpus 20-tysięczny Tołstoja i okrążał polskie oddziały, aby im wyjścia nie dozwolić; od południa zaś Nie-

men przecinał drogę. Między granicą pruską a rosyjską armią nie pozostawało jak 7 lub 8 mil, i tymto wąskim przesmykiem Chłapowski umyślił przemknąć się na południe aż pod Niemen, potem wzdłuż tej rzeki, przejść Dubissę i Niewiarę i pod Janowem puścić się w Trockie, zkąd już na wszystkie strony wolne otwierało się pole. — Ale, by taki marsz odbyć niepostrzeżenie, trzeba żeby hufiec mógł posuwać się szybko i nie miał z sobą żadnych ciężarów. Zatrzymawszy się tedy w dogodnem miejscu, Chłapowski bacznem i surowem okiem przejrzał swą kolumnę. „Cokolwiek (mówi opis spółczesny) przybłąkało się tutaj mimo jego wiedzy, cokolwiek mogło mięszać porządek lub zawadzać w szybkich pochodach, musiało zniknąć natychmiast. Siekiera i ogień nie przepuszczały żadnemu furgonowi, żadnej powózce; ani luźny ani chory nie mógł tu znaleść miejsca. Zbrojny hufiec powinien stać się lotnym, bo miał życie dla Ojczyzny, honor unosić dla siebie; wszystkie inne względy ustąpiły na bok [1]).“ Niektórzy z oficerów piechoty patrzali z bólem na płonące ich bagaże, i te ich żale odezwały się później; ale jego dawni żołnierze nabierali otuchy, widząc, że wszystko do dawnych karbów powraca. Nieprzyjaciele Chłapowskiego zaręczają, że od Kurszan o niczem innem on nie myślał, tylko o wejściu do Prus. Gdyby tak było, pocóżby był palił te bagaże z wielkiem niezadowoleniem wielu oficerów; wszak mógł je wygodnie, przez nikogo niezaatakowany, wraz z wojskiem wprowadzić do Prus. — O milę na wschód od Łuknik, Chłapowski zboczył w pole, aby go z miasteczka nie dojrzano; tam kazał spocząć i wysłał dwóch emisaryuszów do Rosień, by się dowiedzieć o poruszeniach nieprzyjaciela. W nocy puszczono się dalej i uszedłszy pięć mil, zatrzymano się nad ranem, 11 lipca, między Worniami a Krożami. Chłapowski z kilkoma oficerami jedzie do sąsiedniej wioski, ztamtąd wysyła żywność dla wojska, a sam z dwoma oficerami, Marcinkowskim i Szmitkowskim, puszcza się dalej, aby rozpoznać dalszą drogę między Rosieniami a Kownem. Wtem

---

[1]) Wrotnowski, *Pamiętniki*.

dogania go oficer, z doniesieniem, że przybył Giełgud z piechotą, artyleryą, mnóstwem wozów i wpakował się z tem wszystkiem do jego obozu!... Jenerał wraca czemprędzej.

Cóż się stało; jaki powód tego zjawienia się Giełguda? W pochodzie ku Telszom oficerowie przedstawili mu, że marsz na Połągę jest niebezpieczny, że byłoby lepiej trzymać się Chłapowskiego. Giełgud, po zwyczaju, skłania się do ich rady i z częścią korpusu zwraca na południe, zaczem i Roland idzie za nim, wlokąc z sobą moc bagażów i cały lazaret na wozach. Byłato najwyższa nieroztropność z takim taborem pchać się w stronę, ku której postępował nieprzyjaciel. — W chwili, gdy Giełgud nadciągnął do kolumny Chłapowskiego, wrócili tamże wysłani dniem wprzódy dwaj emisaryusze z raportem, że przednia straż rosyjska zabrała chorych i maroderów Rolanda, i że Tołstoj, dowiedziawszy się przez nich o marszu Chłapowskiego, wysłał silne oddziały w kierunku Jurborga, aby przeciąć mu drogę. Wobec tego Giełgud spostrzega, że dalszy marsz na południe, ku Niemnowi, jest niepodobny, i nie czekając na Chłapowskiego, wysyła jego hufiec na zachód, do Retowa, zkąd już tylko dwie mile od pruskiej granicy. Giełgud nie mylił się; droga, którą mógł przemknąć się mały, lotny i w ścisłym porządku trzymany oddział, stała się w istocie nieprzystępną dla większego korpusu, obciążonego artyleryą, bagażami, powózkami itd. To prawda, — zachodzi tylko pytanie, dlaczego odstąpił od kierunku, który sam sobie obrał w Kurszanach i dlaczego Chłapowskiemu zawalił przejście?... Jakaś fatalność ścigała nas w tej wojnie; jedni drugim, nie myśląc o tem, szkodzili! Gdyby Giełgud z Rolandem nie byli zwrócili się i swej drogi przez siebie obranej i społem ułożonej i nie byli w ten sposób ściągnęli Rosyan na hufiec Chłapowskiego, jest wszelkie prawdopodobieństwo, że byłoby mu się udało przedrzeć się wzdłuż Niemna wgłąb Litwy i wrócić potem do Królestwa. W Warszawie, nie z mniejszym, niż później Dembińskiego, powitanoby go entuzyazmem; a czyż to za wiele przypuścić, że Chłapowski lepiej pewno, niż Dembiński, umiałby był z tego entuzyazmu skorzystać!...

Przyparty z trzech stron od armii rosyjskiej, Giełgud nie widział gdzieindziej dla swego wojska ocalenia, jak na ziemi pruskiej, i w d. 11 lipca, z pod Retowa, wysłał dwóch oficerów do władz pruskich, prosząc o pozwolenie przejścia granicy. Jakkolwiek ciężkie były winy tego człowieka, sprawiedliwość każe dodać, że on nie myślał bynajmniej korpusu swego uwięzić w Prusiech; owszem miał nadzieję, że będzie mógł przeprowadzić go do Królestwa, przez pruskie terrytoryum, i przyznajmy, że ta nadzieja miała niejaką podstawę. Wydany w samych początkach wojny rozkaz gabinetowy Króla pruskiego, z d. 11 lutego, wyrażał, że na przypadek przejścia jakiegoś oddziału jednej ze stron walczących na ziemię pruską, dozwala mu się wolny powrót do Ojczyzny, z tą jednak różnicą, że Rosyanie broń zatrzymają, a Polacy na granicy ją złożą. Z tego pozwolenia skorzystał był już pułkownik rosyjski Bartolomej, gdy przyciśnięty, 10 kwietnia, przez żmudzkich powstańców, przeszedł granicę pruską, a później do Kurlandyi powrócił. Mógł przeto i Giełgud spodziewać się, że choć broń na chwilę złoży, to jednak korpus dla powstania uratuje. — Nieopodal granicy wydał rozkaz dzienny, którym dozwalał każdemu oficerowi oddzielić się, wziąć z sobą tylu ochotników, ilu zechce i prowadzić ich na własną rękę. Kilku zaraz z tego skorzystało, w kilkanaście koni przemknęło się przez straże rosyjskie i później dostało się szczęśliwie do Królestwa. Takiż sam zamiar miał i Chłapowski. Opowiada Mielżyński, że go w tym celu posłał do pułkownika Kossa, który się w korpusie Rolanda znajdował, aby się z nim porozumieć. Koss przybyć odrazu nie mógł, a tymczasem wypadki poszły dalej [1]).

[1]) W notatkach swoich zapisał Chłapowski, co następuje: „Kiedy przed wejściem do Prus, pozwolono iść na ochotnika i na przebój przez Moskali, chciałem zebrać choć ze stu ludzi i starać się przebić. Ale mnie wstrzymali oficerowie, prosząc, bym ich nie opuszczał, że może jeszcze razem będziemy mogli działać. Mnie jednak przykrzej niż innym jenerałom było złożyć broń przed Prusakami, raz, że byłem pruskim poddanym, a powtóre, że tyle razy się z nimi biłem, a prawie ich nigdy z przodu, odważnie stojących, nie widziałem.“

D. 12 lipca, już część wojska z Giełgudem złożyła pod wieczór broń; Chłapowski stał jeszcze z tej strony granicy. Nazajutrz, zrana, kiedy Giełgud stojąc przy granicy, umawiał się z landratem pruskim, „spostrzegliśmy, mówi Mielżyński, przyciągający korpus Rolanda, którego oficerowie i żołnierze pomięszani z sobą, wydawali głośne skargi na zdradę. Wtenczas kapitan Skalski, adjutant 7go pułku piechoty, oficer głośnej odwagi, wyrywa stojącemu obok siebie kawalerzyście pistolet, przystępuje całym pędem do Giełguda i strzela do niego z wykrzykiem: „Bracia, tak kończą zdrajcy Ojczyzny!“ Strzał, który miał ukarać mniemaną zdradę Giełguda, sprawił na wojsku nieopisane wrażenie. Pokazanie się Moskali jeszcze je zwiększyło; zamięszanie i krzyki wzrastały co chwilę. O subordynacyi nie było już mowy. Całe szeregi rozbiegały się; jedni broń rzucali, inni ją podejmywali; jedni spieszyli do Prus, drudzy na Litwę, jak komu strach i rozpacz radziły.“ Wojsko szło w rozsypkę, a nie było nikogo, coby je mógł utrzymać w porządku. Ze śmiercią Giełguda, dowództwo przeszło na Chłapowskiego; nie sądził, aby w takiej chwili wolno było jenerałowi porzucać swych żołnierzy, choćby też dla nadziei, że sam będzie mógł jeszcze dostać się do walczących szeregów. I on więc, razem z 1szym pułkiem ułanów, który dotąd stał na ziemi litewskiej, przechodzi granicę; a choć zawsze tak spokojny, nie może stłumić w sobie głosu rozpaczy: „Okropniejszej chwili niewielu ludzi mogło dożyć, zawołał, i niewielu dożyje“ i rzucił szablę na płot: „Nateraz, już mi niepotrzebna!“

Oba korpusy, Chłapowskiego i Rolanda, weszły do Prus, między 12 a 14 lipca, w 6,800 ludzi, 4,500 koni i 27 dział[1]).

---

[1]) Czytelnik może rad będzie posłyszeć tu słowo jen. Chłapowskiego o tej wyprawie i o wyborze jej dowódzcy:

„Trudne w każdym przypadku było zadanie na Litwie, ale też niedołężniej wojsko nasze przez Giełguda prowadzone być nie mogło. Nie wojsko, ale dowódzca winien, kiedy się wkrada nieporządek.

„Jakim sposobem jen. Skrzynecki, który z Giełgudem był służył, nie osądził jego nieudolności, zwłaszcza w wy-

prawie, gdzie decyzya prędka wszystko stanowi, i nie wysłał do objęcia dowództwa ogólnego nad nami któregokolwiek z jenerałów, których miał pod ręką, n. p. Prądzyńskiego, którego pewnie jużby się był zaraz po Ostrołęce rad pozbył od siebie? Prądzyńskiego geniusz byłby się znalazł w swem miejscu na Litwie; dowiódł on pod Iganiami, że się umiał zdecydować w oka mgnieniu, kiedy niebezpieczeństwo grozi.

„Miał Tomasza Łubieńskiego, który, lubo nie przewidywał już możności wygranej, jednak, gdyby oddzielnie był musiał działać, człowiek uczciwy, broniby przed nieprzyjacielem nie złożył. Tego dowiódł cofając się z pod Nuru, a doświadczonemu wojen byłoby się serce napowrót rozgrzało, i przypomniał byłby sobie, jak dobrze na Węgrzech, około Neystadt w r. 1809, naprzeciw Chatelera działał.

„Nareszcie, miał i Umińskiego, który wskutek nieporozumienia z nim podał się był do dymissyi. Umiński także byłby na Litwie dobrze rzecz prowadził; wojsko w porządku zawsze on utrzymywał, doskonale się strzedz w obozie umiał i dysponować wyprawy w różne strony. Jako człowiek, miał wiele wad brzydkich, między niemi karty, ale podczas wojny naszej, nietylko sam nie grał, ale w obozie bardzo bronił. Sprawa serce mu była podniosła.

„O sobie samym nie mówię; tylko dlatego tu wspominam, że Rząd Narodowy przysłał mi dowództwo na Litwie dopiero wtedy, gdy przez kilku emisaryuszów odebrał był wiadomości, że wszystko na Litwie źle idzie. Jen. Skrzynecki trzymał tych emisaryuszów, którzy prosili, aby dowództwo mnie oddać, po tygodniu. Dziwić się temu nie mogę, choćby i przy miłości własnej, bo Skrzynecki wcale mnie nie znał; nigdy z nim nie służyłem; i w ogóle oficerowie z wojska Księstwa warszawskiego mieli niechęć do oficerów z gwardyi Napoleona, czy to przez zazdrość, czy też przez poczucie, żeśmy lepiej od nich, a zwłaszcza spokojniej służbę wykonywali, co jest cechą starego żołnierza. Jak mi powiadano, Skrzynecki opierał się daniu mi dowództwa, obstając przy Giełgudzie. Moję nominacyą odebrałem dopiero po tygodniu czy dwóch w obozie w Prusiech i zarazem moc rozdawania krzyżów do komandorskiego wyłącznie. Miałem z tego powodu odwiedzin i listów o krzyże bardzo wiele; może być że bardzo zasłużone, ale na obcej ziemi, bez broni, krzyże rozdawać, tak mi się nie w swojem wydawało miejscu, żem ani jednego nie podpisał. Ztąd

może niełaskę wielu na siebie ściągnąłem, ale po kilkunastu próbach dali mi pokój.

„Rzecz oczywista, że gdyby na Litwie można nam było się utrzymać, (a można było zrazu wziąć Wilno i mieć nietylko rzemieślników i broni wiele dla powstań, ale i punkt środkowy pomiędzy czterema korpusami nieprzyjaciela, dążącemi na obronę stolicy i różnych zakładów), to z Wilna, organizując tam powstańców na wojsko regularne, można było te oddzielne korpusy moskiewskie pojedynczo poniszczyć. Ale gdyśmy tyle stracili czasu, Moskale zebrali się w Wilnie i utworzyli korpus 20-tysięczny. Wtedy należało, mianowicie zaraz po ataku na Wilno porozdzielać się i pod pewnymi dowódzcami pomaszerować na wszystkie strony Litwy i wszystkich pozbierać powstańców. Każdy oddzielny nasz korpus byłby urósł do znacznej liczby, a Moskale już ostatki swoje z najodleglejszych prowincyj byli na Litwę ściągnęli. Byłoby nas przybywało, ichby koniecznie ubywało. Nie byłby ten korpus moskiewski mógł pomaszerować pod Warszawę, i owszem ztamtąd pewnie byłby musiał Paskiewicz posiłki na Litwę wysłać.

„Nieszczęśliwa gwiazda, że wszystkich oficerów naszych fałszywie użyto. Skrzyneckiego męczył Prądzyński bujną swoją wyobraźnią, która mu tyle planów możebnych podsuwała. Prądzyński byłby korpus oddzielny genialnie prowadził; na szefa sztabu niezdatny, bo wyobraźnia tak żywa przeszkodą jest do obrachowania szczegółowego marszów, jakto powinien szef sztabu. Przy Umińskim było aż dwóch oficerów na szefa generalnego sztabu bardzo zdatnych. Oficerowie wszelkich usposobień byli w wojsku, ale ich nie użyto odpowiednio do zdatności każdego."

§ 15.

Po wojnie.

Skończyła się dla Chłapowskiego jedna męczarnia; zacząć się miała druga, o wiele dłużej trwać mająca.

Późno bardzo przychodziły do Warszawy wiadomości z Litwy. Wielce pożądane były raporta o powodzeniach Chłapowskiego z dwóch pierwszych tygodni jego na Litwie pobytu. Potrzebował ich rząd w Warszawie dla pokrzepienia ich serc i umysłów w narodzie; potrzebował ich wódz naczelny, aby w kraju i za granicą zatrzeć wrażenie klęski ostrołęckiej. Rozgłaszały je gazety ze zwykłą w takich razach przesadą. Mówiono, że przy Chłapowskim rosną nowe pułki, „jakby laską czarodziejską wywołane“ (cytujemy dosłownie), i nie bacząc na szczupłe siły, z któremi był wysłany, zapowiedziano, że Wilno niebawem wpadnie w jego moc. Posłano mu krzyż komandorski w nagrodę dwóch zwycięskich potyczek pod Hajnowszczyzną i Lidą; ale krzyż ten go nie doszedł [1]). Pod koniec czerwca przybył do Warszawy oficer z korpusu Giełguda, który, jak wspomnieliśmy, powiózł był w imieniu swych kolegów żądanie, aby Chłapowskiemu oddaną była komenda. Podniosło to jego sławę. Żądaniu ofi-

---

1) Krzyż komandorski tylko za taką wygraną mógł być udzielony, w której wszystkie trzy bronie przez dowodzącego były użyte.

cerów opierał się zrazu Skrzynecki, nie chcąc poświęcać Giełguda, ale wkońcu przystał. Zamianowano Chłapowskiego jenerałem dywizyi, naczelnym dowódzcą na Litwie, dano mu prawo mianowania oficerów aż do stopnia pułkownika i udzielania krzyżów dwóch pierwszych stopni; przyczem posłano mu na potrzeby wojenne 100,000 zł. Na nieszczęście, wszystko to doszło jenerała dopiero we dwa tygodnie po wejściu do Prus. Ale w Warszawie o tem nie wiedziano; owszem liczono na pewno, że jeśli z drobną garstką tak wiele dokazał, teraz mogąc wszystkiemi rozporządzać siłami, znaczne sukcesa odniesie. Wtem, niespodzianie, *Gazeta Królewiecka* donosi, że Chłapowski złożył broń pod Kłajpedą we 2,000 ludzi, za nim Roland w 4,000. Nie rozumiano co to znaczy, ale zawód był gorzki, okropny, i tem mocniejszy wzbudził żal do człowieka, im więcej spodziewano się po nim. Wprawdzie, przed czterema miesiącami, wszedł był Dwernicki z czterotysiącznym korpusem do Galicyi, skutkiem własnej nierozwagi, atoli powstanie znajdowało się wtedy u szczytu potęgi, kraj był w dobrym humorze, przebaczono mu łatwo. Z Chłapowskim inaczej; on złożył broń w chwili, kiedy naród niecierpliwie wyglądał ratunku i pociechy; z niechęcią więc odwracał się od tego, w którym widział sprawcę nowej klęski. — Nadszedł do Warszawy Dembiński, otoczony zasłużoną aureolą szczęśliwego odwrotu z Litwy. Zarozumiały i pełen miłości własnej, wmówił on w siebie, jak wiele innych rzeczy umiał w siebie wmawiać, że gdyby jemu oddaną była komenda, byłby niewątpliwie wydarł Litwę Rosyi; a że Chłapowskiego uważał za główną zaporę do swego dowództwa na Litwie, przeto w raporcie, który złożył rządowi, wylał na niego cały potok oskarżeń [1]). Te oskarżenia znalazły się później w zna-

[1]) Oto, co Chłapowski mówi o tem w swoich pamiętnikach: „Dembiński zasłużył sobie na chwałę przez swój odwrót ze Żmudzi do Warszawy; ale zamiast wytłómaczyć w Warszawie nieszczęśliwych swoich kolegów i objaśnić, że i oni, kiedy się z nim rozstawali, mieli nadzieję obejść około lewego skrzydła Rosyan, jak jemu się udało około ich prawego skrzydła, rozumiał, że powiększy swą sławę, zosta-

nej książce Spaziera i utrwaliły niekorzystną o Chłapowskim opinią. Wkrótce potem potwierdził je w Paryżu Feliks Wrotnowski, w swoim opisie powstań litewskich; podniósłszy wysoko zdolności wojenne jenerała, rzucił na niego surowe potępienie za to, iż zniechęcił się do sprawy i katastrofę umyślnie gotował, od chwili, gdy z wejściem Giełguda przestał być pierwszą osobistością na Litwie. Zarzuty jego były wprawdzie ogólnikowe, faktem żadnym niedowiedzione, ale koniec wyprawy zdawał się je aż nadto popierać. Giełgud już nie żył; inni jenerałowie, jak Roland lub Szymanowski, nie zasługiwali na to, aby się o nich spierać; Chłapowski stał się więc kozłem ofiarnym wyprawy. Dawne pochwały, któremi go obsypywano, zaostrzyły tylko późniejszy wyrok potępienia.

Wobec tej burzy, która się przeciw niemu podniosła, i zarzutów, które go ścigały przez lat wiele, Chłapowski — milczał. Spisał krótki pamiętnik dla dzieci, aby, gdy dorosną, wiedziały co o tem myśleć, ale głośno nigdy się nie bronił. Nie lubił tłómaczyć się, miał wstręt do mówienia o sobie, gdy to mogło wypaść na jego korzyść. Mógł był bez trudu wykazać płytkość i urojenia w opisie Dembińskiego; mógł kilkoma faktami wyświecić powód potwarczych insynuacyj Feliksa Wrotnowskiego; odeprzeć ich autora, jak zasługiwał. Nie uczynił tego; wytrzymał wszystko spokojnie i tem dał może najpiękniejsze świadectwo wielkości swej duszy. — W liście poufnym, który wkrótce po wejściu do Prus napisał do najbliższego przyjaciela, ref. Morawskiego (27 września 1831), mówi on: „Możesz miarkować, z jakim duchem maszerowałem na Litwę. Spełniały się moje nigdy z myśli niespuszczone plany... Na Litwie była i jest cała zagadka naszej niepodległości... Przewróciłem wszystko, co mi drogę zastępowało; w działa, broń amunicyą, a nawet w ludzi nieprzyjaciel mnie opatrzył. Dnia 9 czerwca przeszedłem

---

wiając opinią publiczną w mniemaniu, że w Kurszanach my już byli zdecydowali wejść do Prus, a on sam tylko przedsięwziął przerżnąć się orężem do Warszawy i że jemu tylko Moskale zastępowali drogę.“

pod komendę Giełguda; nieład jego dywizyi zaraził i mój korpusik. Kazał mi być swoim szefem sztabu. Surowość, której użyć chciałem dla przywrócenia porządku, niepoparta, narobiła mi tylko nieprzyjaciół. Pozbawiło mnie to zdrowia na zawsze. Nerwy moje tak rozdrażnione, że moja żona wygląda jak Herkules przy mnie. Śmiało mogę powiedzieć, że do 9 czerwca byłto czas najszczęśliwszy mego życia, jak odtąd najnieszczęśliwszy; takie gwałtowne przejście chybaby człowiek bez duszy zniósł. — Pomijam to, co o mnie pisali, korzystając z mojej nominacyi, aby mnie potępić jako komendanta, nie wzmiankując, że komunikacye były przecięte, że ja mojej nominacyi wcale nie odebrałem! Czas to wszystko wyjaśni, że w przejściu do Prus poświęciłem całą moję osobistość, ponieważ w kilku zaufanych mogłem się przedrzeć; ale gdy cała siła moskiewska ku Niemnu na nas się obróciła, nie można już było przedrzeć się z korpusem. Nie odłączyłem swego losu i spełniłem kielich... Większe teraz zdarzenia pamięć tych zacierają, większe jeszcze nadejdą. Poznaliśmy się wszyscy, a jak czas się trochę uspokoi, poznamy się lepiej."

I nie zawiodła go ta ufność; w lat kilka później jaśniejsze światło zaczęło się zwolna przedzierać. Maciej Mielżyński wydał broszurę, w której zarzuty Dembińskiego zbił faktami; nie zostało z nich nic. A choć pismo Mielżyńskiego trudnem jest do czytania, bo nie opowiada ono porządkiem wydarzeń, tylko każde twierdzenie z kolei rozbiera, i choć dlatego nie dostało się do rąk szerszej publiczności, niemniej jednak, ci co szukali prawdy, mogli ją tam znaleść, i wielu znalazło. Uderzało w tej broszurze wyznanie samychże Rosyan, że oni o Chłapowskiego tylko się troszczyli, bo jego jednego poczytywali za zdolnego na Litwie jenerała [1]). Przy lepszem wyświeceniu faktów i przy spokojniejszym pogłą-

[1]) *Darstellung der Operationen des litthauischen Armee-Korpus, von einem russischen Offizier des Generalstabes an einem preussischen Offizier*, zamieszczona w dodatku przez Mielżyńskiego, s. 64.

dzie, każdemu musiała nasunąć się uwaga, którą też trafnie wyraził jen. Kołaczkowski w swoich pamiętnikach, że „jak długo Chłapowski sam i niezawiśle działał, powodziło mu się szczęśliwie, i byłby zapewne jak najświetniej wypełnił rolę partyzanta, przecinając dowozy, znosząc pojedyncze oddziały i rękę podając nowym formacyom; lecz skoro dostał się pod komendę leniwego i niezdatnego Giełguda, musiał działać według jego myśli i przejść z nim te wszystkie koleje, które cały korpus do ostatniego stopnia dezorganizacyi doprowadziły i spowodowały wejście jego do Prus.“ Nie zawadzi wkońcu wspomnieć, że jenerał doczekał się uznania od tego, po którym najmniej mógł się go spodziewać: „Pokazało się (w wyprawie na Litwie), że ze wszystkich trzech (Giełguda, Dembińskiego i Chłapowskiego), jeden tylko Chłapowski miał rozum i wiedział czego chce.“ To mówi — Mierosławski w swojej *Historyi powstania.* — Nic więc Chłapowski nie stracił na milczeniu, z jakiem przyjmował sądy krzywdzące; nie ucierpiała na niem jego sława wojskowa, a w całym blasku zajaśniały szlachetność człowieka i męstwo chrześcijanina [1]).

[1]) Ogłoszona świeżo *Historya powstania listopadowego* Stanisława Barzykowskiego, zawiera w IV tomie, bardzo niekorzystną o Chłapowskim relacyą. Barzykowski, człowiek prawy, co sam widział, sumiennie, choć najczęściej niesmacznie opisuje; ale w podaniach drugich nie umie zrobić wyboru; sądzi zazwyczaj według swych osobistych sympatyj lub antypatyj, których miał bez końca. Ścisłą przyjaźnią z Dembińskim związany, uwielbia jego geniusz, każdemu jego słowu wierzy naślepo. Przeciwnie, do Chłapowskiego mocno uprzedzony, to nawet zamilcza, co nieprzyjaciele jenerała o nim dobrego powiedzieli. Jaką wagę do jego twierdzeń przykładać należy, wnieść można między innemi z tego, co mówi: że Chłapowski dlatego porzucił Napoleona, że ten nie mianował go jenerałem; że przybywszy w r. 1830 do Warszawy, podał Chłopickiemu plan insurrekcyi w Wielkopolsce, za co go dyktator od siebie odsunął itd. — Dzieło Barzykowskiego może posłużyć za materyał w wielu razach pożyteczny, ale na jego zdaniu polegać niepodobną. Czynny i gorliwy w administracyi, sądu politycznego nie miał ża-

Przejdźmy do dalszego wątku naszego opowiadania. Od chwili, gdy ze śmiercią Giełguda na ziemi pruskiej przeszła na jenerała komenda, zażądał od władz pruskich, aby na mocy rozkazu gabinetowego z d. 11 lutego (1831) dozwolonem było wojsku polskiemu przejść do Królestwa. Władze nie śmiały decydować, odwołano się do Berlina; trzeba było czekać na odpowiedź. Tymczasem nałożono na cały korpus kwarantannę i rozłożono go w polu, pod Kłajpedą, przez 6 tygodni. Byłoto w połowie lipca. Jeszcze wojna trwała nad Wisłą, jeszcze u nas mniemano, że mocarstwa zachodnie przyjdą Polsce w pomoc. Wejście korpusu polskiego do Prus musiało w Europie złe sprawić wrażenie; chodziło o to, by tej klęsce częściowej nie nadawano zbyt wielkich rozmiarów i nie przyjęto jej jako zapowiedź zbliżającego się końca, a także, aby tę katastrofę nie przypisywano oziębłości Litwinów dla wspólnej sprawy, którzy owszem w trudnych okolicznościach, w jakich się znajdowali, zrobili z siebie wszystko co mogli. To dało myśl Chłapowskiemu napisania w języku francuskim listu o wypadkach wojennych w pierwszej połowie 1831 r. — W piśmie tem poddając surowej krytyce Chłopickiego, iż nie umiał korzystać z narodowego zapału i wykazując błędy strategiczne Skrzyneckiego, które Dybicza ocaliły od zguby, Chłapowski dowodzi, że naród spełnił swą powinność i jeszcze do wielkich poświęceń jest gotów, aby swoję niepodległość odzyskać. Broszura wysłana w lipcu do Caramana, wyszła z druku dopiero po skończonej wojnie [1]). Pierwszy to był sąd wydany na wodzów, a jakkolwiek słuszny i dziś wszyscy się nań zgadzają, wów-

---

dnego i powtarza do znudzenia płytkie i zużyte komunały z wielkiem patos wypowiedziane. — Wyborną jego książki recenzyą ogłosił właśnie *Przegląd Polski* w Krakowie. Choćby początkowe litery *(P. P.)* nie wskazywały autora tej krytyki, możnaby go odrazu po wytrawności pióra i niepospolitym rozumie politycznym odgadnąć.

[1]) *Lettre du Général Chłapowski sur les évènements militaires en Pologne et en Lithuanie.* Paris, novembre; z datą 25 sierpnia, spóźnioną o miesiąc.

czas zdawał się być za twardym i wielu ludzi na Chłapowskiego obruszył. — Nie brakło i innych powodów obrazy; było nim, między innemi, prawo przysłane Chłapowskiemu rozdawania krzyżów. Wnet się zgłosiło do niego mnóstwo oficerów z prośbą o patenta, i znajdowało się zaprawdę wielu takich, co na nie zasłużyli. Rozdano tych patentów niemało na ziemi pruskiej, kiedy główna armia złożyła broń, 4 października; jeszcze więcej wydano ich później z kancelaryi ostatniego wodza, na emigracyi; ale Chłapowski nie sądził, aby można przyznawać nagrody w chwili, gdy korpus już rozbrojony, i jak sam nie przywdział nigdy znaków komandorskich, tak i swoim podkomendnym krzyżów stanowczo odmawiał. I to także zdało się być twardem i zrodziło bez końca niechęci które niełatwo puszczono w niepamięć.

Na podanie jenerała przesłane do Berlina, król pruski odpowiedział 5 września odmownie. Tłómaczył się, że jego rozkaz gabinetowy z d. 11 lutego miał na myśli tylko małe oddziały szukające w Prusiech schronienia, ale że nie może się odnosić do znacznej liczby wojska, wchodzącego do Prus, podczas trwającej jeszcze wojny; i dodawał, że oficerowie i żołnierze polscy powinni widzieć i ocenić łaskę monarchy, który nie przychylił się do żądania extradycyi, jakkolwiek w istniejących traktatach możnaby znaleść do niej podstawę. — Skoro ta decyzya królewska nadeszła, rozlokowano wojsko po wsiach w okolicach Kłajpedy. Tymczasem wojna w Królestwie skończyła się. Nasunęła się myśl, by wojsko rozbrojone szło do Francyi. Myśl ta przyszła ztamtąd, zkąd jeszcze przed powstaniem przysłano do Warszawy zachętę do wybuchu; przyszła od partyi republikańskiej w Paryżu, która w Polakach i w entuzyazmie, jaki się dla nich objawi we Francyi, spodziewała się znaleść pomoc i narzędzie do wywrócenia Ludwika Filipa. Chłapowski zganił pomysł gromadnego wychodźtwa. Zbyt liczna emigracya, zdaniem jego, osłabi kraj, mnóstwo ludzi zdolnych zmarnuje za granicą. Aby zanieść protestacyą na Zachód, wystarczą członkowie Rządu, członkowie Sejmu, ludzie najbardziej skompromitowani; na to tłumów niepotrzeba. Reszta powinna wracać do

kraju, poddać się karze i korzystając z nabytego doświadczenia, pracować dla Ojczyzny w warunkach, jakie będą dane. Nie usłuchano go, bo mniemano powszechnie, że wychodźtwo nie potrwa długo; że owszem z armią rewolucyjną francuską zjawi się ono niebawem nad brzegami Wisły. — Czy złą była rada Chłapowskiego? Czy emigracya z r. 1831 nie wyprowadziła z kraju najlepszych, najszlachetniejszych żywiołów, tego co pod każdym względem było kwiatem społeczeństwa polskiego? Ile było sił, talentów, wysokich cnót, heroicznych poświęceń w emigracyi, wiedzą tylko ci, co ją znali, i tem większy czuć muszą ból, że to wszystko, prawie bez pożytku dla kraju, zwiędniało we Francyi! Byłto dobrowolny a straszny upust krwi, daleko straszniejszy niż ten co wojna sprawiła, dokonany w chwili, gdy kraj potrzebował największej siły odpornej, wobec represyi zwycięskiego nieprzyjaciela. Powiedziano, że w owej epoce grobowego pod rządem rosyjskim milczenia, Poznańskie aż do r. 1846 było jedyną prowincyą, „co myślała i pracowała za resztę Polski". I było tak rzeczywiście, myślała i pracowała za resztę Polski, a nietylko dlatego, że ta prowincya większej wówczas używała swobody, lecz dlatego głównie, że Poznańczycy nie emigrowali. Bo uważmy, że gdyby ci wszyscy z Wielkopolski, co w powstaniu wzięli udział, gdyby Chłapowscy, Mielżyński, Żółtowscy, Marcinkowski, Potworowski, Libelt, Moraczewski i tylu innych, przenieśli się do Francyi, czyżby i Poznańskie nie stało się owym *grobem milczącym*, jak reszta Polski, albo co gorsza, czy jedynym objawem jego żywotności nie byłyby roboty konspiracyjne, jak podówczas w Królestwie i w Galicyi? Co w tej epoce zrobiło się dobrego w Wielkopolsce, to było dziełem tych właśnie, którzy w r. 1831 bili się za Ojczyznę i którzy po wojnie w kraju zostali. A tożsamo da się powiedzieć o Królestwie i o Galicyi, że tu najcelniejszych tylko wymienim, jak Andrzeja Zamoyskiego i Leona Sapiehę, którzy po wojnie woleli w kraju pozostać, i w twardych warunkach sprawę dźwigać i drugich ciągnąć do pracy. Co się później w Królestwie i w Galicyi zrobiło, ich to dziełem, bo oni do

tego dali początek. — Dziś to wszystko jaśniej widzimy i dziś to głośno powiedzieć można; ale wtedy, ta mądra i daleko sięgająca rada Chłapowskiego, by kraju gromadnie nie opuszczać, owszem zostać w nim, cierpieć i służyć czem się da, — była najwstrętniejsza prądowi ogólnemu i do jego niepopularności przydała niemało.

Aż do końca r. 1831 trzymano Chłapowskiego w okolicach Kłajpedy, poczem kazano mu zdjąć mundur, wrócić do domu i czekać na dalszą względem niego decyzyą. Wrócił więc do Turwi w styczniu 1832 r. i zastał ją pod sekwestrem. Przypomnijmy, że rozkaz gabinetowy w grudniu 1830 r. wydany, rozciągał konfiskatę na tych wszystkich, którzy się do powstania przyłączyli. Skoro więc Chłapowski nie chciał powrócić z Warszawy, pomimo nalegań konsula pruskiego, z początkiem stycznia 1831 r. zjechała do Turwi komisya dla sekwestrowania dóbr i kazała pani Chłapowskiej, przy spisywaniu inwentarza, złożyć wszystko co posiada. Bez wahania oddała swe brylanty i kosztowności toalety. „Pocóż to pani nam przynosi, zawołali zdziwieni komisarze, przecież to jej jest własnością?“ „Mamże dbać o te drobnostki, odrzekła szlachetna Polka, kiedym męża Ojczyznie oddała!“

W r. 1832, wytoczono proces wszystkim, którzy należeli do wojny. Trzeba oddać sprawiedliwość ludności niemieckiej w Prusiech, że na ten proces patrzała niechętnie; oskarżała rząd o zbytnią dla Rosyi uległość. Nie chwalono go w najbliższem nawet otoczeniu monarchy. Kiedy Chłapowski przez Poznań przejeżdżał, zawezwał go ks. Fryderyk, zwany düsseldorfskim, brat stryjeczny Króla, i rzekł mu: „Mogę cię upewnić, że podczas wojny mieliśmy dla was najżywsze sympatye.“ „O nim samym, odrzekł jenerał, nie wątpię, lecz W. Kr. Wysokość używa wyrazu *my.*“ „Tak, rzecze książę, powiedziałem *my,* i to z namysłem; więcej mówić nie mogę,“ a miał na myśli Następcę tronu. Podobnież i sądy poznańskie nie kwapiły się z przyzwaniem obwinionych i prawie jednozgodnie oświadczyły rządowi, że nie można ich sądzić na podstawie rozkazu gabinetowego. Utworzono tedy osobny dla tej sprawy trybunał we Wschowie *(Stadt-*

und Landgericht). — Zawezwany do indagacyi (d. 9 maja 1832 r.) i zapytany, co może złożyć na swoję obronę, jenerał odpowiedział, iż oprócz tego, co z natury rzeczy wypływa, iż się czuł obowiązany służyć swemu narodowi, nic szczególnego do powiedzenia nie ma, chyba to, że nie był w żadnem urzędowaniu pruskiem, ani cywilnem ani wojskowem. D. 12 września (1832) zapadł wyrok skazujący go na dwa lata więzienia, konfiskatę dóbr i utratę praw politycznych. Król skrócił więzienie do roku, a w miejsce konfiskaty nałożył karę pieniężną 22,000 tal. Gdy potwierdzenie królewskie z tą zmianą nadeszło, zawezwał Chłapowskiego Flotwell, nowy prezes Regencyi, i powiedział mu, że Król gotów jeszcze większą łaskę mu wyświadczyć. Są w Brandeburgii znaczne dobra królewskie, Chłapowski będzie mógł je wziąć w miejsce Turwi; rząd nie będzie przestrzegał równości zamiany, a w dodatku król mu odpuści karę pieniężną. Chłapowski na to: „Pan Bóg mnie osadził w Turwi i ja mam obowiązki względem kraju i ludzi, których mi Pan Bóg dał. Może mi rząd zabrać co mam, ma siłę; ale nie może mnie zniewolić, bym cokolwiek przyjął.“ „Nie spiesz się pan, rzecze Flotwell, daję ci trzy tygodnie do namysłu.“ „Bądź pan przekonany, odpowie jenerał, że choćbyś mi dłuższy czas zostawił, nie zmienię mego zdania.“

Razem z Chłapowskim było skazanych około 2,000 osób, między innymi Maciej Mielżyński, Tertulian Koczorowski, Teodor Mycielski, Kropiwnicki (ci dwaj razem z jenerałem odsiedzieli więzienie); wielu wziętych do kompanij karnych w wojsku pruskiem. Wszystkich spotkały również grzywny, ale mało kto się z nich uiścił. Rząd groził subhastacyą, ale jej nie wykonywał, zwłaszcza że procenta płacili. Aż w ośm lat później, gdy Fryderyk Wilhelm IV wstąpił na tron, amnestya umorzyła wszystkie te zaległości. — Chłapowski przeciwnie, zaraz po zapadłym wyroku wziął się do spłacenia kary: 7,000 talarów gotówką i czynsze z majątku rombińskiego, skapitalizowane na 15,000 talarów. Dlaczego tak się pospieszył? Nie lubił długów, był pod tym względem bardzo niecierpliwy, w owej chwili bardziej niż kiedykolwiek, w roz-

drażnieniu nerwowem, które go od końca wojny opanowało. — Z tego czasu inny jeszcze podobny fakt godny jest pamięci. Wiemy, że dopiero po wejściu do Prus doszła go od Rządu narodowego z Warszawy wraz z nominacyą na dowódzcę naczelnego, suma 100,000 zł., na potrzeby wojenne. Dowiedzieli się o niej oficerowie korpusu i domagali się zasiłku na zaopatrzenie swych potrzeb. Jenerał tłómaczył się, że będąc na obcej ziemi, nie czuje się w prawie rozrządzania tym funduszem; ale, gdy prośby oficerów były coraz bardziej naglące, zwołał Radę gospodarczą korpusu i zażądał jej zdania. Wszyscy członkowie złożyli deklaracyą na piśmie, że jenerał może bezpiecznie użyć tej sumy na potrzeby oficerów; on jeden napisał zdanie przeciwne, wszelako uległ i kazał ją rozdać. Pozostało mu to jednak w pamięci; dręczyła go wątpliwość, czy własnością publiczną prawnie rozrządził? W pierwszej połowie r. 1833, przyjechał do Turwi jen. Tański i odwiózł Chłapowskiemu sumę 150,000 zł., którą pozostał był dłużny za kupione od niego dobra Chmielniki, w Królestwie. Szlachetny to był czyn; gdyby nie chciał zapłacić, Chłapowski nie był w możności go przymusić. Skoro odebrał tę sumę, zaraz sobie przypomniał ów fundusz korpusu litewskiego i napisał do prezesa Banku w Warszawie, że chce odesłać 100,000 zł. Przestrzegał go poufnie Henryk Łubieński, że to niepotrzebne, że nikomu *nie przyjdzie na myśl* upominać się o zwrot. Ale jenerał nie dał się przekonać i 100,000 do Warszawy odesłał. — Mieliśmy w ręku oba dokumenta odnoszące się do tej sprawy: protokoł Rady gospodarczej z d. 6 sierp. 1831 r. z podpisami oficerów, i list Henryka Łubieńskiego z d. 5 czerwca 1833 r., z pokwitowaniem 5,000 dukatów, w imieniu Banku Królestwa Polskiego wydanem.

Pod koniec maja 1833 r. jenerał pojechał do Szczecina, gdzie miał karę w fortecy odsiedzieć. Więzienie nie było ciężkie, mieszkanie wygodne i suche; od komendanta i oficerów załogi doznawał wszelkiej względności i uszanowania. Po tylu ciężkich próbach, przez które przeszedł, potrzebny mu był ten spoczynek, jakkolwiek przymusowy; w pracy samotnej i regularnej wrócił do równowagi i do spokoju.

Z tym jasnym poglądem, który był mu właściwy, zrozumiał odrazu, że służba wojskowa dla niego przerwana na długo, jeżeli nie na zawsze, i że jak po kampaniach napoleońskich, zsiadłszy z konia wziął się do roli, tak i po wojnie z r. 1831 szablę na lemiesz znowu wypadnie zamienić. W fortecy szczecińskiej napisał książkę o *Rolnictwie*. Słuchacze moi nie zechcą zapewne, abym to dzieło oceniał, przechodzi to me siły; mogę tylko powtórzyć zdanie sędziów właściwszych, że to jest najkrótszy i jeden z najlepszych podręczników, który literatura agronomiczna posiada; a że dziś jeszcze może być przydatny, świadczy czwarta edycya niedawno ogłoszona.

Na wstawienie się księżnej Ludwiki Radziwiłłowej, z domu księżniczki brandeburskiej, odpuszczono mu z powodu ciężkiej choroby, w którą żona popadła, pół roku więzienia. Pod koniec grudnia 1833 r. pozwolono mu wrócić do Turwi, gdzie nowy i ostatni peryod swego życia rozpoczął.

V.

SŁUŻBA OBYWATELSKA
W WIELKOPOLSCE.

(1833—1879).

§ 16.

Ludzie znaczniejsi w tej epoce. Podróż Jenerała do Rzymu. Jan Koźmian.

Kiedy po raz pierwszy pani Chłapowska spotkała męża swego na ziemi pruskiej powracającego z Litwy, przeraziła się na jego widok. Był tak zniszczonym i wynędzniałym, że nie sądziła, aby mógł pożyć dłużej nad kilka miesięcy. Silna natura przemogła chorobę, ale wnet potem nowe krzyże przydały udręczenia. Mówiliśmy o ciężkich oskarżeniach, jakie przeciw niemu podniosły się na emigracyi. Kto pamięta, jaki urok otaczał wówczas wszystko, cokolwiek przychodziło z wychodźtwa, ten zrozumie potężne echo tych zarzutów w kraju. Uwierzono im niemal powszechnie; Chłapowski stał się osobistością jedną z najpopularniejszych w Polsce. Czy słusznie? Niech słuchacze moi osądzą. Z mocną pamięcią na obowiązek historyka, który winien jest sprawiedliwość zarówno przyjaciołom jak nieprzyjaciołom, twierdzę, że do tej popularności powodu żadnego nie dał; i chyba owo chwilowe rozdrażnienie, w jakie popadł na ziemi pruskiej po złożeniu broni, mogło było wywołać jakieś osobiste urazy. Czy dziwić się temu rozdrażnieniu u starego żołnierza, który zawsze był w boju szczęśliwy, a w końcu musiał rzucić swą szablę na płot? Gdzie człowiek, coby mógł stłumić w takiej chwili swój ból? Raczej podziwiać trzeba ów spokój, z jakim puszczał mimo siebie podnoszące się przeciw niemu zarzuty, —

przeciw niemu, który klęski, jakie spadały, pierwej od wszystkich przewidział i robił wszystko, co mu sumienie wskazywało, aby je odwrócić. Bolały go te oskarżenia, bo komuż nie jest miłą dobra sława, zwłaszcza u tych, wśród których i dla których się pracuje? A że nad tą boleścią umiał zapanować, to jego chwała, lecz — dodajmy — to także zasługa pani Chłapowskiej. Kto wypowie błogi wpływ ręki niewieściej, słodkiej, pobożnej, kochającej żony? Pokrzepieniem jest w trudzie, wiarą w zwątpieniu, światłem w ciemności, oliwą na rany. Zasługa to pani Chłapowskiej, że tę próbę, jednę z najtwardszych, mąż jej przebył zwycięzko, że nie zgorzkniał, nie zniechęcił się do ludzi, że wkrótce potem ujrzano go znowu silnym, pogodnym jak zawsze, a nadto, wyrozumiałym i miłosiernym dla prześladowców. *„Podobną jemu pomocnicę“* dał mu w żonie Pan.

Częścią dlatego, że próżnować nie umiał, częścią też aby w pracy ukoić ból, Jenerał wziął się napowrót do roli. Dobra swoje zastał w porządku. „Pamiętam bardzo dobrze, mówi Paweł Popiel, jakto wówczas przytaczano za dowód szczególnego do organizacyi i rządzenia talentu, że podczas długiej niebytności pana, nic się w jego majątku nie rozprzęgło. Odtąd sam długo gospodarowałem i poświadczyć mogę, że to jest dowód najwyższej doskonałości systemu. Kierować osobiście tą machiną gospodarstwa na większe rozmiary, napozór tak prostą, a w istocie skomplikowaną, to już trudno; ale ją tak nakręcić, aby działała sama, oddalić się osobą a natchnąć duchem, któryby sam działał, należy do zadań najtrudniejszych, a wymaga żelaznego charakteru i bardzo długiego, bez przerwy osobistego dołożenia. Chłapowski umiał dosiedzieć, wstać zawsze rano, zawsze z równą energią pracować i wymagać. Przywilejem ludzi wyższych, obejmując ogół, znał dokładnie szczegóły; najrzadsze w sztuce rządzenia fakta.“ — Słuchacze moi wiedzą, że już przed wojną majątek był uporządkowany, oczyszczony z długów, kwitnący; ale, choć korzystny dla właściciela, przykładem dla drugich jeszcze nie był. Dopiero odtąd Turwia zaczyna być szkołą gospodarczą dla prowincyi i dla całego kraju. Od r. 1834

Jenerał począł brać uczniów do swego majątku zadarmo, naprzód sześciu, potem dwunastu na dwa lata. Każdy z nich przechodził z kolei wszystkie gałęzie gospodarstwa, poczem miewał sobie oddany specyalny kierunek jednej gałęzi, ten owiec, ów koni, trzeci robót w polu [1]). Jenerał wszystkich doglądał, objeżdżając codziennie folwarki. A nietylko rolnictwa uczył, lecz i sztuki życia. Wiedział on, że poprawny agronom nic nie wart, jeśli nie jest poprawnym człowiekiem; znał polskie wady: niedbalstwo, lekkomyślność, nieścisłość, niesumienność w wykonaniu. Kto z tych wad poprawić się nie chciał, kto się lenił wstać rano, obowiązków zaniedbywał a szukał wygód i rozrywki, ten długo tam nie postał. Zresztą na rozrywki i fantazye czasu nie było w tym domu, gdzie wszystko szło i dziś jeszcze idzie, tak cicho i regularnie jak w zegarku. Ze starej gwardyi napoleońskiej Jenerał to wyniósł, że służba powinna się odbywać spokojnie i poważnie, a choć w Turwi już go dziś niema, duch jego tam pozostał i wszystkiem jak za życia kieruje. W ciągu lat 40 wykształciło się w tej szkole około 150 uczniów, rozeszli się po całej Polsce, a wszyscy mają jakieś wspólne sobie piętno: powagę w życiu i powagę w działaniu. — Niejeden z moich słuchaczów, który zna jego uczniów, potwierdzi pewno mój sąd: i w nich żyje duch Chłapowskiego! — Kształcąc rządców wiejskich, nie zapominał o kształceniu ludu. Za jego głównie staraniem powstała w r. 1837 *Szkółka niedzielna,* pierwsze pismo peryodyczne dla ludności włościańskiej. Wyszukał redaktora i nakład wydawcy poręczył. Redaktorem był x. Borowicz, proboszcz w Gryżynie, później w Brodnicy; nakładcą Günther w Lesznie. Zrazu dwory brały po 20 exemplarzy tego pisma i rozdawały je włościanom; było to dla nich nowością, przywykli do niej i przez tę gazetkę wciągnęli się do czytania.

---

[1]) Tu może godzi się wspomnieć, że Chłapowski syna jnła Dembińskiego na czas jakiś do swego domu przyjął, aby się uczył gospodarstwa.

Zatytułowałem ten rozdział *służbą obywatelską Jenerała,* może mniej właściwie, bo w szerszych kołach mało go wówczas widywano, zwłaszcza przez pierwszych kilkanaście lat. Żył pod klątwą opinii, która go jako sprawcę upadku powstania na Litwie potępiła, a mało komu przychodziło na myśl, że Jenerał dlatego tylko siebie nie broni, że mówić o sobie nie chce, a tem mniej oskarżać drugich. Taka cnota rzadką jest wszędzie; cóż dziwnego, że się jej nawet nie domyślano! Pomimo to, i w tym czasie szedł ręka w rękę z ludźmi, co stali na czele prowincyi, i o tych ludziach chcę naprzód wspomnieć; o jego własnej, chrześciańsko-obywatelskiej działalności później będzie mowa.

Powstanie r. 1831 ściągnęło na kraj wielkie klęski polityczne i ekonomiczne, ale pod pewnym względem oddziałało zbawiennie, wstrząsnęło do głębi społeczeństwem, wprowadziło umysły na poważniejsze tory, obudziło większą gorliwość i chęć służenia krajowi; i gdziekolwiek znaleźli się mężowie silniejsi a rozumnej inicyatywy, wszędzie tworzyły się koło nich grona działające zbiorowo. W r. 1835 wrócił do Poznania Marcinkowski, dzielny żołnierz, lekarz znakomity; w wyprawie na Litwie, na obu tych polach, świetnie się odznaczył. Podczas szarży bywał w pierwszej linii; gdy się skończyła, opatrywał rannych, potem znowu biegł do boju. W czasie marszu na Wilno, posłany do Giełguda, aby go do pośpiechu nakłaniał, gdy poruszyć go nie mógł, ze zmartwienia ledwo się nie rozchorował. Po wejściu korpusu polskiego do Prus, prosił Chłapowskiego jen. Kraft, by Marcinkowskiego przysłał do Kłajpedy, gdzie się srożyła cholera. Pruscy lekarze bardzo się jej bali, i nie inaczej jak w płaszczach ceratowych, w masce z ceraty i w ceratowych rękawiczkach, oglądali chorego. Marcinkowski przeciwnie, skoro wszedł do sali, zrzucił z siebie mundur, zawinął rękawy od koszuli i począł starannie badać cholerycznych, jakby najniewinniejszą dotknięci byli chorobą, czem pruskim lekarzom wielce zaimponował, a w chorych tyle wzbudził ufności, że wielu wyzdrowiało. Przez sześć tygodni z takiem poświęceniem pracował w Kłajpedzie, że cała ludność za zbawcę

go miała. Pytał Chłapowskiego jen. Kraft, jakiejby nagrody dla Marcinkowskiego żądać od Króla; ale polski lekarz nawet słyszeć o żadnej nie chciał. — Gdy cholera minęła, wyjechał do Anglii, ztamtąd do Francyi, gdzie za najlepszą o cholerze rozprawę, otrzymał od Akademii 1000 fr. nagrody. Gdy wrócił do kraju, musiał odsiedzieć więzienie, na które skazano go za udział w powstaniu; uwolnił go od niego dopiero powtórny wybuch cholery, przeciw której żądano powszechnie jego pomocy. W Prusiech ceniono wysoko jego zdolności lekarskie. „Ja znam się trochę na dyagnozie, rzekł Marcinkowski, ale Schönlein patrzy na chorego, jakby był szklanny.“ A na to Schönlein, gdy mu to słowo powtórzono, odparł: *„ja, ich möchte gern den klaren Blick Marcinkowski's haben.“* W Poznaniu odrazu stał się najzawołańszym lekarzem. Poświęcenia bez granic, oddany na usługi ubogim, nigdy ich nie odmawiał. Po całem Księstwie jeździł konno, zwykle galopem; do snu rzadko się rozbierał, aby zawsze być na zawołanie, a te nieustające wysilenia podcięły jego organizm, skróciły życie. Twardy dla siebie, bardzo był przytem serdeczny i tkliwy, ale wstydził się tego, i gdy mu się na płacz zbierało, zmuszał się do grubiaństwa. Prędko się na tem grubiaństwie poznano; kochali go i uwielbiali wszyscy.

W Poznańskiem rządził pod te czasy Flotwell, dążąc zręcznie choć jeszcze pocichu, do zastąpienia na każdem polu żywiołów polskich Niemcami. Widział to Marcinkowski, jak wielu innych, że w takiej walce nie ostoi się spółeczeństwo polskie, jeżeli obronę swoję zasadzać będzie jak dotąd, niemal wyłącznie na szlachcie, właścicielach wsi, i jeżeli tych wszystkich zawodów, na których życie społeczne polega, nie wezmą w swoje ręce Polacy, równie wykształceni i pracowici jak Niemcy. Podał więc myśl założenia Towarzystwa, któreby wydobywając z klas niższych młodzież zdolniejszą, dopomagało jej w szkołach poznańskich, a następnie w wyższych zakładach niemieckich, do wykształcenia się na prawników, lekarzy, księży, budowniczych, inżynierów itp. Towarzystwo się zawiązało, istnieje z górą lat 40, miewa dochodu od 10 do 12 tysięcy talarów rocznie, w ostatnim roku miało blisko

20 tysięcy talarów, zebrało kilka funduszów żelaznych (Wanowskiego, Koźmiana, Chłapowskiego) i wydało znaczną liczbę ludzi, którzy świetnie myśl Marcinkowskiego spełnili. Ci niestrudzeni *„księża majowi,“* że o nich tylko wspomnę, którzy dźwigali i dotąd dźwigają ciężkie brzemię walki religijnej, to wychowańcy *Towarzystwa Naukowej Pomocy.* Instytucya ta jest wspaniałą po Marcinkowskim pamiątką, ale zarazem i chlubnem świadectwem dla obywateli wielkopolskich i dla ich wytrwałości w ofiarach. — Drugim pomnikiem, który Marcinkowski wystawił sobie i prowincyi, jest, jak wiadomo, *Bazar Polski.* W gruncie, myśl jego ta sama co *Naukowej Pomocy,* miała na celu utworzyć w Poznaniu polskich kupców i przemysłowców. Obszerny gmach za 80,000 tal. zbudowany, wszystkie swe sklepy i mieszkania jedynie Polakom otwiera. Zebrano kapitał w akcyach po 500 tal., a jak stoi dzisiaj ta instytucya, najlepszym dowodem jest fakt, że jej akcye mają wartość pięć razy wyższą.

Wszystko to są rzeczy znane i oceniane sprawiedliwie, ale co mniej znane (zwłaszcza po za obrębem Wielkopolski), to udział, jaki w tych pracach wzięli celniejsi obywatele tej prowincyi, między nimi także i Chłapowski. Wiązała go z Marcinkowskim przyjaźń serdeczna, na koleżeństwie wojennem ugruntowana, wiązała jednakowa miłość Ojczyzny; z każdą więc myślą swoją zwierzał się Marcinkowski przed swym dawnym jenerałem. Chłapowski, jak wspomnieliśmy, żył temi czasy dość odludnie, w pracy wiejskiej się zakopawszy, młodych agronomów formował. Zawsze go jednak otaczało grono wypróbowanych przyjaciół: prócz Marcinkowskiego Maciej Mielżyński, Gustaw Potworowski, Stan. Chłapowski, Arn. Skórzewski, Leon Szmitkowski. Piękna to i poważna grupa ludzi, o każdym z nich dałoby się niejedno powiedzieć; lecz że czasu niema, wspomnijmy o niektórych. A naprzód o Mielżyńskim.

Trzech było braci Mielżyńskich, wszyscy trzej żołnierze z r. 1831, lecz tylko dla Macieja właściwe tu do wzmianki miejsce. Byłto w całem znaczeniu człowiek niezwykłej miary. Przed rokiem 1830, jak wielu młodych, konspirował, należał

do związku kosynierów; gdy wybuchło powstanie, zaraz do Warszawy pojechał, z Chłapowskim wybrał się na Litwę, przy nim obowiązki adjutanta sprawował, skończył kampanią w stopniu majora. Wielkiej odwagi a zimny i spokojny, stworzony był na wyższego oficera, miał instynkt rzeczy wojennych. Pod Hajnowszczyzną z jednym szwadronem rozbił huzarów moskiewskich; pod Lidą, na czele szwadronu, wpadł pierwszy w czworobok rosyjski, zdobył chorągiew i batalion do poddania się zmusił. — Jak wojskowej, tak i cywilnej odwagi dał dowód niepospolity. Słysząc i czytając oszczerstwa rzucane na Jenerała, w chwili gdy niemal wszyscy w nie wierzyli, on pierwszy ujął się za nim. Wspomnieliśmy, że ogłosił broszurę niemiecką w odpowiedzi na dzieło Spaziera, i w niej płytkość zaskarżeń Dembińskiego gruntownie wykazał. W piśmie tem oświadcza następnie, że pisarzem nie jest, ale podnosi głos dlatego, aby bronić prawdy, a także aby Ojczyznie tego wstydu oszczędzić, iżby jej synowie, jedynej broni, jaka im jeszcze została, nie używali ku własnemu szarpaniu. — Postaci imponującej, robił wrażenie wielkiego pana i rycerza zarazem; małomówny, o popularność nie dbał, uchodził za arystokratę. Pomimo że liczną miał rodzinę, tak wybornie rządził swym majątkiem, że na sprawy publiczne mógł zawsze łożyć znaczne ofiary. Skromny w życiu i bardzo oszczędny dla siebie, bez wahania spieszył z pomocą, gdzie widział tego potrzebę, ale krył się z tem, i dopiero kiedyś, przypadkiem, dowiadywano się, że to pan Maciej był owym nieznanym dobroczyńcą, który nieproszony i niedziękowany, przynosił ratunek. Najczęściej za Marcinkowskim ze swą ofiarnością się ukrywał, bo też byli związani jak rodzeni brabia.

Innym znowu typem był Gustaw Potworowski. I ten żołnierz, i ten bił się dobrze, ranny pod Hajnowszczyzną; ale usposobienie wiodło go szczególniej do służby spokojnej, obywatelskiej. Człowiek wielkiego serca, miał on ten instynkt duszy kochającej, która trafnie odgaduje co dla Ojczyzny potrzebne; choć kalwinem był, obyczaju katolickiego ściśle w domu przestrzegał. Serdeczny i wyrozumiały, przystępny

był dla każdego, zawsze skłonny do zgody; w dyskusyi i w działaniu, ustępstwa do ostatnich granic posuwał. Dziwną miał łatwość jednania serc, przekonywania umysłów, kojarzenia rąk. Wszędzie, a szczególniej w Polsce, tacy ludzie nieocenionej są wartości. „*Was ist am heiligsten*, zapytuje Göthe. *Was die Menschen verbindet*. Co jest najświętszego? to, co ludzi między sobą wiąże". Co nam zawsze przeszkadzało do utworzenia zwartego szeregu, to mniej jeszcze różność zdań jak podobieństwo charakterów, to nasze *ja* w każdym z nas rozwielmożnione, które z wiedzą czy bezwiednie drugim się narzucało i swoje chciało przeprowadzić, a kiedy nie przeprowadziło, usuwało się na bok. Od stu lat wciąż za to bici, czy dużo zmieniliśmy się? Otóż, w społeczeństwie tego rodzaju, człowiek, co o sobie nie myślał i nie pragnął aby go widziano, co pytał i słuchał chętnie, w formach łagodny, napozór mięki i niezdecydowany, w gruncie jednak do celu swego dążący niezmiennie, człowiek, o którego prawości i patryotyzmie nie powątpiewano, musiał zyskać powszechne uznanie i drugich za sobą pociągnąć. I tak się też stało z Potworowskim; po roku 1848, stał się niemal wyrocznią w rzeczach publicznych. Wszak niejeden z nas pamięta, jakąto próżnię wytworzyła śmierć pana Gustawa i jak trudno było go zastąpić.

W czasach, o których mówimy, Potworowski był młodszy i tej ogólnej wziętości jeszcze nie posiadał. I on, i pan Maciej, i ci wszyscy, których wymieniłem, tworzyli z przekąsem nazywany *„sztab."* Z nimi to znosił się Marcinkowski i wszystko układało się społem; on dawał inicyatywę, ci składali pieniądze. Jeśli wielką siłą dla narodu jest człowiek rozumny, który idzie przodem i nowe do pracy otwiera pole, to nie mniejszem dla niego błogosławieństwem są ci, którzy za tym człowiekiem stają rzędem a chcą i umieją go poprzeć radą, stanowiskiem, majątkiem. O tych ostatnich u nas najtrudniej. Zdolność pomagania o wiele rzadszą jest u Polaków, niż dar inicyatywy. Gotowi związać swe życie z dziełem, któreśmy sami stworzyli, dla myśli cudzej, choćby najzacniejszej, zbyt często nie mamy serca ni ręki. I dlatego

roboty zbiorowe bywają u nas mdłe, nietrwałe; ze śmiercią twórcy kończą zazwyczaj swój żywot. Zacząć potrafim, ale prowadzić dalej dzieło przez drugich stworzone, — *kontynuować*, — na to nas nie stać, na to nie mamy nawet w naszej mowie wyrazu. Instytucye Marcinkowskiego, których trwanie dobiega w Poznańskiem już blisko pół wieku i które swego twórcę przeżyły oddawna, są bardzo pięknem i pocieszającem zaprzeczeniem owej tak powszechnej u nas niegdyś słabości. Będzie to zawsze chlubnem wspomnieniem, że umieli go otoczyć ludzie wszystkich klas i wsparłszy go rozumnie, stworzyli dzieło, które dziś każdy pojmuje i ocenia, bo wchodzi w program dzisiejszy, ale które wówczas o wiele wyprzedziło ogólne pojęcie naszych zadań i obowiązków publicznych.

I o Stanisławie Chłapowskim, z tego pięknego grona wspomnieć tu jeszcze muszę, nie dlatego, bym go kładł na równi z powyższymi, ale że był najserdeczniejszym przyjacielem Jenerała i że miał przytem wielkie, obywatelskie i chrześciańskie cnoty. Już przed wojną dużo w Turwi przebywał; w początkach wojny był adjutantem Jenerała, pod Grochowem stracił konia, pod Długosiodłem ranny; na Litwie kampanią strzelców dzielnie prowadził. Ożeniwszy się z córką ref. Morawskiego, mieszkał w Jurkowie, potem w Czerwonej wsi. Gorący katolik, bardzo oczytany, wywierał wpływ znaczny, zwłaszcza na młodzież, którą w swym domu gościnnym przyjmować lubił i wielu do zasad i do życia katolickiego nakłonił. Skromny, rozgłosu nie szukał, naprzód się nie wysuwał, ale stać na boku także nie lubił i owszem tych, którym ufał, serdecznie popierał.

Był wówczas inny jeszcze mąż wielkiego serca, Edward Raczyński. Teń chodził samopas, a choć to umniejsza jego zasługi, chodził pięknie. Miłośnik nauk, głęboki znawca rzeczy ojczystych, wydał cały szereg dzieł historycznych, pamiętników, edycyj pomnikowych, których zamiłowanie przeszłości w szerszych kołach rozbudził. Pan wielkiego majątku miał przekonanie, że te bogactwa nieczystą nabyte były drogą i sądził, że mu ich niewolno dla siebie używać. Żył w Rogalinie jak najoszczędniej, nowego surduta sobie żałował, ale

na rzecz publiczną sypał krocie. Zebrał znaczną bibliotekę, zbudował dla niej pałac, stałym funduszem opatrzył i to wszystko darował miastu; własnym kosztem wodę do Poznania sprowadził; wzniósł piękną statuę Matki Boskiej, a gdy rzucono myśl uczczenia Mieczysława i Bolesława Chrobrego pomnikiem w katedrze, on tem się zajął i wydatek nieledwie cały wziął na siebie. „Pisz co chcesz i jak chcesz, będę twoim wydawcą,“ pisał on do Mickiewicza; a posłyszawszy, że poeta jest w niedostatku, posłał mu za krótki wierszyk 3000 fr. honorarium. Podobnie i Trentowskiego był hojnym wydawcą. — Do rozbudzenia życia umysłowego w prowincyi niemało się przyczynił, a z tego korzystał kraj cały; ludzie starsi pamiętają to dobrze, że przez pisma peryodyczne i książki, które w tej epoce w Poznańskiem wychodziły, prądy życia i światła europejskiego przelewały się na całą Polskę. Zjawili się ludzie talentu, w niemieckich uniwersytetach wysoko wykształceni; Libelt i Małecki miewali w pałacu Działyńskich prelekcye, które tłumnych słuchaczów ściągały. Podniesiono myśl założenia Akademii polskiej w Poznaniu własnemi funduszami; Bazar miał na ten cel oddawać trzecią część dochodu. Między Chłapowskim a Marcinkowskim długie nad tem toczyły się rozmowy, których ślady pozostały w notatkach Jenerała. Spisano tych wszystkich uczonych polskich, których zachciano zaprosić do owej wszechnicy poznańskiej, między innymi Stanisława i Jana Koźmianów [1]). Plan nie przyszedł do skutku, ale pośrednio przyczynił się do otwarcia nowej szerokiej pracy, o której zaraz powiemy.

---

[1]) I Domeykę myślano także sprowadzić. Oto co pisze Jenerał do J. Koźmiana (8 kwietnia 1845): „Cezary (Plater) mi mówił, że Humboldt obiecał Domeyce wyrobić pozwolenie przybycia do Księstwa. Jakżebym rad zamówić go sobie na dyrektora szkoły naukowo-rolniczej! Towarzystwo zadecydowało bowiem, że ta ma być wybudowana w Turwi. Miałbym profesora rolnictwa, a onby dawał chemii i technologii. Jeżeli jest we Francyi i masz komunikacyą z nim, donieś mu o tej mojej myśli.“

W r. 1841, zdrowie pani Chłapowskiej, zawsze dość wątłe, wymagało zmiany klimatu. Jenerał z żoną i dwiema córkami wyjechał na zimę do Rzymu. Po wszystkie czasy podróże bywały i będą zawsze potężną dźwignią cywilizacyi, ale — pod warunkiem, by je odbywać nie dla samej tylko zabawy i używania, lecz z pamięcią na kraj, z myślą służenia Ojczyznie za powrotem. Z takiem uczuciem podróżując, zawsze się wróci bogatszym; wszak Chłapowski, jeśli pod wieloma względami wyprzedził swych rodaków, to dlatego, że lata młode spędził wprawdzie za krajem, ale w służbie dla kraju. Atoli ze wszystkich podróży zagranicznych, dla Polaka najmilszą i najpożyteczniejszą jest podróż do Rzymu. Już poeta protestancki powiedział, że narody upadłe zwracać się winny do wiecznego miasta. W istocie, tam każdy Polak znajdzie choć cząstkę swej Ojczyzny; tam każdy poczuje, że te wielkie, wszech czasów pomniki, nie do obcych tylko, lecz i do niego należą, a takiego uczucia nie doznaje się po innych stolicach. Nadto, w wielkich miastach europejskich można się niejednego i nauczyć i zbudować; ale tam trzeba szukać dobrego, złe zaś nieszukane samo się ciśnie w oczy, zbytek i zabawa ciągłą są ponętą. W Rzymie przeciwnie, trzeba wyszukiwać sposobności do zbytkowania, a wszystko co się widzi, tworzy tak wysoką atmosferę duchową, przemawia tak uroczyście do serca i umysłu, że musim koniecznie stać się lepszymi, głębszymi, poważniejszymi, albo też uciekać co prędzej i biedz do miasta, gdzieby można zjeść smaczniej, zabawić się pospoliciej. — Dla katolików, Rzym jest nadto szkołą żywej wiary; on ich wychowanie religijne w pewnej mierze wykończa, uzupełnia. I tego właśnie miał na sobie doświadczyć Chłapowski. Był zawsze katolikiem wierzącym, obowiązki religijne zawsze, nawet podczas wojny, sumiennie wypełniał [1]). Najulubieńszą książką jego było *Naśladowanie*,

[1]) Zawsze, nawet w wojnach napoleońskich, nosił z sobą książkę do nabożeństwa odziedziczoną po matce. Mieliśmy ją w ręku, zużytą była i zczerniała; godnem jest uwagi, że modlitwę *„za króla"* w niej przemazał a wpisał *„za Ojczyznę."*

czytał ją codziennie, nie opuszczała go i w kampanii r. 1831, i zwykł był mawiać, że ilekroć jednę stronnicę tej książeczki przeczyta, lepiej rozumie sprawy tego świata. Ale przy tem wszystkiem, był on że tak powiem, katolikiem prywatnym, przekonania religijne uznawał jako rzecz najwyższej wagi, ale zupełnie osobistą, rodzinną; ich związku z życiem publicznem niedobrze pojmował i nie zastanawiał się dotąd nad niezbędnością Kościoła i wiary dla narodów i dla państwa. Dopiero w Rzymie zaszła u niego pod tym względem odmiana; to też podróż do wiecznego miasta stanowi epokę w jego życiu, a z wielu miar i dla prowincyi, nowej epoki przynosi początek.

Jak we wszystkiem, tak i w tem, szedł do celu prostą drogą. Przepędził tydzień na rekolekcyach u ś. Euzebiusza, z wojskową, a raczej zakonną ścisłością. Po każdem rozmyślaniu kładł na papier swoje myśli i postanowienia, i przekonał się, o czem dotąd mniej myślał, że w życiu człowieka publicznego, modlitwa jest rzeczą niemniej potrzebną, jak praca, nauka i czuwanie nad sobą; że mu daje cnoty, bez których inne nie wystarczą: spokój, wyrozumiałość i nadzieję — wbrew nadziei! Nadjechał był do Rzymu O. Ravignan i otworzył tam szereg konferencyj. Chłapowski żadnej z nich nie opuścił, każdej słuchał z mocną wolą, aby je na swój pożytek obrócić. Po każdej wracał do siebie i spisywał treść. Czytałem te jego notatki i byłem zdumiony, że człowiek już wiekowy, stary żołnierz, tak dokładnie wszystko chwytał i z każdej konferencyi przyjmował to właśnie, co było najjędrniejszego, najbardziej odpowiadającego potrzebom ludzi żyjących w świecie. — Właśnie podówczas tworzyło się w Rzymie Zgromadzenie Zmartwychwstańców; Chłapowski znajdował się na pierwszej mszy Kajsiewicza i Semeneńki i z nimi wszedł w ścisłą zażyłość. Jeden z pierwszych ocenił on pożytek tego zawiązku zakonnego, który choć najmłodszy i najuboższy w siły i przeto mało czem mógł się dotąd zasłużyć, niemniej jednak dla Polski był ważnym, bo stał się dla niej nowym łącznikiem ze Stolicą Apostolską. Był też stałym jego przez lat kilka dobrodziejem, a przyjacielem pozostał

do zgonu. Wzmocniony i podniesiony przez ten stosunek w swych uczuciach religijnych, lepiej niż dotąd ujrzał on stan kraju i jego potrzeby. Co w duszy człowieka ład wprowadza, to tylko może go zaprowadzić w narodzie i spółeczeństwie. Jeżeli więc koniecznem jest ratowanie ziemi ojczystej, jeżeli potrzebnem jest przymnażanie sił narodowych, to jeszcze potrzebniejszem jest podniesienie tego, co i tej ziemi i tych sił, ma być ożywczym duchem. W rozmowach z Kajsiewiczem i Semeneńką urodziła się wówczas myśl założenia pisma peryodycznego, służącego Kościołowi z całym zasobem nauki świeckiej i znajomością spraw europejskich, i odpierającego lekkie sądy i napaści innych pism. Bo o dawniejszych, jak o wielu dzisiejszych pismach i pisarzach powiedzieć potrzeba, że ich antagonizmu do Kościoła, bardziej jeszcze brak nauki i rozsądku był przyczyną, aniżeli brak wiary. Gdyby wiedzieli czemu przeczą, nie przeczyliby. Chłapowski tedy oświadczył, że gotów jest dostarczyć funduszów na założenie nowego pisma, i gdy zapytał, kto mógłby być jego redaktorem, Kajsiewicz wymienił nazwisko Koźmiana. Nie było obcem Jenerałowi i to nazwisko; miał je na liście profesorów zamierzonej Akademii.

Koźmian był emigrantem, a choć wówczas nie liczył jeszcze lat 30, był gruntownie i wszechstronnie wykształcony. Mickiewicz rozbudził w nim przywiązanie do wiary, ks. Czartoryski ułatwił mu swym wpływem dalszą pracę naukową w Tuluzie; reszty dopełniła podróż po Hiszpanii i obcowanie z najcelniejszemi osobistościami emigracyi i obozu katolickiego w Paryżu; ze Zmartwychwstańcami wiązała go wspólność uczuć i dążenia. Przyjął więc zaproszenie, zjechali się z Jenerałem w Berlinie, w r. 1843. Zrazu, aby lepiej się zapoznać z nauką a zwłaszcza filozofią niemiecką, która wielu Polakom głowy zawracała, Koźmian uczęszczał na wykłady uniwersyteckie i tam się zetknął z młodzieżą polską. Powiedziano pięknie, że „bywają umysły, w których tylko jest ciepło, w drugich tylko jest jasno.“ Koźmian łączył jedno i drugie, miał głowę bardzo jasną i szeroką, ale przytem serce gorące, pełne miłości; i to jedynie wytłómaczyć może taje-

mnicę owego wpływu, jaki on wywierał na wszystkich ludzi, co się do niego zbliżyli. Młodzież otoczyła go gromadnie, widziała w nim swego mistrza i przywódzcę, i wtedyto wytworzyła się owa pierwsza serya *„Koźmiańczyków,“* którzy zaznaczyli później w kraju, jako ludzie zasad i obowiązku.— Wkrótce potem pojawił się *Przegląd Poznański,* a wychodził przez lat dwadzieścia. Nigdy on nie używał szerokiej wziętości, ale pomimo to, wpływ jego był nieraz bardzo znaczny; każdy dziennik i niemal każdy autor musiał z nim się rachować; pisma takiej jak *Przegląd* wartości nie było dotąd, nie było i później. Być może, że niejedna praca w nim zamieszczona za ciężką była na pismo peryodyczne, zwłaszcza w latach późniejszych, i mogła odstręczać publiczność; niemniej jednak, wszystko co tam ogłoszono, jest rozumne, zacne, pełne treści i zbawiennych przestróg, wobec pokus, które nas przez owe 20 lat trapiły. Że się *Przegląd* nie opłacał, to nikogo nie zdziwi, zwłaszcza w Poznańskiem i w Galicyi; Chłapowski pokrywał deficyt przez pierwsze lata, od r. 1840 wzięli ten ciężar insi, młodsi przyjaciele Koźmiana.

Bystry znawca ludzi, Chłapowski odgadł, jakim nabytkiem byłoby dla Wielkopolski pozyskać na zawsze takiego jak Koźmian człowieka; to też gdy najstarsza córka objawiła życzliwą ku temu chęć, oddał mu jej rękę w r. 1846 i w posagu wydzielił znaczną majętność. Wydać swą córkę, która najświetniejszej mogła spodziewać się partyi, za emigranta, człowieka, który nie miał znacznego majątku ani pozycyi ustalonej w kraju, na to podobno nie każdyby się zdobył. Ale Chłapowski miał we wszystkiem swój sąd; aby zaś lepiej swego zięcia ubezpieczyć, wyrobił mu przez ks. Wilhelma Radziwiłła, obywatelstwo pruskie. Powiadają, że to był indygenat, którego rząd pruski do końca nie mógł odżałować. — Odtąd życie Jenerała związało się z życiem Koźmiana i w nie coraz bardziej się przelewało.

---

§ 17.

Ostatnie lata Jenerała.

W krótkich już słowach pragnę zamknąć to, co mi do mówienia pozostaje, pomijając bardzo wiele rzeczy, któreby dostarczyły wątku do dalszego studyum. Byłto bowiem najświetniejszy peryod turewskiego domu. Przeminęła już epidemia spisków, które od wyprawy Zaliwskiego i zawiązania się Towarzystwa demokratycznego w Poitiers aż po r. 1846, pustoszyły Poznańskie, Galicyą, Królestwo; z ich ustaniem nadeszła pora lepszego zasiewu. — Roboty konspiracyjne, wiotkie jak przędza pajęcza, a mozolne jak każda praca podziemna, kosztowały naród bez końca trudu, majątków a nieraz łez i krwi. To już mniejsza, że one ściągnęły na kraj srogie represye, cięższą niż dawniej niewolę. Niewolą najcięższą jest niemoc wewnętrzna, rozkładający się duch narodu, jest zamęt pojęć i uczucia, skrzywienie zmysłu moralnego; wtedy, jak mówi poeta, „wszystkiego się spodziewaj w sumień zawierusze; choćbyś czuł że masz duszę, mogę ci wziąść duszę, i zostaniesz się w życiu pustym futerałem.“ A do takiego właśnie stanu doprowadziła naród zaraza spiskowania: zmarniało przez nią pokolenie, które z wojny roku 1831 wyszło z rozgrzanym, podniesionym duchem; zmarniało i to drugie, po niem idące, które odbiegło pracy, odbiegło rzeczywistości, a utonęło w ciemnych, denerwujących marzeniach. Ile ztąd szkody dla narodu, kto to obliczy; ilu mło-

dych, w których był materyał na dzielnych obywateli, a zostali po tej szarpaninie szacowną tylko relikwią albo „pustym futerałem.“ Ten wiatr epidemiczny dął z taką gwałtownością od wschodu i zachodu, iż nawet mąż tak potężny, jak Marcinkowski, nie mógł kraju od niego zasłonić. Nie zdołał Marcinkowski powstrzymać wybuchu roku 1846 i to go dobiło, to przyspieszyło jego suchoty; padł także ofiarą tego prądu Edward Raczyński, zbyt wrażliwy na oszczerstwą. Jednemu pękło serce, drugi stracił rozum i skończył na samobójstwie.

Więcej niż ci dwaj, musiał od swoich wycierpieć Chłapowski, a wycierpiał spokojnie, bo miał silniejszy od nich fundament w duszy, żywą wiarę. Powróciwszy z Rzymu, na pamiątkę wrażeń i postanowień ztamtąd wyniesionych, zbudował kaplicę Matki Boskiej. I odtąd Turwia, jak powiedziano, z przekąsem a jednak prawdziwie, stała się „kaplicą przy wielkopolskim Kościele.“ Odtąd Jenerał przystępował co miesiąc do Komunii ś., ofiarując ją za Ojczyznę. Fakt miesięcznej spowiedzi sprawił wielkie wrażenie. Dziwiono się, mówiono, że Chłapowski zdziecinniał na starość, stał się bigotem, fanatykiem; lecz kiedy jedni krzyczeli, drudzy poszli za jego przykładem; przeszło to do Czerwonej wsi, do Oporowa, Jurkowa i dalej. Turwia dotąd cicha, w pracy domowej zamknięta, za wpływem Koźmiana poczęła otwierać gościnne podwoje, i coraz częściej zjeżdżali się do niej bliźsi i dalsi, aby tam ogrzać się, podnieść i utwierdzić w zacnych uczuciach, i odtąd ten dom, jak powiedziano, stał się ogniskiem, stał się Kruszwicą XIX wieku, z której wyszło na polu religijnem odrodzenie wielkopolskiego obywatelstwa, jak pierwej wyszło jego odrodzenie na polu rolniczem i stosunku z włościanami. „Skupiał się około Chłapowskiego zastęp ludzi dobrej woli a szczerego serca, który ochrzczono przezwiskiem ultramontanów, a w którym rząd widział dla siebie partyą najniebezpieczniejszą, bo spokojną a konsekwentną *„Chlapowskich-Morawskische Partey.“* Jenerał przywódzcą był i chorążym tego stronnictwa, Koźmian jego duszą, a zadaniem jego jawne i śmiałe wyznawanie zasad katolickich, wprowadzanie ich we wszystkie dziedziny prywatnego i pu-

blicznego życia. „Nietylko Wielkopolska (mówi dalej autor prześlicznych wspomnień o Chłapowskim, z których niejeden ustęp żywcem tu wcielamy) zaciągała się pod znaki wywieszone przez Jenerała; zewsząd pokrewne szlachetnością dusze spieszyły do Turwi. Bywało, obok sędziwiejącego gospodarza, widnieje zdala wyniosła postać jenerała Zamoyskiego, który z wyrytem na twarzy cierpieniem świecił jak grobowy pomnik Polski, a także poważne oblicze księcia Leona Sapiehy; tu Montalambert serdecznie bywa powitanym; tu Antoniewicz i jego bracia zakonni znajdują i przyjęcie i poparcie. Tu emigracya nasza, zatęskniona do kraju, naprzód szuka schronienia. Nie brak tułaczów w domu turewskim, który dla nich chowa bliższą a tkliwszą niż dla innych gościnność. Niejeden, dzięki zabiegliwości gospodarza, znajduje los stalszy na ziemi ojczystej. Najprzedniejsi mowcy kościelni, jak Kajsiewicz, odzywają się w przyległej do pałacu kaplicy; niejeden poeta szuka tu natchnienia, że tylko przypomnieć tego, co dozgonną czcią i przyjaźnią związany, wdzięcznym opiewał wierszem: *„Turwi lilie, Turwi fiołki, Turwi wawrzyny“* [1]).

Ale tym „liliom i wawrzynom Turwi“ nie zabrakło i cierni. W r. 1849 pani Koźmianowa doznała ciężkiego przypadku na kolei żelaznej Radominie, który ją na zawsze pozbawił zdrowia ciała i umysłu, i wkrótce potem umarła. Krzyż to był wielki dla starych rodziców i dla męża; lecz z krzyża nowe życie: Koźmian został księdzem. Tuby zacząć wypadało nowy rozdział niniejszej pracy, jako dalszy ciąg biografii Jenerała, i tu właśnie przerwać ją muszę. Bo choć skończyło się życie Koźmiana, żadna z tych wielkich spraw, z któremi zrosło się jego serce, nie zakończona... Bóg chowa ich rozwiązanie w swem ręku, aż spełni się miara naszych cierpień i naszego oczyszczenia a także — i miara niesprawiedliwości z drugiej strony! A któż wyliczy, kto zna wszystkie wysługi Koźmiana rodakom przyniesione; chyba Ten

---

[1]) *Przegląd Lwowski.* maj 1879. — „Tu rwij fiołki, tu rwij wawrzyny, co je sadziła ręka hetmana.“ *Do Mistrzów Słowa,* wiersz Stan. Koźmiana.

tylko, przed którym księga naszego życia zawsze jest otworem!... Kiedy Marcinkowski dokonał szczęśliwie trudnej operacyi na pani Stan. Chłapowskiej, mąż dziękując mu ze wzruszeniem, rzekł: „Co to za piękny zawód matkę tylu dzieciom uratować!“ „Tak, odrzekł tenże; lecz o ileż piękniejszy zawód księdza, który duszę ratuje!“ Ileżto dusz uratowanych i uświęconych przez Koźmiana, ile domów przez niego uzdrowionych, podniesionych moralnie! Czem Marcinkowski był dla Poznańskiego pod względem lekarskim i obywatelskim, tem był Koźmian pod względem duchowym i kościelnym. A nietylko dla Poznańskiego; — bo gdzież nie sięgała jego ręka czynna, jego serce dla całej Polski bijące!...

Pod koniec r. 1853, zdrowie pani Chłapowskiej coraz bardziej słabnące, zmusiło męża, że jeszcze jednę zimę przepędził w Rzymie. Tam młodsza córka objawiła zamiar wejścia do Zgromadzenia Sercanek. Matka wstrzymywała pozwolenie przez dwa lata, aż przekonawszy się o stałości jej powołania, odwiozła ją z mężem w r. 1857 do nowicyatu paryskiego. W miesiąc po jej obłóczynach umarła. Zbyt mało mówiłem o tej niepospolitej niewieście, i sam dobrze czuję, ile przez to zamilczenie obraz mój utracił, i krasy, i ciepła. Oboje dziwnie zgodni byli z sobą i podobni: jednakowa była ich miłość Kościoła i Ojczyzny, jednakowa sumienność w pracy i uczucie obowiązku, troska o dzieci, o domowników i o włościan; w życiu prostota i stałość, tylko że co u jednego było granitowe, u drugiej wszystko jakby z aksamitu. „Była to prawdziwie wielka pani, w całem ale w dobrem znaczeniu tego wyrazu. Żadnej u niej drobiazgowości. Zawsze jednakowa, prosta, słodka, miłująca. Przystępna a niewymownej dystynkcyi, w sposobie, w gestach, w ułożeniu; jedna z tych istot tak szczęśliwie i wysoko rozwiniętych, iż na jakimkolwiek szczeblu towarzyskim spodoba się Opatrzności je postawić, choćby na najwyższym, zawsze się znajdą na swojem miejscu; nic ich nie dziwi, nic nie stropi, nie mają nic do nauczenia się, nic do pozbycia“ [1]).

[1]) Kajsiewicz, Pisma II, 239.

O tej śmierci, tym strasznym krzyżu swoim, donosi Jenerał synowi swemu z tą lakoniczną prostotą, z jaką pisywał z pola bitwy. „Bóg, Pan najwyższy nasz, zabrał dzisiaj matkę waszę do siebie. Pół godziny przed śmiercią zapytałem jej: „czy błogosławisz raz jeszcze naszym czworgu dzieciom żyjącym?“ Nie mogła już mówić, ale bardzo wyraźnie odpowiedziała: *tak*, i x. Hube, który klęczał dalej niż ja, dobrze usłyszał. Teraz, mój synu, dojdź zaraz do B. Radziwiłła, żeby mi wyrobił pozwolenie i żeby je posłali na granicę pruską od Kolonii, dla przewiezienia ciała mamuleczki, którego tutaj nie zostawię (21 kwietnia 1857“).

Chłapowski miał już lat 70; utracił tę, o której sam mówił, że mu dodawała odwagi do życia. Złamany bardzo, zaraz rozdzielił majątek między synów i ledwo na ich prośbę, jakąś część sobie zostawił. „Odtąd (mówi cytowany już przez nas autor) spostrzegli bliscy znaczną zmianę w Jenerale. Znikła dawna surowość, przemogła rodzinna łagodność, zbudziła się pewna potrzeba wylania się serdecznego. Co niegdyś dla jednej tylko skarbił małżonki, rozdzielało się teraz między tych wszystkich, co się doń zbliżali, i wyłoniła się z jego duszy cała tkliwość i delikatność uczuć tłumionych. Dante wspomina o tej szarej godzinie życia, *„che interisce il cuore“* i do zwierzeń sposobniejszym czyni. Większa część wspomnień Jenerała, które przechowały się wśród rodziny jako skarb domowej tradycyi, z tego datuje czasu. „Kiedy niema pola do działania, mawiał Jenerał, trzeba uczyć się tego, co dawniej robiono.“ Wyjeżdżał co rok do Francyi dla odwiedzenia swych starych i młodszych przyjaciół i swojej córki. Gdy powstała myśl założenia w Poznaniu domu Sercanek, złożył na ten cel posag swej córki, 40,000 tal. i do śmierci pozostał szczególnym przyjacielem tego zakładu. Dwa razy, ku wielkiej jego radości, przyjeżdżały Sercanki na wakacye do Turwi. Zaraz się z domu wyprowadzał, baryerami go otaczał i oddawał na ich usługi. Próbował wrócić jeszcze do życia publicznego i podjął się obowiązków dyrektora w osuszeniu błot oberskich, nanowo studyował hydraulikę, dawne swe kajety ze szkoły politechnicznej odczytywał, ale

gdy rząd czynił trudności w asygnowaniu żądanych funduszów, porzucił tę służbę po dwóch latach i usunął się na wieś. Dawnego trybu życia nie zmienił, codzień czynił odległe konne wycieczki, w tych był niestrudzony. „Gdyby to można, rzekł on, konno do nieba zajechać, to jabym tam pewno zajechał!“ Po drodze, zawsze przyglądał się robotom, rad wchodził w rozmowy z chłopami, którzy ze czcią „starszego pana“ słuchali. Zajeżdżał też i do przyjaciół, w sąsiedztwo; jednej z tych wizyt dochowało się rzewne wspomnienie. Przyjechał Chłapowski do pobliskiej Luboni, winszować imienin jen. Morawskiemu. „Pod koniec obiadu, do którego liczni zasiedli goście, powstali obaj sędziwi wodzowie, a trzymając się za ręce, jęli serdeczne wymieniać życzenia. Zanim podniósł toast na cześć solenizanta, Chłapowski przypomniał wszystkie miejsca, gdzie się podczas długiego spotykali życia: naprzód w Rydzynie, w kolegium pijarskiem, później w bitwie pod Tczewem i przy oblężeniu Gdańska, dalej w różnych przygodach strasznego roku 1812. Jeden drugiemu przypominał sławne miejscowości, a zasłuchani wokoło uczestnicy rzewnego święta, odczuwali w duszy wrażenie tej chwili, rozumiejąc dobrze, że co dla nich było tylko dziejowem wspomnieniem, dla obu starców było rzeczywistością. Wreszcie, gdy Chłapowski zakończył życzeniem, aby się mogli spotkać raz jeszcze i połączyć w niebie: „już ja tam będę kwatermistrzem,“ odpowiedział jen. Morawski ze zwykłym sobie dowcipem“.

Morawski umarł wkrótce potem, Chłapowski przeżył go o wiele dłużej; dociągnął do niezwykłej w życiu ludzkiem miary, 92 roku. W ostatnich latach duch jego, pod brzemieniem wieku, ulegał stopniowemu przyćmieniu; żył tylko przeszłością. „Siedzącemu całemi godzinami w oknie głównej komnaty turewskiego pałacu roiły się krwawe boje i zapasy; wiecznie w jednę zapatrzony stronę, zdawał się wciąż wyglądać nadciągającego wroga. Było coś rozdzierającego w tym smutnym zachodzie wojowniczego życia. Zniknęła i dawna pogoda; wzrok niespokojny wciąż zdawał się o kogoś pytać, kogoś szukać. *„Gdzie ona,“* powtarzał często, a nikt go za-

spokoić nie zdołał, nie wiedząc za kim tęskni, kogo szuka: Ojczyzny czy małżonki? W tem zaćmieniu lat ostatnich było zapewne miłosierne zrządzenie. Temu co tak wiele przeszedł, wiele wycierpiał, Bóg chciał oszczędzić poczucia i zrozumienia klęsk publicznych i nieszczęść prywatnych, które się temi czasy zwaliły. Nie przecierpiał straty kilku wnucząt, nie opłakał zgonu tyle mu drogiego zięcia, x. Koźmiana, nie spostrzegł nawet, gdy na parę tygodni przed jego śmiercią, zniknęła także z pod jego boku synowa, pani Tadeuszowa, która go najczulszą otaczała pieczą. Mało kogo poznając, zapominał co winien był ludziom, nie zapominał co winien Bogu" [1]). Codzień wieczorem przychodził do kaplicy i w swej modlitwie wymieniał wszystkie bitwy, do których należał i polecał dusze poległych. Żołnierz gasnący modlił się za żołnierzy umarłych. Piękny to i wzruszający był widok tej koleżeńskiej usługi, zwłaszcza też w tych ostatnich latach, kiedy nie słysząc drugich, sam, głosem przejmującym, wyliczał te krwawe spotkania, z któremi związaną się czuła jego dusza rycerska. Była to jakby litania starego żołnierza.

Zasnął jak dziecię, spokojnie, bez cierpień, 26 maja 1879. „Warto żyć w trudzie, aby łatwo umrzeć," powiedziano oddawna.

---

[1]) Wspomnienie o Jen. Chłapowskim. *Przegląd Lwowski* l. c.

ZAMKNIĘCIE.

§ 18.

Charakterystyka Jenerała.

Skończyłem, a jako podróżny, który wdrapał się na wysoką górę, lubi obejrzeć się po za siebie, aby jednym rzutem oka objąć całą okolicę, tak i ja, doszedłszy do mety, zanim pożegnam moich słuchaczów, chcę jeszcze raz przyjrzeć się życiu Jenerała, nie w szczegółach, ale w ogólnym jego charakterze.

„*Ense, cruce et aratro,*“ mieczem, pługiem i krzyżem, te słowa należałoby wyryć na jego grobie. Żołnierz, obywatel, chrześcianin, potrójną walczył bronią, każdą władał dzielnie, a każdą z kolei służył Ojczyźnie.

Żołnierzem był naprzód i przedewszystkiem „stary wojskowy i jenerał, na którego widok, jak powiedziano, mimowolnie stawało się do frontu i opuszczało ręce po sobie.“ Wojskowość była jego najulubieńszem zajęciem, dzieła wojskowe czytał ciągle i każdą wojnę, która się za jego życia toczyła, pilnie studyował. Wojna krymska obudziła w nim żywą nadzieję. Kiedy rząd angielski zawezwał jen. Zamoyskiego do formowania polskiej dywizyi, Chłapowski odezwał się do niego, że gdy stanie na polskiej ziemi, pospieszy i on, wraz z trzema synami, pod jego komendę. Po kampanii włoskiej r. 1859, pojechał na miejsce i pola bitew oglądał. — Od dzieciństwa wychowany na koniu, w każdym geście, w każdem poruszeniu objawiał człowieka, który nawykł do

dawania rozkazów a nie przypuszczał, aby można go było nie usłuchać. To też opozycyą niełatwo znosił, w czynie a nawet w zdaniu, i gdy mu zaprzeczono, mówić przestawał. Gdy go zamianowano członkiem Izby Panów w Berlinie, powstała myśl, aby go zaprosić na prezesa Koła polskiego. Wymówił się, dodając żartobliwie: „ja nie rozumiem inaczej prezydencyi, tylko iżbym tych panów, co nie przychodzą regularnie na sesye, mógł wsadzić na kilka dni do kozy.“ — Sądził ludzi po wojskowemu, i gdy o swoich towarzyszach usłyszał sąd niekorzystny, — „ej, bił się dobrze,“ to była jego obrona; za to bez litości był dla tchórzów i dla fanfaronów i do końca nie mógł przebaczyć tym, którzy w r. 1831 w domu pozostali; przyznawał, że mogli mieć słuszne do tego powody, ale jednak widać było, że tych powodów nie rozumiał. Łatwo ufał ludziom, dopóki się o ich obłudzie nie przekonał; wtedy brzydził się nimi. Skłonny był widzieć różowo, może dlatego, że na swoje siły liczył. Mawiał, że gdy pierwszy raz działa zagrzmią, rzadko ktoby nie zadrżał, ale dodawał, że jeżeli się ma choćby najmniejszą komendę, wnet się zapomina o niebezpieczeństwie. W czasie bitwy rósł i potężniał na oko; widać było, że w niego jakiś wyższy duch wstępował. „Ten młodzieniec zajdzie daleko,“ wyrzekł o nim Napoleon pod Wagram. Nie zaszedł tak daleko, jak można się było spodziewać i jakby dla dobra sprawy należało pragnąć. Cóż stanęło na przeszkodzie? Czy brak ambicyi i jego szczególna obojętność na rangi i stopnie? *„Honor bez honorów,“* oto dewiza, którą sobie wynalazł. Baronowskiego tytułu nie używał nigdy, chociaż na polu bitwy nań zarobił. Jak nie upomniał się o awans, gdy służbę Napoleona porzucał, tak nie dbał o to, że mu dano stopień niższy aniżeli należało, w początkach wojny roku 1831. Gdyby w tej wojnie wcześniej był został jenerałem, nie Giełgud ale on byłby na Litwie komendantem, a wtedy innyby z pewnością wzięła obrót ta wyprawa i ostateczny walki wypadek może byłby inny.

Dobry taktyk, ilekroć jedna broń wypadała mu z ręki, zaraz chwytał za drugą; zsiadłszy z konia brał się do pługa,

i tym orężem nową walkę zaczynał, walkę bardzo długą, bardzo mozolną, ale w skutkach niezawodną. Poczciwa ta ziemia polska, choć się na nią skarżą, kocha tych co ją kochają, co jej służą wiernie, nie jedną ale obiema rękoma Ileżto razy w ciągu naszego stulecia, za Księstwa warszawskiego, w początkach kongresowego Królestwa, następnie po zniesieniu pańszczyzny i dziś jeszcze, słyszeliśmy i słyszymy głosy rozpaczliwe, że obywatelstwu grunt się z pod nóg usuwa, że jeszcze trochę a wszystkie majątki przepadną! I przepadło ich wiele; lecz kto szczerze chciał, kto żył roztropnie i z groszem się rachował a trudu dołożył, ten się ocalił. Chłapowski szeroko na tem polu zajaśniał; na pół wieku przed innymi pokazał, że dobry rolnik jest zarazem dobrym patryotą, zasłużonym obywatelem. Wystawił szkołę rolnictwa dla narodu, nie mało gospodarzy wykształcił. — Poczciwa ta ziemia polska, choć rok i drugi zawiedzie, w końcu sowicie odpłaci się tym, co dla niej siebie nie szczędzą. Jenerał zaczął na majątku, na którym nic prócz tytułu własności nie posiadał; w pierwszym dziesiątku lat spłacił milion długów i dobra do niewidzianej w Polsce doskonałości doprowadził; w drugim i trzecim dziesiątku, do dziedzicznej Turwi i Rombina, dokupił Brodnicę, Goździkowo, Manieczki, Kopaszewo. Zaczął od 11,000 zadłużonych morgów, skończył na 32,500, i te między synów rozdzielił. A zapłacił przytem niemało: i częściową konfiskatę w r. 1832, i owe 100,000 rozdane oficerom na ziemi pruskiej i do fundacyi Sercanek w Poznaniu znacznie się przyczynił i kto wyliczy jego hojne datki. Snać, że ofiara na rzecz publiczną nie uboży, i owszem pomaga, bo do rachunku z sobą przynagla. Wszak prawda, że ofiary znaczniejszej nie robi się bez dłuższego namysłu; lecz gdybyśmy chcieli zliczyć te wszystkie wydatki, których źródło w naszej próżności i próżniactwie, tobyśmy dopiero przerazili się wielkością sumy, jaką one pod koniec roku wytworzą. — Być może, że system rolniczy, którego Chłapowski się trzymał, ulegnie zmianie, że z czasem okaże się mniej korzystnem, że zarzuciwszy tak znane intenzywne gospodarstwo, powrócą do prostszej metody, co doświadczenie pokaże; ale co

nie ulegnie zmianie, co przy każdym systemie okaże się najkorzystniejszem, to oszczędność i praca. Ten przykład z jego życia zostanie i będzie jedną z wielkich jego zasług. A obok materyalnych w ziemi nabytków, jak szczęśliwe w ludzie włościańskim zdobycze, jakie podniesienie tego ludu w majątkach Jenerała? Czy to za wiele powiedzieć, że każdy właściciel wsi może w ten sposób przyczynić się do wzmocnienia organizmu narodowego!

Z wojskowej do obywatelskiej, z obywatelskiej, stopniem wyżej, przeszedł do służby krzyża. To służba najwyższa i najpotrzebniejsza. Dla wszystkich narodów Kościół jest dźwignią, dla nas jest czemś więcej, zasadą bytu, rękojmią przyszłości. Więcej potrzeba siły temu co upadł, by się dźwignął, niż temu co stoi, by się na nogach utrzymał. I na tem także polu zaważył Jenerał. Któż nie wie, ile znaczy przykład męża, przed którym każdy musi głowy uchylić, a który sam, jawnie, korzy się przed Bogiem i ze szlachetną odwagą staje po stronie Kościoła; tym przykładem nietylko dusze pokrewne pociąga, ale i przeciwników rozbraja, podnosi i uszlachetnia. Azaliż nieprawda, że takie uszlachetnienie widzimy już dzisiaj w Poznańskiem, gdzie mimo ścierania się obozów politycznych, jest obustronna zacność, wzajemne poszanowanie, z obu stron łatwiejsza zgoda, skorsze podanie ręki, ilekroć się ma wobec siebie wspólnego przeciwnika. Solidarność narodowa, która dziś tworzy siłę Galicyi, wyszła z Wielkopolski. To podniesienie, wzmocnienie opinij i charakterów, jak cechą jest tej prowincyi, tak śmiem powiedzieć, skutkiem jest rozbudzonego w niej, o wiele niż gdzieindziej, głębszego, religijnego uczucia.

Potrzebaż tu dodawać, jakie od swoich spotkały Chłapowskiego krzyże, obmowy, oszczerstwa? Zrobiono go kozłem ofiarnym cudzych błędów i cudzej niesforności na Litwie; w roznamiętnieniu, jakie nastało po upadku sprawy, nie umiano prawdy rozeznać, nie chciano jej szukać. On milczał; czasem jęknął z bólu i z płaczem wybuchnął przed zaufanym przyjacielem, ale głośno nie skarżył się nigdy. Zamknął się w pracy. I gdy „cierpliwością, tą panią niedoli,

dom swój odtworzył z niczego, powoli," i ziemię dziedziczną ocalił i mienia dzieciom przysporzył, zaczęto się temu dziwować. Tylu ludzi straciło fortuny, a on ją jeszcze powiększył; czyż to mogło stać się prostą drogą? I oto na człowieka, który sumienność i delikatność w sprawach pieniężnych posuwał, rzec można, aż do przesady[1]); zaczęto szeptać pocichu, że tu czyjaś krzywda być musi... Szpetne to, bezecne, i czyż potrzeba o tem wspominać? Potrzeba, — choćby dla całości obrazu. Gdyby Chłapowski z kruchszego był ukuty materyału, a do innego należał obozu, czyżby, pomimo wejścia do Prus, nie był wielbionym, kochanym, na rękach noszonym, jak to się z innymi trafiło? Ale to był twardy granit, na którym żaden pocisk nie zostawiał śladu, w życiu i słowie niezachwiany, pokorny Kościoła syn, a odważny wyznawca Chrystusowej wiary. I oto kamień obrazy dla jego przeciwników, oto źródło tej niechęci, która go ścigała i ściga. „Nie jestci sługa większy nad Pana swego." Ale jeżeli mąż takich zasług, takiej czystości charakteru i życia, nie mógł uniknąć prześladowania od swoich, dopóki żył i po śmierci, zaliż my mamy kwilić, że i na nas maluczkich spadnie z ulicy jakaś kropla błota. Zaliż zgorzknąć mamy w sobie i serce swe zamknąć przed braćmi, którym niebrak może dobrej intencyi, brak tylko doświadczenia i sądu?...

Chłapowski i dla historyka i dla psychologa zjawiskiem jest ciekawem. Są w nim przymioty, które zazwyczaj nie idą w parze, lecz kiedy je traf szczęśliwy powiąże, tworzą całość wyjątkową. Rozum głęboki, a nie w jednym ale w każdym kierunku; różnostronny, lecz przytem zawsze jednolity. Rzutki i przedsiębiorczy, a zacięty i wytrwały; śmiały a bardzo ostrożny; w służbie twardy, a po za służbą druh serdeczny; oszczędny, a przytem hojny i bezinteresowny aż do

---

[1]) Zanotujemy tu jedno jeszcze wspomnienie. Miał prawo do emerytury ze służby napoleońskiej *(pension de retraite)*, którą rząd pruski zobowiązał się był wojskowym polskim wypłacać. Nigdy się o nią nie zgłosił, tak mu przykrą była myśl z kas pruskich pobierać pieniądze.

zadziwienia. Żołnierz „od stóp do głów, nawskróś i nawylot,“ przytem pełen dystynkcyi i wykwintnego poloru. Człowiek czynu i człowiek nauki; każdego dnia kilka godzin na koniu i kilka godzin przy książce przesiedział. Czy szablę czy pług mając w ręku, czyta i uczy się wciąż. Z dzieciństwa wyniósł znajomość francuskiego i niemieckiego języka. W r. 1808 nauczył się po hiszpańsku, w r. 1811 po rosyjsku, w r. 1814 po angielsku; na starość jeszcze po grecku i po włosku się uczył. Obok wojskowości i agronomii, historya jego zajęciem codziennem, a nietylko świecka lecz i kościelna. Całego Cantu i całego Rohrbachera przewertował, a czytał powoli, z piórem w ręku. Ile razy nowe podejmuje zajęcie, zawsze się do niego przez studya teoretyczne przygotowuje; tak w wojnie, tak przy roli, tak na sejmie i w obywatelskich posługach. Zostały po nim stosy notat, wypisów lub rozpraw samodzielnych dla własnej nauki ułożonych. — Umysł jasny i krytyczny, rekryminacyj nie lubił; gdy się rzecz stała, osądził trzeźwo ale nie wyrzekał, nie potępiał; odrazu do tego co robić należało, przystępował; budował na tem co zastał. — Rycerz prawdziwie chrześciański, energia i spokój to jego znaki wybitne; nawet na wojnie, przy ataku, w zapale bitwy, mówił, że nikogo bez potrzeby nie zabił. Czuł w sobie, bo czuć musiał, zdolność do wielkich rzeczy, a jednak na tem co mu robić kazano przestawał; przed żadnym rozkazem się nie cofnął, każdy świetnie wykonał, ale dopóki nie dano rozkazu, jak żołnierz stał na miejscu, naprzód się nigdy nie wyrywał. Kto się nad tem głębiej zastanowi, ten musi przyznać, że ta równowaga i panowanie nad sobą, ta wstrzemięźliwość w działaniu, kiedy ono nie wchodzi w nasz obowiązek, jest cnotą jedną z najtrudniejszych, ale i najpotrzebniejszych w zbiorowej czynności.

Troskliwy o sługi, o wychowanie swych dzieci, chciał, ażeby zawsze był pokój w jego domu, żadnych niesnasek między niemi nie cierpiał. Zasadą jego było, aby każdy z synów, zanim wejdzie w gospodarstwo, odbył dziesięcioletnią służbę publiczną; to też najstarszy służył dziesięć lat w artyleryi, drugi tyleż w sądownictwie; chciał przez to ich cha-

rakter ująć w silne karby obowiązku, bo tego, jak mówił, pobyt na wsi nie uczy, tam każdy zbyt panem jest siebie.— Z dzieciństwa zapamiętał wiersz Karpińskiego *„o powinnościach obywatela“ :*

Jam jest Ojczyzna, i nie dość mi tego,
Że się nazywasz mym synem,
Masz mi poświęcić siebie całego
I nie zmazać się złym czynem;
Gdy cię zawołam w moim ucisku
Do wspólnej z bracią roboty,
Niechaj kto inny biegnie dla zysku,
Tobie nagrodą twe cnoty.
Choćby po twojem najlepszem dziele
Zawsze o sobie sądź mało;
Nie myśl, jak dla mnie zrobiłeś wiele,
Lecz co ci zrobić zostało.

Ten wiersz przekazał swojej rodzinie; każde dziecko u Chłapowskich musi go umieć napamięć.

Chociaż od Anglików i Szkotów wyuczył się agronomii, od Francuzów przejął wiele w wojskowości i w życiu, i z nimi łączyły go wspomnienia świetnie przebytej młodości, to jednak Polakiem był zawsze i wszędzie: przy roli, w pracy obywatelskiej i na wojnie. Żadnej obcej sprawie służyć nie chciał: porzucił Napoleona, gdy ten Księstwo warszawskie Aleksandrowi oddawał; w r. 1845, gdy mu przez Montalamberta ofiarowano komendę nad armią Sonderbundu w Szwajcaryi, odmówił. — Polaków kochał i cenił, lecz zarzucał im, że niedość pracują, niedość się uczą i mają za wiele miłości własnej. Charakter nawskróś polski, a bez żadnych polskich wad. Ze wszystkich wad drobniejszych najbardziej miłością własną pogardzał, bo jak mówił, ona połowę rozumu człowiekowi odbiera; przy niej i cnoty i zdolności, a nawet majątki drobnieją.

Wzrostu małego, ale dziwnie regularnych i pięknych był rysów; na dworze napoleońskim zwano go Cherubinem.

Oczy miał duże, niebieskie, które czasem dobry i łagodny, czasem wielkiej siły i grozy przybierały wyraz. Mówił mało i krótko, pisał z łatwością i jasno, ale niepoprawnie, tak dobrze w polskim jak francuskim języku. Miał wymowę nie słowa lecz czynów, a także swej fizyonomii — poważnej, szlachetnej, energicznej. W odpowiedziach swoich żywy i nieraz pełen trafności umiał, kiedy było potrzeba, zręcznem i dosadnem słowem, dać zrozumieć choćby wysoko stojącym osobistościom, niewłaściwość ich odezwania się. Znajdował się w Berlinie w r. 1852, w Izbie Panów, której był członkiem, kiedy Napoleon III ogłosił się cesarzem. Zbliża się do niego pewien dygnitarz pruski i rzecze: „A cóż Jenerale, Bonaparte znów na tronie, czy pojedziesz do niego?“ „Nie, ja na tamtego tutaj czekałem.“ — Następca tronu pruski zobaczył na jego piersiach krzyż *Virtuti militari*. „Widzę, panie Jenerale, rzecze, że obaj mamy ten sam krzyż.“ „Przepraszam, odpowie Chłapowski, W. Kr. Wysokość otrzymał swoj od ces. Mikołaja; ja takiego nigdy nie miałem i mieć nie będę.“ — Podczas swej służby przy Napoleonie I odwiedzał często Caramanów, którzy należeli do obozu legitymistów. „Bywasz w domu Caramanów, rzecze doń Cesarz, muszą tam źle o mnie gadać.“ „N. Panie, zbyt oni dobrze są wychowani, aby przy mnie źle mówili o WCMości.“ — W r. 1853, kiedy się w Rzymie znajdował, odprawiono rewią na cześć ks. Jerzego, królewicza saskiego. Jen. Monréal, stary kolega Chłapowskiego, zaprosił go po rewii na śniadanie i przedstawił Księciu. Odezwał się Chłapowski do Królewicza, że o dynastyi saskiej zawsze z wdzięcznością wspominają w Polsce. „Ach, rzecze ks. Jerzy, moja rodzina wszystkie swe nieszczęścia zawdzięcza Polsce.“ „W. Kr. Wysokość zapomina, iż rodzina jego winna Polsce to szczęście, że do Kościoła katolickiego się liczy“. — Człowiek władzy; kiedy starszy rozkazał, uważał sobie za obowiązek bronić tego rozkazu, choćby mu był przeciwny, i to tłómaczy jego zachowanie się przy Gielgudzie na Litwie. Ale dworactwa nie cierpiał i dworakami gardził. W r. 1814, po traktacie paryskim, wojsko polskie przeszło pod rozkazy Aleksandra. Jeszcze Napoleon był

w Fontainebleau, a już jen. Krasiński urządził przegląd pułku Szwoleżerów przed Cesarzem rosyjskim i zaprosił go na śniadanie wraz z Królewiczem pruskim. Prosił i Chłapowskiego, ale ten się tłómaczył, że nie ma munduru. „Eh, ty pewno myślisz, rzecze Krasiński, że to nieładnie tak z jednego przedpokoju przechodzić do drugiego,“ „A kiedy Jenerał tak powiadasz, odrzecze Chłapowski, to nie przeczę; ja tego nie umiem.“

Takim był Chłapowski: prawy, silny, rozumny. Czy był geniuszem, tego nie śmiem powiedzieć; nie miał dość pola, aby tego dowieść; ale z pewnością był człowiekiem wielkiego charakteru. Niejeden geniusz klęską był dla narodów; charakter wielki i w sobie samym wyższy jest od geniuszu i pożyteczniejszy dla społeczeństwa. Na kilku polach Chłapowski dał impuls potężny, który czuć w całym kraju. Stworzył dom zacny, zaszczepił w nim silną tradycyą. Zacnością rodzin podnoszą się narody. Kochał Ojczyznę całą duszą: *per illam defunctus adhuc loquitur;* przez nią on do nas i do swej rodziny przemawia. Nie wiem, jakim się on w moim obrazie przedstawia; tylko upewniam, żem go nie upiększał, nie stroił wieńcami. Na co tam wieńca, gdzie szabla i krzyż!...

Kończąc, mogę śmiało odezwać się do moich słuchachaczów, i młodszych i starszych: *Habes in illo quod mireris, habes quod imiteris.* Znajdziesz w nim wiele do podziwienia, znajdziesz i do naśladowania; lecz i Bogu jest za co dziękować. Bo każdy Polak znakomity łaską jest od Boga, siłą, bogactwem i chwałą Ojczyzny; jakże za to nie być wdzięcznym! „Człowiek jest pryzmatem, rzekł wielki mówca, przez który z Nieba świecą promienie; nie on jest piękny, tylko Boże promienie. Ale bez niego, tamtych nie byłoby widać“ [1]).

[1]) Dupanloup, *Oraison funèbre du Gl. Lamoricière.*



TREŚĆ.

IV. WYPRAWA NA LITWĘ
(1831).

V. SŁUŻBA OBYWATELSKA W WIELKOPOLSCE.
(1833—1879).

ZAMKNIĘCIE.



Pomyłki drukarskie.

r. 114	wiersz 9 od góry	czytaj	odwagą	zamiast uwagą.
r. 159	wiersz 11 od góry	czytaj	naj**nie**popularniejszych	zamiast najpopularniejszych.
r. 159	wiersz 14 od góry	czytaj	**nie**popularności	zamiast popularności.

